

KAROL MAY

WYSPA SKARBÓW

„TYGRYS”

Z Kalkuty do Kota Radża płynął potężnie zbudowany trójmasztowiec, który pod rozprzą i z tyłu miał wypisaną złotymi literami nazwę „Tygrys”. Ubiór załogi wskazywał na to, iż okręt służył do celów wojennych, chociaż po niektórych drobiazgach w budowie i takielunku można było wywnioskować, że nie do tego celu został zbudowany.

Dowódca, jeszcze krzepki mat stał na tylnym pokładzie i spoglądał w górę na wanty, gdzie wisiał mężczyzna i lornetą penetrował teren.

— No. Piotrze, widzisz już jakiś ląd?

— Nie, kapitanie, nic nie widzę. Jesteśmy daleko od lądu i słońce świeci nam prosto w twarz.

— Oczywiście, Piotrze, masz rację. Uważaj dobrze i zamelduj mi zaraz, jak zauważysz coś niezwykłego.

Falkenau — łaskawy czytelnik z pewnością odgadł, że to on był kapitanem — odwrócił się, skierował się na prawą burtę i wszedł do sterowni. Sternik miał posturę olbrzyma, którego należałoby się obawiać, gdyby nie łagodzący pierwsze wrażenie, wyraz jego twarzy.

— No, sterniku, jak leci? Dostaliście w Kalkucie dobrą wiadomość od swoich?

— Dziękuję! Moi są zdrowi, a chłopak robi postępy. Mimo młodego wieku jest już podporucznikiem marynarki.

— Naprawdę? No to gratuluję takiego chłopaka, sterniku! Kiedy widzieliście go po raz ostatni?

Cień przemknął po twarzy olbrzyma.

— W ogóle go jeszcze nigdy nie widziałem!

Falkenau cofnął się ze zdumienia o krok.

— Co powiadacie? Jeszcze go wcale nie widzieliście? Czy nie spędzaliście swego urlopu regularnie w domu?

— A bo to jest tak, — odezwał się sternik z żalem w głosie — jak przyjeżdżałem do domu, to mój syn nie miał urlopu, a kiedy dostał urlop, to ja, jego ojciec, właśnie wtedy pływałem po pełnym morzu.

Te słowa zostały wypowiedziane z tak komiczną powagą, że Falkenau się roześmiał.

— Dlaczego nie złożyliście dotąd prośby o przeniesienie syna na „Tygrysa”? Książę Maks z pewnością przychyliłby się do niej, chociażby dlatego, że wasz chłopak jest przybranym synem majora Helbiga.

— Widzicie, nie mogę zebrać o łaskę dla mojego syna. Mój chłopak sam powinien znaleźć swoją drogę, żeby potem nie mówił, że zawsze inni nim komenderowali.

— Sterniku, takie podejście do sprawy przynosi wam zaszczyt. Ale gdyby tak ktoś inny, na przykład ja, wniósł takie podanie, to chyba byście nie mieli nic przeciwko temu. Mam rację?

Oczy sternika zabłysły radośnie.

— Niech to diabli! Wybaczenie, chciałem powiedzieć, że to oczywiście byłaby dla mnie wielka radość. I to jeszcze jaka, gdybym mojego jedynaka mógł mieć przy sobie!

— No dobrze, będę miał tę sprawę na uwadze. A powiedzcie, co słyhać u matki chłopca? Poślubiliście ją? Wiem, że byliście na to mocno zdecydowani.

Mina sternika natychmiast zrzędała.

— Zamierzałem i nadal mam ten zamiar. Ale istnieje pewna przeszkoda.

— Przeszkoda? Może już was nie lubi?

— Nie, to nie to. Ale jej mąż jeszcze żyje.

— Niewesoło. Jej mąż więc jeszcze żyje?

— Niestety! — odrzekł sternik z godną uznania szczerością. — Ma do odsiadki dziesięć lat, niedługo kończy się jego wyrok, a wtedy będzie wolny i pewnie spróbuje zarzucić kotwicę u swojej żony.

— Ale tym razem chyba odejdzie z kwitkiem? Prawda?

— Jestem o tym całkowicie przekonany. Niech się tylko odważy dotknąć ją palcem, a przekona się, kto to jest Balduin Schubert! Wezmę go między pięści, żeby mu się zdawało, że słyszy anioły śpiewające w niebie.

Sternik się rozochocił i pewnie by dalej opowiadał w tym samym tonie, gdyby Falkenau nie skierował rozmowy na inny temat.

— Co powiecie, sterniku, na nasz rejs? Prawda, że wspaniały?

— Cudowny! To jeden z najpiękniejszych kursów, jakie odbyłem pod żaglami. Od czasu sztormu na wysokości Cejlonu mamy morze tak gładkie, jak parkiet damskiego salonu.

Kapitan uśmiechnął się.

— Czy weszliście już na parkiet jakiejś damy?

— Tak przynajmniej sędzę. W domu majora Helbiga, który ma trzy siostry.

— I jak, wyszła na zdrowie ta historia?

— Źle, bardzo źle. Mówię wam, wydawało mi się, że jestem bomkliwerem, od którego wymaga się tańczenia na silnie naprężonej linie tak, aby nie spaść.

Falkenau zaśmiał się:

— To byłoby zbyt wygórowane żądanie. Poza tym jak będziecie pisali do domu, to pozdrowcie ode mnie swoich i Helbigów!

— Dziękuję, . chętnie to uczynię. Ale chwileczkę! Czy mam też pozdrowić od was trzy siostry majora?

— Myślicie, żeby nie?

— Odradzam wam.

— Czemu to?

— Ponieważ wtedy, każda z tych trzech szalup natychmiast pomyśli, że chcecie się obok niej położyć; pokład w pokład, a potem będzie się wam trudno wydostać.

— A więc tak myślicie, sterniku. Nie ma tu żadnego niebezpieczeństwa, bo ja już mocno zarzuciłem swoją kotwicę.

— Ach tak, prawda! Co ze mnie za rekin, skoro wygaduję takie głupoty. Wy już przecież macie żoneczkę, i to taką, że trudno o miłszą.

— Oczywiście, sterniku! A więc pozdrowcie te panie ode mnie! I jeszcze jedno, wasz następny urlop powinniście tak wziąć, abyście mogli w końcu zobaczyć syna.

Falkenau odszedł — i zostawił sternika sam na sam ze swoją radością.

Ledwo kapitan wszedł na tylni pokład, z bocianiego gniazda rozległo się wołanie:

— Łódź, ahój!

— Gdzie?

— Z północnego wschodu.

— Żaglówka?

— Nie, wiosłowa.

Łódź wiosłową na pełnym morzu i to w takiej odległości od lądu, łatwo zauważyć.

— Ilu wiosłarzy?

— Nie wiem. Odległość jest jeszcze zbyt duża.

Właśnie przechodził przez pokład starszy bosman, był to Cygan. Karavey, którego Czytelnik miał już okazję poznać.

— Bosmanie!

— Słucham!

— Przynieś mi moją lunetę z kajuty!

Karavey oddalił się i po chwili wrócił z lunetą. Falkenau rozciągnął ją i skierował w podane miejsce.

— Tak jest! Łódź wiosłowa, a na niej tylko dwóch mężczyzn. No i co na to powiecie bosmanie?

— Rozbitkowie z zatopionego statku.

— Też tak sędzę. Ale uwaga! Wygląda na to, że łódka się od nas odwraca. To mi wygląda podejrzanie. Gdyby byli rozbitkami, płynęliby raczej w naszą stronę. Na pewno już dawno nas zauważyli, gdyż słońce świeci im w plecy. Popatrzcie przez lornetę, bosmanie?

Karavey posłuchał kapitana.

— To prawda. Oni nie chcą o nas nic wiedzieć.

— Wygląda na to, że mają jakiś powód, aby nam zejść z drogi. Trochę ich sobie wybadam. Jak sądzisz, dobry pomysł, bosmanie?

— Jak chcecie, kapitanie! Mnie się też to wszystko wydaje bardzo podejrzane.

Za chwilę rozległ się na pokładzie rozkaz Falkenaua:

— Chłopaki, zwijąć szoty!

Rozkaz wykonano w oka mgnieniu.

— Mat! Północny wschód!

„Tygrys” zakreślił lekki łuk, a wiejący teraz od rufy wiatr tak się oparł na płótnie, że statek nabrał podwójnej prędkości. Wkrótce można było gołym okiem dostrzec łódź.

— Na Boga, coś tak dziwnego widzę po raz pierwszy — stwierdził po chwili Falkenau, który bez przerwy trzymał lunetę, skierowaną na łódkę. — Jeden wiosłuje, jakby miał piekło za sobą, a drugi siedzi z założonymi rękoma i nawet się nie oglądnie, jakby go ta cała historia zupełnie nie obchodziła. Jeśli się mylę, że za tym stoi jakaś diabelska sprawka, to nie chcę być kapitanem tak dobrego statku, jak nasz. Bosmanie, sprowadźcie tu lepiej kilku chłopców! Nie wiadomo, czy nie mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznymi facetami.

Karavey wydał odpowiednie rozkazy, a potem spoglądali wszyscy z napięciem na wodę, co nastąpi dalej. Łódź zbliżała się szybko, lecz jej załoga nie zmieniła swego zachowania: jeden wiosłował ze wszystkich sił, a drugi siedział nieruchomo, jak lalka z wosku. Kapitan pokiwał głową.

— Mój Boże, to chyba wariaci, przecież wiedzą, że szkoda ich każdego uderzenia wiosłem, jakie wykonują.

— Pozwólcie, Kommodre. — zauważył Karavey. — Oni wcale nie wyglądają na stukniętych. Chcą po prostu zyskać na czasie.

— Być może. — Falkenau przyznał mu rację. — Ale ten drugi na ławce przy sterze jest dla mnie zagadką. Podejrzewam, że czyta jakąś książkę. To musi być najciekawsza książka, jaka istnieje, gdyż nie może się od niej oderwać.

„Tygrys” podpłynął bardzo blisko, Falkenau kazał zwinąć żagle. Wykonano tę robotę tak sprawnie, że statek zatrzymał się kilka długości przed łodzią, a potem poruszały go już tylko

fale. W tym samym czasie obserwatorzy na trójmasztowcu zauważyli, jak ten przy sterze wstał i schował jakiś przedmiot na piersi. Ten drugi wciągnął w tej samej chwili wiosło.

Całe ubranie obu mężczyzn składało się z pewnego rodzaju koszuli sięgającej do kostek i mającej na rękawach jakieś znaki. Za pasek służył im zwykły sznurek. Falkenau natychmiast wiedział, o co chodzi.

— Ach, koszule przestępców! Mamy więc do czynienia z więźniami, którzy uciekli prawdopodobnie z Andamanów. No to zobaczymy, co nam nałgają.

Przechylił się przez reling i spytał po angielsku dwóch mężczyzn, którzy z napięciem, ale i bez trwogi spoglądali w górę.

— Skąd przybywacie?

Mniejszego z nich, wyglądającego na zdolniejszego, od swojego towarzysza, przeleciał gwałtowny strach, gdy na rufie trójmasztowca przeczytał napis „Tygrys”. Słyszał o tym statku i wiedział, że należy do Norlandczyków. Ale opanował się do tego stopnia, że nawet najbardziej uważny obserwator niczego by nie dostrzegł. Wszystko zależało teraz od tego, czy na pokładzie znajdował się ktoś, kto go znalazł: wtedy byłby zgubiony. Zauważył też to spojrzenie, jakim kapitan obrzucił jego ubranie i zrozumiał, że najlepiej zrobi, jak będzie mówił prawdę, przy czym oczywiście ani mu było w głowie podać prawdziwe nazwisko. Szybkim spojrzeniem przeleciał twarze mężczyzn przechylonych przez reling, a kiedy nie dojrzał wśród nich nikogo znajomego odpowiedział z ulgą:

— Z Andamanów.

— Tak myślałem. A dokąd to?

— Do Kota Radża.

— I to przypuszczałem. A w jakim celu?

— Panie, oszczędź nam odpowiedzi. Widzę po was, że bez trudu odgadliście, że jesteśmy zbiegami.

— Tak? Widzisz to po mnie? No to jesteś byстрыm facetem. Dlaczego uciekaliście przed nami?

— Ponieważ nie wiedzieliśmy, pod jaką banderą pływacie! Równie dobrze mogliście być Anglikami.

Falkenau zaśmiał się: rozmowa z tymi dwoma sprawiła mu przyjemność.

— Strasznie się chyba boisz Anglików, a nas natomiast nie. Co powiesz na to, żebyśmy was wzięli na trochę do niewoli i potem wydali Anglikom?

— Panie, myśmy wam przecież nic nie zrobili.

— Wiem! — roześmiał się — No, ale chcę wam powiedzieć otwarcie, iż uważam, że kary za popełnione przestępstwa nie są po to, aby zostawały nie wykonane. Ale wy mi nie wyglądacie na zatwardziałych facetów, a poza tym nie mam ochoty bawić się za innych, w strażnika więziennego. Jak się właściwie nazywasz?

— Nazywam się Johnson, panie.

— A więc Anglik. A twój towarzysz?

— To Malaj. Sam nie wiem, jak się nazywa.

— Macie pieniądze na nowe ubranie?

— N...ie — odpowiedział z wahaniem.

— No to jak sprawicie sobie odzież? Będzie kradli, tak? Albo nawet... Przerwał, gdyż wzrok jego padł na łódkę uciekinierów, a tam na jedno miejsce.

— Ach, wyście się już zaopatrzyli w ubrania. Bo tam w dole, pod ławkę przy sterze jest chyba jakiś tobolek? Tak?

— Nie, panie.

— Coś innego?

— Tak, zwłoki.

— Co? Zwłoki? Uciekliście w trojkę, a jeden z was zmarł w czasie drogi?

— Nie, myśmy te zwłoki znaleźli.

Kapitan przez chwilę oniemiał ze zdumienia. Potem wybuchnął:

— Wy hultaje! Chyba chcecie zakpić sobie ze mnie?

— Ani nam to w głowie, panie. To szczerza prawda.

— Ale przecież zwłok nie znajduje się na środku najspokojniejszego morza, jakie sobie można tylko wyobrazić!

— Nie w wodzie, ale w łodzi go znaleźliśmy.

— W łodzi? W jakiej?

— W tej, panie.

— A wasza gdzie jest? Nie żeglowaliście chyba w powietrzu?

— Uciekliśmy łodzią z Andamanów, ale na południe stąd na środku morza zamieniliśmy ją na tę ze zwłokami, ponieważ była znacznie większa.

— Hm? To dziwne! Opowiadaj! Co was spotkało!

Dotychczasowy mówca spełnił prośbę i zrelacjonował wydarzenia bardzo dokładnie, przemilczając jednak znalezisko, jakie odkryli przy zmarłym.

Gdy skończył, Falkenau powiedział z namysłem:

— Twoja relacja wygląda na prawdziwą. Nawet byłbym skłonny w to uwierzyć. Ale takim facetom jak wam, ufać nie można. Może ten człowiek jeszcze żył, a wyście go zakatrupili?

— Ależ panie! My nie jesteśmy mordercami.

— Powiedzcie mi jeszcze jedno! Na pewno przeszukaliście nieboszczyka. Czy nie znaleźliście przy nim niczego, z czego by można wnioskować, co to za jeden?

— Niczego nie znaleźliśmy.

— Dziwne! Naprawdę nie miał niczego przy sobie? Sprawa zasługuje na to, aby się nią bliżej zająć. Chodźcie na pokład!

— Panie, powiedzieliśmy prawdę. Puśćcie nas!

— Jeżeli rzeczywiście mówiliście prawdę, to obiecuję wam, że za pół godziny będziecie mogli bez przeszkód iść swoją drogą. Póki co, macie być posłuszni, jeżeli nie chcecie zatonać.

Nie było co polemizować z tymi pogroźkami. Obaj zrozumieli, że muszą się podporządkować i poddali się losowi, choć się w nich aż gotowało.

Na rozkaz Falkenua podpłynęli łodzią blisko kadłuba „Tygrysa”. Potem rzucono im linę, po której wdrapali się na pokład. Jeden z marynarzy musiał na rozkaz kapitana zejść w dół, aby przynieść zmarłego. Potem gdy zwłoki leżały już na pokładzie, wychudzona postać zrobiła wielkie wrażenie na stojących wokoło.

Kapitan pochylił się nad nią celem dokonania oględzin, ale duch głodu pozostawił tak wyraźne ślady, iż tylko przez chwilę można było powątpiewać w to jaką śmiercią zmarł ten człowiek. Falkenau podniósł się i zwrócił do obu uciekinierów, stojących obok i czekających z wielką, dość widoczną niecierpliwością.

— Ten człowiek zagłodził się na śmierć. Ale twierdząc, że nic przy sobie nie miał, toście chyba żartowali.

— Nie żartowaliśmy, panie.

— Co schowałeś, gdy podpływaaliśmy?

— Nic nie schowałem.

— Nie kłam, chłopie! Dobrze widziałem.

Gdy ten spostrzegł, że jego tajemnica jest w niebezpieczeństwie, zmienił swój dotychczas uprzejmy ton.

— Zostawcie nas w spokoju, panie! To, co mam przy sobie jest moją własnością.

— Jeżeli się okaże, że to jest twoją własnością, to przy tobie pozostanie.

— Chcecie mnie pozbawić znaleźnego?

— Ach, więc chodzi jednak o to, co znaleźliście przy zwłokach. Wyciągnijcie to!

— A jesteście może parne, spadkobiercą zmarłego?

— Człowieku, nie bądź bezczelny! Dawaj to! Mam ci może pomóc?

— Wyciągam! Ale ty tego nie dostaniesz, lecz morze!

Mówiąc te słowa sięgnął błyskawicznie do dekoltu swej koszuli i wyciągnął dziennik zmarłego, aby zrealizować swą pogroźkę. Nie uwzględnił jednak w tym wszystkim — sternika.

Podczas całego zajścia skończyła się właśnie jego służba. Przyszedł zmiennik, a zaciekawiony sternik zbliżył się do grupy, jaka utworzyła się wokół zbiegłych przestępców. Zupełnie przypadkowo stanął za tym, który podał się za Johnsona. Ten był tak zajęty gadaniem, że nie zauważył, że ktoś mu stanął za plecami. W momencie, kiedy ręka z dziennikiem wysuwała się z koszuli, na tegoż barkach wylądowały obie ręce sternika z taką siłą, że aż mu dech zaparło i charcząc zgiął się w pół. Jeden chwyt... i sternik trzymał zagrożoną książeczkę w pięści.

— Dobrze, sterniku! — pochwalił kapitan — Nie wypuścić go! Zobaczymy czy ma jeszcze coś przy sobie, co nie jest jego własnością.

Uścisk w jakim znalazł się zniecka napadnięty, był tak silny, że jedyne, co mógł, to wierzgać nogami.

Malaj, który dotychczas nawet ust nie otworzył, miał zamiar pospieszyć swemu towarzyszowi z pomocą, ale gdy ujrzał przed sobą same groźne twarze, z przerażenia ani drgnął. Ale jego oczy pożądliwie spoglądały na książeczkę, którą sternik wręczył kapitanowi,

— Proszę, kapitanie, weźcie tę rzecz na przechowanie. Ale uważajcie na tego drugiego! On wytrzeszcza oczy, jak bulaje.

— Nie bój się sterniku! Już my mu te bzdury bardzo szybko wybijemy z głowy.

Jedno skinienie Falkenaua wystarczyło. Malaj w momencie został schwytyany i powalony przez pięciu chłopów. W trakcie tego sternik kontynuował przeszukiwanie więźnia. Niebawem znalazł sakiewkę z klejnotami i wręczył ją kapitanowi, który po jej otwarciu, aż krzyknął ze zdumienia.

— Perły! Najprawdziwsze perły z najczystszej wody! Toż to cały majątek! Człowieku, nie powiesz chyba, że przestępca skazany na przymusowe roboty może zarobić takie skarby?!

Więzień milczał zgrzytając zębami.

— Czy powiesz, od kogo pochodzą te perły?

Milczenie.

— No, zmusimy cię do gadania. Sterniku, puście tego faceta!

Wykonując to polecenie, sternik po raz pierwszy spojrzał więźniowi w twarz i wzdrygnął się, jakby ukąszony przez węża.

— Do stu piorunów! A któż to?

— Znacie go może? — spytał Falkenau szybko.

— Oczywiście i to bardzo dobrze! Powiedzcie, jakie nazwisko wam podał?

— Johnson.

— Kłamstwo, nic innego, jak czyste kłamstwo! Znam go pod zupełnie innym nazwiskiem.

Ten człowiek nazywa się Natter.

— Natter? Niemożliwe! Ależ tak! To mógłby być on. Mówiono przecież, że ten niebezpieczny dla naszego kraju człowiek został wydalony do Anglii.

— To on, kapitanie, to na pewno on. Możecie na mnie polegać, dobrze znam tego człowieka.

Wymieniony zbladł, gdy usłyszał niespodziewanie swoje nazwisko. Było to uderzenie, jakiego nie oczekiwał. Daremnie usiłował zachowywać się swobodnie, kiedy zawołał:

— Mylicie się, panie. Nazywam się tak, jak powiedziałem: Johnson'

— Nie wmawiaj mi takich bzdur, chłopie! — roześmiał się sternik. — W Norlandii nazywałeś się Natter.

— Nigdy w życiu nie byłem w Norlandii.

— Nie łżyj! Takiej twarzy jak twoja, tak łatwo nie można zapomnieć. A i po tobie widzę, że mnie rozpoznałeś.

— A jednak jesteście w błędzie, panie. Ujrzałem was dzisiaj pierwszy raz.

— Do stu piorunów! Mam już tego dość! Czy przyznasz się, że byłeś w Norlandii i nazywałeś się Natter?

Mówiąc to podszedł do niego i tak silnie zacisnął mu ramiona wokół brzucha, że Natter stracił słuch i wzrok, a jego twarz nabrała koloru purpury.

— Zostawcie mnie, panie! Zgnieciecie mnie przecież!

— To ty jesteś Natter, czy nie?

— Tak, do stu diabłów, to ja.

— Widzisz, jak szybko odzyskałeś mowę? A teraz chcę wiedzieć, od kogo masz sakiewkę z perłami. Mów, bo inaczej zgmiotę cię jak gąbkę!

— Już będę mówić. Wziąłem ją temu zmarłemu.

— Dobrze, mój chłopcze. Muszę cię pochwalić, że się tak szybko poddałeś. Tak, to żadna przyjemność pozeglować w ramiona sternika Schuberta. A teraz spełnię twoje życzenie.

Mówiąc te słowa zdjął swe ramiona z pleców dręczonego, który głęboko westchnął z ulgi.

— Sterniku, dobrze to zrobiliście — pochwalił go kapitan — Czy to nie dziwne, że Schubert odegrał potrójną rolę w zdemaskowaniu tego człowieka? Tak, tak! — zaśmiał się gdy ujrzał zdziwioną minę Nattera. — Jeszcze pewnie nie wiesz, komu zawdzięczasz drugą porażkę. Ten

czternastoletni chłopak, który cię przed dziesięciu laty, w tak pięknym stylu zwabił w sidła, jest nikiem innym, a synem naszego sternika.

Natter, który faktycznie nic o tym nie wiedział, zagryzł tylko wargi i milczał.

— Człowieku, jak poważnie musiałeś naruszyć prawo Anglii, skoro cię wysłano na Andamany! To mnie oczywiście nic nie obchodzi, ale postaram się o to, aby za to co nagrzeszyłeś w Norlandii, spotkała cię zasłużona kara. Zwiążcie tych facetów i wsadźcie ich do więzienia!

Szybko i ochoczo wykonano ten rozkaz. Natter zrozumiał, że tym razem musiał uznać grę za przegraną, poddał się więc bez sprzeciwu swemu losowi i dał się związać. To samo stało się z jego towarzyszem. Potem zaprowadzono ich pod pokład.

Obaj przestępcy zostali usunięci przez załogę, a gdy kapitan i sternik zostali sami, to ten ostatni wyciągnął z kieszeni zapiski zmarłego i oddał kapitanowi.

— Zobaczmy, czy dowiemy się czegoś o nazwisku lub rodzime zmarłego. Hm, wygląda na to, że był wykształconym człowiekiem, sądząc po sposobie wyrażania się — stwierdził, gdy oczami przebiegł pierwszą stronę.

Przez chwilę przewracał kartki, aż się zatrzymał.

— Otóż i mamy! — zawołał ucieszony — Ten mężczyzna nazywał się Gollwitz. Hugo von Gollwitz, i pochodzi z Süderlandii.

— Gollwitz... Gollwitz — zamyślił się sternik. — Gdzie ja już słyszałem to nazwisko? Stop! Mam! Kapitanie, ja znalazłem tego człowieka.

— Naprawdę? To byłoby wprost zdumiewające. Gdzie i kiedy widzieliście go?

— Tak, to było dawno, bardzo dawno, jakieś dwadzieścia pięć lat temu. Byłem wtedy marynarzem na angielskim okręcie wojennym. Płynął z nami młody człowiek o nazwisku Gollwitz. Nosił się z zamiarem wstąpienia do angielskich oddziałów kolonialnych, jako ochotnik. Co się z nim później stało, nie wiem. Ale zachowałem go w swej pamięci, gdyż wcale nie był dumny, ani wyniosły. Bardzo przyjaźnie rozmawiał z nami, prostymi marynarzami.

— To on, bez wątplenia — potwierdził przysłuchujący się z uwagą kapitan. — Píše w swoim pamiętniku o służbie ochotniczej. Sterniku, mamy coś, czym zgotujemy rodzinie Gollwitzów wielką radość, a może jeszcze coś więcej. Nie mam teraz czasu na czytanie, zostawię to na później. Weźcie to na przechowanie, Schubert. Jako pierwszy macie do tego prawo, ponieważ to wyście uchronili pamiętnik przed zniszczeniem. Bez waszej interwencji ten łotr wykonałby swój zamiar i wrzuciłby to do morza. A kiedy przyplniemy w nasze rodzinne strony, co będzie miało miejsce za kilka miesięcy, to będziecie mieli zaszczyt i radość móc

wręczyć rodzinie Gollwitzów ostania wolę zmarłego. Sakiewką zmarłego sam się w międzyczasie zajmę.

W tej samej chwili w pomieszczeniu, w którym ulokowano zbiegów, miała miejsce inna rozmowa. Miejsce gdzie leżeli, było raczej przepierzeniem, niż kajutą. Ich ręce i nogi były solidnie skrępowane rzemieniami.

Gdy ucichły kroki marynarzy, którzy ich tu przyprowadzili, nastąpiła chwila ciszy. Minęło pięć minut, a potem kolejne pięć. Naraz Malaj westchnął głęboko.

— Sahibie!

— Tak. Czego chcesz?

— Myślisz, że mogą nas podsłuchiwać?

— Nie, wykluczone. Przysłuchiwałem się dokładnie odgłosowi kroków, kiedy ci ludzie się oddalali. Czterech nas tu przywiódło i czterech odeszło. Straż nas nie pilnuje, gdyż jesteśmy tak związani, że ledwo możemy się poruszać.

— Powinieneś być posłuchać mojej rady i zaraz wrzucić zmarłego do wody. Wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie zrewidowaliby nas i puścili wolno.

— Nie łudź się! Na pewno by nas te psy zatrzymały, ponieważ sternik, którego chyba sam diabeł sprowadził, rozpoznał mnie.

— Myślisz, że mamy szansę uratować się?

— Nie tracę nadziei.

— Naprawdę?

— Tak. Ci Norlandczycy zawiozą nas z pewnością do Kota Radża, gdzie przekażą na angielski statek. Prawdopodobnie przybędziemy tam po zapadnięciu zmroku, więc dzisiejszej nocy będziemy jeszcze bezpieczni. Może nadarzy się więc okazja do ucieczki. Żeby chociaż nie było tych przeklętych rzemieni, które się człowiekowi tak mocno wrzynają w skórę.

— Co tam rzemienie! — roześmiał się Malaj pogardliwie. — Znasz przecież moje zęby. Nie ma takiego rzemienia, który stawiałby opór mojemu ostremu uzębieniu. Poczekaj tylko, aż się ściemni. Wtedy ja rozgryzę twoje więzy, a potem ty mnie rozwiążesz.

— Faktycznie, możnaby tak zrobić — ucieszył się Natter. — Wtedy pozostanie nam tylko jedna trudność do pokonania, jak wy dostać się z tej paki. Na razie nie mam pojęcia, jak to zorganizować, ale próbować trzeba. Jeżeli nie zdołamy się uwolnić do rana, to będziemy zgubieni.

— Ale co wtedy, gdy szczęśliwie uwolnimy się z tych pęt i wydostaniemy stąd?

— Wtedy wyskoczmy po prostu za burtę i popłyniemy do brzegu.

— W tych naszych koszulach, które natychmiast zdradzą nas każdemu, kto nas zobaczy?

— Masz rację. Musimy załatwić sobie ubrania marynarskie. Muszę złożyć również wizytę w kajucie kapitana.

— A to w jakim celu?

— Uważasz, że dobrowolnie zrezygnuję z sakiewki z perłami? Potrzebujemy pieniędzy i dlatego pójdę po to, co mi się prawnie należy, jako znaleźne.

— Ale w ten sposób narazimy się na dodatkowe niebezpieczeństwo.

— Niebezpieczeństwo nasze zwiększy się, jeżeli pozostaniemy bez środków do życia. Poza tym nie widzę tego tak czarno jak ty. Przypuszczam, że dowódca, kiedy tylko statek zarzuci kotwicę pójdzie natychmiast na ląd, więc nie obawiam się spotkania z nim. No ale już dosyć gadania. Najlepiej będzie, jeżeli się prześpiemy kilka godzin, żebyśmy wieczorem byli wypoczęci. W ostatnich dniach prawie nie zmrużyliśmy oka.

Natter obudził się po kilku godzinach. Przyjął postawę siedzącą i nadśluchiwał. Panowała całkowita cisza. Także szum wody pod kilem był niezauważalny, z czego wnosił, że statek był zakotwiczony. Nic innego nie mógł zauważyć, gdyż w tym przepierzeniu, w którym leżeli, było cały czas kompletnie ciemno. Natter nie wiedział więc, czy to późne popołudnie, czy wieczór.

Jego towarzysz jeszcze spał, słysząc było wyraźnie jego głęboki oddech. Obudził się natychmiast, gdy Natter go zawołał i spytał:

— Sahibie, zaczynamy?

— Jeszcze chwilę poczekaj! Nie wiem wprawdzie, która jest godzina, ale chyba nie spaliśmy za długo, w tym gołębniku. Możliwe, że przed nadejściem nocy będziemy mieli jeszcze gości.

Wkrótce okazało się, że dobrze zrobili czekając. Zatrzeszczały, schody. Ktoś zszedł po nich, zatrzymał się na dole i zapalił światło. Przez szczeliny w drzwiach Natter zauważył poświatę. Ponieważ drzwi były z miękkiego drewna, deski tak się skurczyły z biegiem czasu, że kilka szczelin było szerszych niż grzbiet noża.

Natter pomyślał natychmiast o ryglu. Poszukał oczami i łatwo go znalazł. Był umieszczony w środku drzwi i akurat tam, gdzie wchodził w futrynę, była nadająca się szczelina, więc serce Nattera mocniej zabiło z radości. Jeżeli się ostry przedmiot wsunie w tę szparę i uderzy nim w rygiel, to na pewno się poruszy, a więc będzie można otworzyć drzwi od wewnątrz.

Po tej obserwacji, na którą potrzebował tylko dwie lub trzy sekundy, drzwi otworzyły się i wszedł marynarz. Przy świetle lampy, jaką ten mężczyzna trzymał w ręce, mogli po raz pierwszy obejrzeć swe więzienie.

Było to wąskie pomieszczenie, niezbyt wysokie, ale marynarz mógł tu bez kłopotu stanąć. Nic tu nie było, oprócz obu pojmanych, nawet jednego haka, czy gwoźdźca.

— No, jak wam się tu podoba? — zaśmiał się przybyły. — Pokażcie swoje więzy! Zobaczymy, czy się w międzyczasie nie poluzowały.

Postawił lampę i obejrzał sobie rzemienie. Był zadowolony z tego, co zobaczył. Na jego twarzy pojawił się szydery uśmiech.

— Więzy są dobre. Nigdy się z nich nie uwolnicie. Dzisiaj macie jeszcze znośnie, ale jutro! Powiem wam, że w porcie stoją dwa angielskie statki. Jeden z nich was zabierze, a wtedy, niech wam Bóg będzie łaskawy!

Pojmani milczeli, a marynarz ciągnął dalej:

— Kapitan i sternik powiosłowali przed godziną na ląd. Ale żebyście nie skarżyli się na brak gościnności zarządził, aby wam dano jeść i pić. Dlatego jestem tu u was, chociaż tam z przodu, w kubryku, gdzie jest dzisiaj tak wesoło, byłoby o wiele przyjemniej.

Po tych słowach wyszedł przed drzwi i przyniósł bochenek chleba oraz dzbanek z wodą, które zostawił na schodach.

— Ale skrępowanymi rękami nie możemy przecież jeść — odezwał się Natter.

— Nic nie szkodzi, mój chłopcze. Będę was obsługiwał żeby wam się wydawało, iż siedzicie na kolanach u swej matki, która wam wsadza do ust chleb z cukrem.

Powiedziawszy to, wyciągnął nóż i rozpoczął „karmienie”, wsadzając kawałek chleba do ust raz Natterowi, raz jego współnikowi. Mężczyznom, którzy od samego rana nic nie jedli i byli okropnie głodni, podobało się nawet to matkowanie i nie trwało to długo, jak bochenek chleba zniknął.

— No dzieci, widzę, że wam to smakowało. A ponieważ nie powinno się załatwiać sprawy tylko połowicznie, dostaniecie teraz coś do picia.

Złapał pięciolitrowy dzbanek i przystawił go do ust pojmanych. Gdy napili się do syta, odstawił go na bok i odezwał się zadowolony:

— No, dzieci, teraz jesteście najedzone i będziecie chciały spać. Życzę wam naprawdę spokojnej nocy. Poza tym syn mojej matki jest zadowolony, że nie znajduje się w waszej skórze.

Znowu wziął lampę, wyszedł za drzwi i zasunął tygiel. Lampę zgasił, postawił przy pierwszym schodzie i poszedł na górę. Dzbanek z niedopitą wodą zostawił obok więźniów, chociaż mógłby właściwie powiedzieć, że na nic on się zda związanym mężczyznom.

Natter śledził rysim wzrokiem każdy ruch marynarza i z satysfakcją zauważył, że dzban się ostał. Gdy kroki ucichły. Małaj odezwał się:

— On już sobie poszedł, sahibie. Możemy zaczynać. Odwróć się na bok w ten sposób, abym mógł zębami dosięgnąć twych rzemieni!

— To już nie jest konieczne. Znam sposób, który pomoże nam szybciej dotrzeć do celu. Ten człowiek miał wspaniały pomysł, aby zostawić nam dzbanek. Rozbijemy go po prostu, a za pomocą jakiejś skorupy z łatwością przetniemy rzemienie.

— Ale może nas zdradzić hałas, jaki powstanie przy rozbijaniu i wszystko zniszczyć.

— Och. — stwierdził beztrząs Natter — tego nie usłyszą. Marynarz powiedział przecież, że w kubryku jest dzisiaj wesoło. Co to oznacza i jaki hałas jest wtedy wiesz tak dobrze, jak ja. A słyszysz tu choć jeden dźwięk? Żaden, nawet najmniejszy odgłos powstały przy rozbijaniu dzbanka, nie wydostanie się z tego pomieszczenia. W ogóle nie mogliśmy lepiej trafić. Kapitana nie ma, a załoga zabawia się. Pokład jest więc pusty, no z wyjątkiem wachty, i musiałyby to być naprawdę diabelska sprawka, żeby się nasz plan nie udał. Ale dosyć gadania! Za pół godziny musimy być wolni.

Ponieważ pomieszczenie było ciasne, dzbanek stał tuż obok. Natter przesunął się w jego kierunku powoli, aż dotknął go stopami. Udało mu się dzbanek dostać między kolana, które ostrożnie podnosił. Mocno ściśnięte pęta na stawach skokowych współdziałały, odgrywając rolę dźwigni — i... brzdęk poinformował obu, że dzban rozleciał się w kawałki. Nie miał na to wpływu, aby skorupy nie pokaleczyły jego kolana. Ale cóż to dla takiego faceta, kutego na cztery łapy!

Natter próbował sięgnąć po skorupę dzbanka. Nie był to łatwe, gdyż ręce miał związane na plecach, ale jakoś się udało. Potem Malaj przesunął się na plecach w jego stronę, aby rzemienie na przegubach ręki znalazły się blisko kawałków dzbanka.

To była mozolna praca, pot spływał Natterowi dużymi kroplami z czoła. Ale po dziesięciu minutach rzemień był na tyle przepiłowany, że Malaj mógł go z łatwością rozerwać. Reszta była dziełem kilku minut. Oswobodzeni stanęli po krótkim czasie na własnych nogach, przeciągali na wszystkie strony swe zgrabiałe kończyny.

— Co teraz? — sapał Malaj — Jak się wydostaniemy z tej dziury?

— Bez trudu. Czy nie zauważyłeś przedtem przy blasku lampy, że między drzwiami, a węgarem znajduje się szeroka szczelina? Jak wsadzimy przez nią ostry kawałek dzbanka i uderzymy nim zasuwę, to z łatwością ją otworzymy.

Także ta robota posuwała się szybko. Wprawdzie Natter potrzebował na to trochę więcej czasu, gdyż w ciemności był zdany tylko na dotyk, ale jak tylko szpic skorupy wsadził w miejsce zasuwy, na jakie się natknął, udało mu się, centymetr po centymetrze odsunąć ją.

Jeszcze nie upłynęło pół godziny, o której mówił Natter, jak obaj wydostali się za drzwi. Teraz należało zachować najwyższą ostrożność. Malaj pozostał i czekał, a Natter skradał się do

schodów. Przy tym poruszył nogą lampę, którą marynarz tam zostawił. Coś go natchnęło, schylił się i podniósł ją, w ten sposób natknął się na pudełko zapalek.

Przybywszy w końcu na pokład, rozejrzył się dokoła. Paliło się tylko jedno jedyne światło, latarnia wisząca na fokmaszcie. Natter znał na tyle statek, żeby wiedzieć, gdzie szukać kajuty kapitana. Wykorzystując najbliższy cień jako osłonę, przeszedł obok głównego masztu, o który opierała się jakaś postać. Swoją wzrok miała skierowany na nocne niebo, była to wachta pokładowa.

Niezauważony dotarł do kajuty kapitana. Spróbował nacisnąć klamkę i udało się, kabina nie była zamknięta. Wślizgnął się do niej szybko i przywarł za sobą drzwi. Otoczyła go tutaj głęboka ciemność, za wyjątkiem słabego przyćmionego światełka, wpadającego przez okna kajuty, które znajdowały się od strony w ody. Dlatego też odważył się zapalić światło. Jego pierwsze spojrzenie padło na stojące przy tylnej ścianie biurko, szczególną uwagę przyciągała stojąca na środku szafeczka. Jeśli gdzieś, to właśnie tam musiała się znajdować sakiewka z perłami. Ale jak się do nich dostać? Szukając, rozglądał się wokół siebie, zatrzymał wzrok na nożyku do papieru, który leżał na stole pośród różnych papierów. Szybko zdecydował, wziął go do ręki i wcisnął? Nożyk łatwo wszedł między zamkiem, a ściankę szafki. Trud już niebawem został nagrodzony, usłyszał cichy trzask i drzwiczki odskoczyły.

Intruz musiał się opanować, aby zbyt głośno nie wyrazić swej radości. Ujrzał to, czego szukał, sakiewkę, a obok kilka rolek pieniędzy. Wszystko błyskawicznie zniknęło za pazuchą. Szukał i szperał w papierach, ale po dzienniku nie było ani śladu. To niedobrze. Gdyby tak dotarł do rodziny zmarłego, to wszystko to, o czym wiedział, byłoby bezużyteczne. Ale nie wolno mu było tracić czasu na szukanie. Dlatego zatrzasnął ponownie zamek szafki, aby jego wizyta nie została zbyt wcześnie odkryta, potem zgasił lampę i wyszedł na pokład. Tą samą drogą, co uprzednio, dotarł do schodów, przy których czekał zniecierpliwiony Malaj.

— Ależ to trwało długo. Balem się już, że cię nakryli.

— Udało się. Mam i perły, i pieniądze!

Zdziwienie jego towarzysza było bezgraniczne.

— Masz perły? Och, no to wszystko w porządku! Ale jak ci się udało?

— Opowiem ci potem. Teraz nie mamy na to czasu. Nie zapominaj, że jeszcze musimy skombinować odzież.

— Racja! Ale. Sahibie, pozwól mi to zrobić. Znam się na tym, wiem gdzie tego szukać.

— No, gdzie? — spytał Natter.

— Oczywiście w sypialni załogi. Najważniejsze, żeby nikogo tam nie było. Pozwól mi to zrobić! Nie jestem po raz pierwszy na statku.

— Dobrze, nie mamy się czego obawiać. W taki wieczór jak dziś żaden marynarz nie położy się do koi.

— No, to nie będzie trudności. Poczekaj tu na mnie, sahibie.

Chwilę później Malaj zniknął w ciemnościach, a czekać musiał teraz Natter. Jego cierpliwość została wystawiona na ciężką próbę. Już pomyślał sobie, że tamtemu wydarzyło się jakieś nieszczęście, gdy ten długo oczekiwany pojawił się na schodach. Na ramieniu dźwigał duży tobołek odzieży; Nawet buty i czapki tam były, aby w razie pomyślnego dopłynięcia na ląd, nie zwracali na siebie uwagi.

Szybko zrobili z tej odzieży dwa tobołki. Każdy z nich umocował jeden na głowie, aby w miarę możliwości chronić go przed wodą. Potem udali się w stronę trapu, który ku ich radości był opuszczony. Nie zwinęli go po opuszczeniu statku przez kapitana i sternika. Jeszcze kilka chwil i obaj przestępcy zniknęli w ciemnościach nocy.

Nie wysilając się zbytnio, udało im się wykonać to trudne, wyglądające wprost na niemożliwe, zdanie. Po raz kolejny wyniknęli się spod oka sprawiedliwości.

Gdy następnego ranka zauważono ich zniknięcie, powiadomiono natychmiast straż przybrzeżną. Jednak daremne były jakiegokolwiek wysiłki.

Obaj mężczyźni, za których złapanie Falkenau wyznaczył wysoką nagrodę, zniknęli.

* * *

Granicę między Norlandią, a Süderlandią tworzył łańcuch górski, nie mający równych sobie pod względem wspaniałości. Krajobrazy pełne najstraszniejszej dzikości, budzące w sercu wędrowca wspomnienie średniowiecznego zbójckiego romantyzmu, przeplatają się z obrazami pełnymi wdzięku, przy których użycie słowa „nieporównywalny” to stanowczo za mało. Miłośnicy przyrody wędrują z prawdziwą przyjemnością, drogą prowadzącą na południe od Helbigsdorf, która pnie się ku górze w stronę przełęczy Himmelstein, skąd opadając powoli zstępuje znowu w dolinę. Każde zakole odsłania nowy, zaskakujący widok tak, że zaskoczeniu i podziwianiu nie ma końca. A kiedy wędrowiec dotrze już do przełęczy i przystając spojrzy na przebyłą drogę, jest jakby upojony tą wspaniałością, jaka ściele się przed oczyma. A gdy odwróci głowę na południe, aby kontynuować drogę, nie może oderwać nóg od tego miejsca.

Z przełęczy prowadzi jeszcze dalej ku górze, dobrze utrzymana droga z wieloma zakolami i kończy się przy zewnętrznych schodach zamku, który podobnie jak góra nosi nazwę

Himmelstein. Zamek ten nigdy nie był zdobywany ani niszczony, co zawdzięczał swemu niedostępnemu położeniu.

Ale ząb czasu ponadgryzał jego mury, a gdy wszedł w posiadanie hrabiowskiej rodziny Hoheneck, przeprowadzenie gruntownego remontu stało się koniecznością. Wyposażenie zamku dostosowano do wymogów obecnych czasów. Teraz jest prywatną posiadłością młodszego hrabiego Hoheneck, zwanego „szalonym hrabią”. Odziedziczył go po matce, podczas gdy spadek po ojcu musiał odstąpić Nurwanowi Paszy, starszemu bratu ojca i prawowitemu właścicielowi. Tutaj zaszywał się co roku na kilka miesięcy, aby polować w rozległych lasach, gdy wyczerpały go już miejskie przyjemności.

Jeśli powędrujemy grzbietem górskim na wschód, zostawiając zamek w tyle, to po pięciu minutach dojdziemy do małego jeziora, otoczonego mrocznym lasem jodłowym. Jezioro zasilane jest przez strumyk górski, który nadmiar wody wieloma kaskadami wlewa do głębokiego wąwozu, nazwanego „piekielnym wąwozem”

To urwisko jest więcej niż romantyczne, jest straszne. Górna część, zwrócona w stronę zamku, jest zupełnie nie do przebycia, gdyż spadający z góry potok tworzy tutaj szeroki wodospad, wypełniając całkowicie dno wąwozu Ściany wznoszą się pionowo w górę i żaden wspinający się, nawet ten najśmielszy, nie odważyłby się postawić nogi na spadzistej i oślizgłej, stale zroszonej przez wodospad, pęknięcia skalne.

Dopiero kawałek dalej, niżej, wąwóz staje się szerszy, przez co robi miejsce mało uczęszczanej ścieżce, kończącej się za kwadrans w poprzecznej dolinie, przez którą prowadzi zły, wyboisty gościniec.

W wielkim, z przepychem urządzonym narożnym pokoju siedział przy obficie zastawionym stole, na którym stało śniadanie. „szalony hrabia”. Widok roztaczający się z okien tego pokoju był chyba jednym z najpiękniejszych na ziemi, ale hrabia był nieczuły na piękno natury. Lubieżna powieść francuska, którą właśnie przeglądał, dostarczała mu więcej rozkoszy.

Pokoje hrabiego były ciągle tymi samymi komnatami, w których mieszkali niegdyś dawni Himmelsteinowie. Zniknęły jednak ciężkie dębowe meble, aby ustąpić miejsca nowemu stylowi, a małe okna z okrągłymi szybami zostały zastąpione dużymi, szlifowanymi szklanymi taflami, które w czasie zachodu słońca połyskiwały jak rozżarzone złoto. Z tego miejsca dawni rycerze oddawali się szlachetnemu rzemiosłu rozboju, stąd też hrabia kontynuował to piękne rzemiosło, w sposób dostosowany do współczesnych warunków.

Wtem otworzyły się drzwi i wszedł kamerdyner. Już raz spotkaliśmy go wtedy, gdy miał przewieźć przez granicę, w powozie hrabiego trzech zbiegów z więzienia Hochberg.

Hrabia podniósł wzrok znad książki.

— No, Geissler, z czym przychodzisz?

Panie hrabio, w przedpokoju jest jakiś człowiek, który prosi o rozmowę.

Czy nie powiedzieliście mu, że z nikim nie rozmawiam?

— Nie, nie odważyłem się.

— Nie odważyłeś się? — spytał zdziwiony Hohenegg.

— Tak jest. Pan hrabia na pewno się zdziwi, kiedy wymienię jego nazwisko.

— No, jestem ciekaw.

— Z łatwością zaspokoję ciekawość pana hrabiego: to Mericourt.

— Co? — krzyknął Hohenegg zrywając się z krzesła — Mericourt? Którego Mericourta masz na myśli? Może tego, którego Anglicy nazywają się Johnson, a w Norlandii Natter?

— Tak jest, panie hrabio! Właśnie, jego.

— To niemożliwe. Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić, żeby Anglicy wypuścili go na wolność.

— Mam go wpuścić, panie hrabio? On panu najlepiej sam odpowie na pańskie pytania.

— Tak, macie rację. Wprowadźcie go!

Kamerdynier oddał się, aby wprowadzić gościa. Nikt nie rozpoznałby w tym wytwornym, ubranym wedle najnowszej, paryskiej mody, przekraczającym teraz lekkim krokiem próg, uciekiniera z Andamanów.

— Natter! — zawołał hrabia, cofając się ze zdziwienia o krok — A więc jednak! Cuda się jeszcze zdarzają!

— Mnie chyba pan nie oczekiwał, panie hrabio?

— Nie, oczywiście, że nie! Niech mnie diabli wezmą, jeżeli to nie jest prawda.

— Może zatem nie jestem przez pana mile widziany?

— Do diabła, nie! Nie to miałem na myśli. Nie sądzę, aby pan moje zdziwienie opacznie zrozumiał. Nie mogę się tylko nadziwić, że Anglicy wypuścili pana na wolność.

— Co takiego? — roześmiał się Natter — Nie byli znowu tacy dobrodusznicy.

— Nie? To pan? To pan...?

— Tak. Właśnie tak. Szczęśliwie udało mi się uciec.

— Musi mi pan to opowiedzieć. Ale najpierw proszę usiąść i pomóc mi zjeść śniadanie!

Natter skorzystał z zaproszenia i usiadł naprzeciw hrabiego. Ten nacisnął guzik dzwonka stołowego i rozkazał wchodzącemu kamerdynierowi:

— Przynieś szybko drugie nakrycie dla tego pana!

A kiedy potem wino iskrzyło się w szlifowanych kieliszkach, hrabia nie potrafił już dłużej pohamować swojej ciekawości.

— A więc przybywa pan teraz z Anglii?

— Nie, hrabio, bardzo się pan myli. Zjawiam się prosto z Andamanów.

— Z An...? — widelec wypadł z dłoni niepomiernie zdziwionego. — Ależ to prawie niemożliwe! Na sto przypadków próby ucieczki z tej wyspy, nie udaje się to prawie nikomu.

— Proszę zatem potraktować mój przypadek jako jeden z tych nielicznych wyjątków. Pozwoli pan, że mu opowiem. Wysłucha pan opowieści, która bardziej pana zafascynuje niż ta książka, którą pan czytał przed moim przytyciem.

I Natter opowiadał słuchającemu z uwagą hrabiemu o rzeczach, które tworzą treść poprzednich rozdziałów. Nie przerywał mu ani słowem, a gdy opowiadający po godzinie skończył, danie na talerzu hrabiego pozostało nietknięte, wino zresztą też.

— Natter, to była cudowna historia. A co pan teraz zamierza zrobić?

— Nietrudno zgadnąć. Zajmę się odszukaniem i zdobyciem skarbu.

— Ale on nie należy do pana!

— Do Gollwitzów też nie. Nie ma żadnych podstaw prawnych, na mocy których mogliby sobie rościć prawo do skarbu. Związek Hugo von Gollwitza z Begum nie był zawarty prawnie, a więc był nieważny. A poza tym traktuję tę sprawę jak sprawę honoru. Gollwitz tak lekceważąco pisał w swym dzienniku o Mericourcie, że ja, jego brat, nie mam zamiaru pozostawić tego bezkarnie. Nie, skarb musi być mój.

— A zna pan położenie tej wyspy, na której znajduje się ów skarb?

— Tak, dokładnie zapamiętałem sobie wszystkie dane.

— I zna pan też kryjówkę i dojście do niej?

— Tak, albo i nie. To zależy, jak się na to patrzy. Gollwitz mianowicie, tak to ujął w swym dzienniku, że tylko jedna osoba z jego rodziny może odkryć dojście do kryjówki.

— No to wobec tego, pana starania będą daremne.

— Poczekamy, zobaczymy. Najpierw chodzi mi o to, abym został wprowadzony do rodziny Gollwitzów, a w tym pomoże mi pan.

— Ja? — spytał zdumiony hrabia — A jak mam panu w tym pomóc?

— Da mi pan list polecający do rodziny, Gollwitzów. Właśnie dlatego przyjechałem do pana.

Słyszając tę wiadomość hrabia wybuchnął głośnym śmiechem.

— Drogi przyjacielu, to źle pan trafił. Zapewniam pana, że moje polecenie odniosłoby akurat odwrotny skutek. Natychmiast wyrzucono by pana na ulicę.

— Nie wierzę. Dowiedziałem się, że dobrze się znać.

To prawda. Ale ta znajomość, mówiąc zwyczajnie, nazywa się wrogością.

Jesteście do siebie wrogo nastawieni? Ale dlaczego, z jakiego powodu?

— Drogi przyjacielu, to bardzo stare dzieje, o których niechętnie opowiadam. Niech się pan zadowoli tym: kiedy panu mówię, że moja rekomendacja nie przyniesie panu najmniejszej korzyści.

Rozczarowanie Nattera było dość widoczne. Chwilę patrzył zamyślony przed siebie, potem powiedział zdecydowanie:

— No, jeżeli nie może mi pan pomóc, to spróbuję dowiedzieć się tego w inny sposób.

— A o co właściwie chodzi? Może mi pan o tym coś napomknie? — dopytywał się hrabia.

— Chodzi o pewne nieszczęście, jakie przed laty dotknęło rodzinę Gollwitzów, a o którym coś bliższego wiedzą tylko członkowie rodziny. W tym zdarzeniu odgrywa dużą rolę jakaś liczba, a wokół niej krąży jakaś tajemnica. Ona jest w pewnym stopniu kluczem do tej kryjówki.

Hohenegg słowa Nattera śledził z dużą uwagą. Teraz zerwał się z miejsca i chodził po pokoju tam i z powrotem. Natter z obojętnością przypatrywał mu się przez chwilę, a potem spytał:

— Co się dzieje, hrabio? Czyżby pan coś wiedział o tym?

Zagadnięty przystanął nagle przed Natterem.

— Tak, wiem coś na ten temat. Znam nawet całą tę historię. A co najważniejsze, mogę panu podać tę liczbę.

To wyjaśnienie przyszło tak niespodziewanie, że Natter podskoczył, jak naelektryzowany.

— Pan chyba żartuje, panie hrabio? Jak doszedł pan do...

— Proszę usiąść i wysłuchać spokojnie, co powiem! A wtedy zobaczy pan, że nie żartuję.

Mówiąc te słowa usiadł znowu za stołem, a Natter zrobił to samo.

— Jak pan wie, mój ojciec był ministrem księcia Norlandii. Sprawując ten urząd, miał dostęp i do takich spraw, które właściwie nie były dla niego przeznaczone. Pewnego dnia otrzymał przez posłańca wiadomość o tajnym układzie jakie Süderlandia zawarła z obcym krajem. Tak bardzo się tym zainteresował, że szpicel otrzymał polecenie dostarczenia tej umowy bez względu na cenę. Po ośmiu dniach mój ojciec miał umowę w rękach.

— Ale co to ma wspólnego z Gollwitzem?

— Trochę cierpliwości! Zaraz do tego dojdę. Treść tego tajnego układu znana była tylko trzem osobom: ministrowi tego kraju, księciu Süderlandii i baronowi Otto von Gollwitz, będącemu tajnym sekretarzem księcia.

— Ach! Teraz zaczynam pojmować!

— Baronowi, stryjowi Hugo, wręczono układ, zlecając mu wykonanie kopii. Papier nie znajdował się długo w jego posiadaniu, zniknął w niewyjaśniony sposób z jego biurka, a baron popadł w niełaskę, ponieważ nie dano wiary jego zapewnieniom o niewinności.

— Ach rak, a więc tak się mają sprawy! Ale gdzie w tym wszystkim jest ta liczba?

— Jeszcze nie skończyłem. Gdy mój ojciec przed dwudziestu laty został obalony, ówczesny syn kowala, a dzisiejszy książę Maks, znalazł wśród jego papierów, także ten zagubiony układ, a więc niewątpliwy dowód na to, że baron von Gollwitz nie miał najmniejszego udziału w tej całej sprawie. Może więc pan sobie wyobrazić jakie były następstwa. Gollwitz wrócił do wszystkich urzędów i zaszczytów, a także otrzymał wspaniałe zadośćuczynienie. O tym autor tego pamiętnika, który pan miał okazję czytać, oczywiście nic nie wiedział.

— Ale ta liczba! Liczba! Zna ją pan?

— Znam, ale nie mogę jej panu podać.

— Jak to? — zdziwił się Natter. — Nie chce mi jej pan powiedzieć?

— I nie wie pan z jakiej przyczyny? Myśli pan, że udzielię mu informacji, której wartość jest tak duża, że nie da się jej oszacować, sam nie wyciągając z tego żadnych korzyści dla siebie?

— Och, hrabio, teraz pana rozumiem. Chciałby pan ode mnie pieniądze?

— No widzi pan, jak pan szybko zmądrzał? — przytaknął Hohenegg. — Tak, mój drogi, chcę od pana pieniędzy!

Natter zaśmiał się szyderczo.

— Myli się pan, hrabio, jeżeli uważa pan tę informację za tak cenną. Teraz, kiedy sprawa przybrała tak pomyślny obrót dla rodziny Gollwitzów, nie będę się już wstydzić z tego powodu, ani go ukrywać. Z łatwością więc wydobędę od nich tę tajemniczą liczbę, której wartości oczywiście nie znają. Nie jestem więc zdany na pana pomoc.

— Tak pan sądzi? — zaśmiał się Hohenegg. — No to panu powiem, że jestem panu niezbędny.

— Lecz nie rozumiem, dlaczego? Zbliżę się do rodziny Gollwitzów w zupełnie nieszkodliwy i nie wzbudzający podejrzeń sposób...

— A ja. — wszedł mu hrabia w słowo — ostrzegę rodzinę, aby się miała na baczności przed jakimś Natterem.

Ten chwyt podzielał. Osłupiały Natter spoglądał na swego przeciwnika. Potem wybuchnął:

— Panie hrabio, pan jest...

— Stop, ani słowa więcej! Może pan sobie o mnie myśleć, co się panu podoba, ale w moim domu nie zniosę żadnej zniewagi. Niech pan to sobie zapamięta!

Przez chwilę siedzieli naprzeciwko siebie patrząc wrogo, po czym Natter wybuchnął wymuszonym śmiechem:

— Hrabio, przecież pan tylko żartuje, grożąc mi.

— Niech pan sobie to uważa za żart! Ale niech mi pan pozwoli ze sobą porozmawiać. Tak jak ja to oceniam, to nie ma pan ani chwili do stracenia. Nie wie pan, jak szybko dziennik dotrze do rąk prawowitego właściciela, a wtedy, Natter, będzie już za późno. Ubiegną pana. Kto wie, czy rodzina Gollwitzów już nie jest w posiadaniu tego, co pan z taką dumą nazywa tajemnicą?

— Niemożliwe. Przybyłem do Süderlandii najkrótszą drogą. Ale doceniam pana informacje. Niech mi pan poda tę liczbę, a wtedy się dogadamy.

— Nareszcie zaczyna pan rozsądnie myśleć. A chcąc pana przekonać, że ze mną można pertraktować, udzielę panu żądanej informacji, zanim zakończymy spór. Ufam panu bardziej, niż sobie. Proszę chwilę poczekać, zaraz wrócę z umową.

— Jak to? A więc pan jest jeszcze w jej posiadaniu? Czyż nie powiedział pan, że księżę Maks ją skonfiskował?

— Tak, oryginał diabli wzięli. Ale kopia, którą mój ojciec kazał sporządzić, jeszcze istnieje i znajduje się tutaj, na zamku Himmelstein. I któżby pomyślał, że ten papier będzie mieć jeszcze jakąś wartość, a nie będzie tylko swoistą pamiątką!

Hohenegg poszedł do swego gabinetu i po paru minutach wrócił z niebieską kopertą ze sztywnego papieru, którą położył na stole. Gdy przeciął sznurek, w jaki list był owinięty, pojawił się dokument, nad którym obaj pochyłili się z zaciekawieniem. Popatrzyli tylko przez moment, a już odkryli to, co chcieli.

— No to mamy ją. — zawołał hrabia, wskazując palcem na lewy dolny róg. — Niech pan przeczyta!

— Dwa tysiące siedemset osiemdziesiąt jeden — przeczyt Natter — Myśli pan, że to naprawdę ta liczba?

— Jestem o tym przekonany. Ale dla pewności przejrzyjmy ten dokument może pojawi się jeszcze gdzieś, jakaś liczba.

Okazało się, że liczba w rogu, która była pewnie numerem sprawy, była jedyną, jaką znaleźli, oprócz daty.

— Nie ma wątpliwości, że to ta poszukiwana. — odezwał się w końcu Natter zrywając się zachwycony z krzesła — Zgadza się i to, bo to duża liczba. Według moich obliczeń powinna być duża, gdyż inaczej ta, przez którą trzeba ją podzielić, byłaby mniejsza.

— Co pan plecie o jakiejś liczbie do dzielenia? Nie rozumiem z tego ani słowa.

— Ach tak, pan przecież jeszcze tego nie wie. No teraz kiedy znam już tę diabelską liczbę, nie mam powodu, aby ukrywać całą prawdę. A więc niech pan posłucha!

I Natter opowiedział hrabiemu o tym, o czym przedtem milczał, o zadaniu rachunkowym, które teraz w prosty sposób można było rozwiązać

— A teraz. — powiedział po udzieleniu kilku koniecznych objaśnień — teraz sprawdzimy, czy rachunek się zgadza.

Wyciągnął z kieszeni notatnik i napisał na pustej kartce kilka liczb.

— Równanie, początkowo z dwoma niewiadomymi, brzmi następująco: $(x - 36) : 183 = y$. Znamy już niewiadomą x , mianowicie 2781. Tym sposobem „ y ” obliczymy bez trudności. Jest tylko pytanie, czy dzielnik zmieści się bez reszty. Ułamek nie może wyjść, gdyż to oznaczałoby, że pomyliliśmy się. Mój Boże! Rachunek wychodzi! Cudownie wychodzi. Udało się! Udało się!

Hrabia spojrział mu przez ramię i zobaczył liczbę piętnaście.

— Więc pan uważa, że liczba piętnaście oznacza rafę, za którą należy szukać jedyne, możliwego przejazdu do skarbu maharadży?

— Tak, tak sędzę, tak sędzę! — wołał Natter zwycięsko — Na co mogę i sto razy przysiąc.

— A jaką sumę ja dostanę za moją, jak mi się wydaje bezcenną informację?

— Co panu zaproponuję? Milion, cały milion, naturalnie dopiero wówczas, gdy będę miał ten skarb w rękach.

Hrabia zrobił wielkie oczy.

— Cholera, skoro pan z taką łatwością rzuca milionami, to musi tu chodzić oczywiście o więcej niż tylko o garść złota. Kiedy zamierza pan przystąpić do dzieła?

— Jutro... nie, dzisiaj jeszcze... nie, teraz! Zaraz! Najbliższym pociągami pojedę na wybrzeże i rozejrzę się tam za odpowiednim statkiem. Wynajmę jacht, może być i cały trójmasztowiec, jeśli nie będzie nic innego.

— A komu ma pan zamiar powierzyć jeszcze tę tajemnicę? Tak zupełnie bez niczyjej pomocy nie będzie mógł pan unieść tego skarbu, a załogi nie będzie chciał pan wtajemniczyć.

— O, co się tego tyczy, to mam już towarzysza, na którym mogę polegać. Malaj, o którym panu opowiadałem, czeka na mnie w Karlshafen, gdzie wylądowaliśmy. Jest wprawdzie na pół dziki, ale przywiązany do mnie i wierny jak pies, lepszego towarzysza nigdzie nie znajdę.

— W takim razie życzę panu szczęścia w tym wielkim przedsięwzięciu — odezwał się hrabia w dobrym humorze.

Pochwylił kielich i dał znać Natterowi, aby uczynił to samo.

— Niech się pan napije, Natter? Niech to diabli, nie każdy ma to szczęście, aby odziedziczyć majątek maharadży. Miejmy nadzieję, że to nie bańka mydlana, za którą pan pędzi, w przeciwnym razie szkoda byłoby pieniędzy, które pan w to inwestuje. Za szczęśliwą podróż, drogi przyjacielu! Niech żyje skarb maharadży!

I kieliszki stuknęły wesoło.

FRED Z TEKSASU

— *Damn!* Niech to wszyscy diabli! Jak tak dalej pójdzie to zobaczymy tylko ogon jedynej szkapy Komanczów!

Mężczyzna, który wypowiedział te słowa, był zbudowany niczym Herkules. Gdyby był z drewna, możnaby z pewnością wyrzeźbić z tej postury dwie naturalnej wielkości figury ludzkie. Jego potężne nogi tkwiły w długich gumiakach, sięgających aż do brzucha, przykrytego kamizelką z jeleniej skóry, na którą nałożył bluzę z bawoła. Na głowie nosił wysoką czapkę, obwiązaną licznymi skórkami z grzechotnika. Twarz jego pokrywał gęsty zarost, spod którego wyłaniały się tylko oczy i nos. W ręce trzymał dwururkę, strzelbę z Kentucky, a w starym szalu, jaki obwiązał wokół bioder, dotrzymywali sobie towarzystwa rewolwer i nóż myśliwski, ale bardziej podobny do kordelasa.

Grzebał w stosie drzewnego popiołu pokrywającego ziemię i będącego dowodem na to, że palono tu niezwykle duże ognisko.

— Powiedz, Fred, — mówił ponuro — kiedy ten popiół był gorący?

— Ogień ugaszono wczoraj rano — padła zdecydowana odpowiedź.

Mężczyzna, który jej udzielił, był znacznie młodszy od tego pierwszego. Mógł mieć najwyżej trzydzieści dwa lata i był ubrany w jedno z tych indiańskich ubrań, jakie noszą modnisie sawanny i nad których wykonaniem kobiety pracują latami. Mimo czystego ubrania, nie miał wyglądu „niedzielnego myśliwego”. Na jego silnym karku widać było blizny, po głębokim cięciu nożem, a na policzku ślad uderzenia tomahawkiem. Był zaopatrzony w karabin, nóż myśliwski i dwa rewolwery.

— Masz rację. — zgodził się olbrzym — Ale co nam to teraz pomoże? Towarzysze nie żyją, konie skradzione, a *nuggety* zrabowane. A znaleźliśmy je sobie w Kalifornii, żeby kiedyś na Wschodzie coś znaczyć. Za to pędzimy za tymi przekłętymi Komanczami, a nie możemy ich przecież, ścigać na piechotę. Ale biada tym łotrom, kiedy ja, Bill Sanford, ich dopadnę!

Podniósł pięść i potrząsał nią, wygrażając w stronę południa.

— Myślę, że jednak odzyskamy naszą własność — odezwał się ten, którego nazwał Fredem.

— Ale jak?

— Trop, którym pojedziemy, prowadzi do Rio Pecos, rzeki płynącej wzdłuż gór Sierra Blanca, a one stanowią obecną granicę między terenami Komanczów i Apaczów.

— A co to ma wspólnego z naszymi końmi i złotem?

— Bardzo dużo! Komancze, którzy nas okradli, mogą w każdej chwili spotkać Apaczów, nie mogą więc bez zwiadowców jechać dalej. Co z tego wynika. Bill?

— Hm, że będą zmuszeni jechać wolniej. Twoja teoria nie jest zła. Więc nie boisz się Apaczów?

— Nie, są teraz przyjaźnie nastawieni do białych twarzy. W ogóle są szlachetniejsi i dzielniejsi od Komanczów, zwłaszcza odkąd większość ich plemion jest posłuszna wielkiemu Inczu–czuna, myśliwy może mieć do nich zaufanie.

Wtem coś zaszeleściło za nimi. Obaj odwrócili się błyskawicznie i podnieśli swoje strzelby. Przed nimi stał Indianin ubrany podobnie do Freda, z tą tylko różnicą, że jego włosy były jedynym przykryciem głowy, a w pasie błyszczał misternie wykonany tomahawk. W ręce trzymał strzelbę, której kolba wysadzana była srebrnymi gwoździami. Jego wielkie ciemne oczy spoglądały z ufnością na obu myśliwych. Podnosząc lekko rękę w geście pozdrowienia, odezwał się przyjaznym głosem:

— Czerwony mąż usłyszał słowa białych braci. Oni są wrogami Komanczów i przyjaciółmi Apaczów, on przysiadł do nich i wypali z nimi fajkę pokoju.

Bez ceregieli zajął miejsce na ziemi, napchał ozdobiony piórami *kalumet* i *punksem* tym najlepszym na świecie krzemieniem lub jak go nazywają Indianie zapalką preriową, zapalił tytoń.

Obaj myśliwi usiedli naprzeciw niego.

Zaciągnął się sześciokrotnie dymem swojej fajki, dmuchnął nim w cztery strony świata, potem w górę ku słońcu i w końcu w dół do ziemi, a następnie podał *kalumet* Sanfordowi mówiąc:

— Wielki Duch jest z Apaczem i białymi mężami. Ich wrogowie są jak muchy uciekające przed dymem naszego ognia!

Myśliwi powtórzyli uroczysty obyczaj, a Sanford powiedział:

— Mój czerwony brat jest wodzeni Apaczów, poznaję po *kaluecie*. Czy powie nam swoje imię?

— Moi bracia rozmawiali przed chwilą o Inczu–czunie synu Apaczów.

— Inczu–czuna? Czy mój brat naprawdę nosi to imię?

— Apacz nigdy nie kłamie! — brzmiała jego prosta odpowiedź.

O szczęśliwszym spotkaniu nie mogli nawet marzyć, dlatego Bill spytał:

— Czy mój brat jest sam w tej okolicy?

— Inczu–czuna jest sam: on nie boi się nawet tysiąca wrogów.

— Gdzie on ma swego konia?

— Stoi tam, pod drzewami. Gdzie moi bracia mają swe zwierzęta?

— Nie mamy zwierząt.

Spojrzał na nich z niedowierzaniem.

— Nie mają? Myśliwy bez konia jest jak ręka bez dłoni!

— Mieliliśmy bardzo dobre zwierzęta, niestety Komancze nam je zrabowali.

— Dlaczego biali bracia nie zaBill Komanczów?

— Nie było nas, gdy Komańcze nadeszli.

— Niech mój brat opowie.

— Jeszcze z dziesięcioma towarzyszami przyjechaliśmy konno z Kalifornii przez sawannę i góry, aby dalej iść na Wschód. Rozbiliśmy obóz nad brzegami Rio Grande i jeszcze nie zdążyliśmy niczego ustrzelić. Wtedy polecono nam, abyśmy postarali się o mięso. Poszliśmy, a gdy wróciliśmy po godzinie, nasi towarzysze leżeli na ziemi nieżywi i oskalpowani, a konie i *nuggety* zniknęły.

— Co uczynili moi bracia, kiedy wrócili?

— Policzyliśmy tropy Komanczów. Było ich pół setki. Szliśmy za nimi, aby zemścić się za naszych zmarłych i odzyskać naszą własność.

— Moi bracia są dzielnymi wojownikami, a Komańcze są jak kojoty, nie mające rozumu. Musieli zauważyć brak dwóch bladych twarzy, będą oczekiwać moich braci, aby i zabić. Skąd blade twarze wezmą nowe konie?

Tu wódz zamyślił się, a po chwili dodał:

— Niech blade twarze poczekają, aż Inczu-czuna wróci.

Podniósł się, powiesił *kalumet* ponownie na szyi, chwycił swą strzelbę i zniknął między drzewami.

Obaj myśliwi popatrzyli na siebie zdziwieni.

— Diabelnie pomyślne spotkanie. — powiedział Bill — Może nam przynieść szczęście.

— Też tak uważam. Ale, hm... ale mi napędził strachu — odpowiedział Fred.

— Dlaczego?

— Akurat rozmawialiśmy o nim.

— Tak, tak. Rozmawianie na prerii jest właściwie głupotą. Można się przez to całkowicie zdradzić.

— Gdybyśmy tak dobrze o nim nie rozmawiali, to założę się sto do jednego, żeby nas zdmuchnął.

— Z całą pewnością. Zamknijmy gębę przynajmniej teraz i poszukajmy miejsca, gdzie będziemy mogli na niego poczekać, nie zauważeni przez nikogo!

Zniknęli między krzakami. Minęły może dwie godziny, a może więcej lub mniej, gdy nagle zupełnie bezszelestnie pojawił się Apacz, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie palili fajkę pokoju.

— *Uff!*

Obaj wyłonili się z krzaków, słysząc to wołanie.

— Niech moi bracia udadzą się za Inczu—czuną:

Odwrócił się i poprowadził ich przez rozległą, wysokopienną puszcze aż do jasnego zagłębienia prerii. Na nim leżał mustang, wszystkie nogi miał spętane nie dającymi się niczym rozerwać rzemieniami, z których sporządza się lasso. Pot spływał kroplami ze zwierzęcia, a duże grube płyty piany leżały wokół niego, tak się trudził, aby się wyrwać.

— Czy moi bracia umieją jeździć na dzikim mustangu?

Zamiast jakiegokolwiek odpowiedzi Fred zarzucił strzelbę na plecy, stanął w szerokim rozkroku nad koniem i dwoma szybkimi ruchami przeciął pęta. Koń zerwał się natychmiast. Jeździec siedział na koniu bez siodła i uzdy. Koń przestraszył się i zarżał przerażony, chodził to do przodu, to do tyłu, stanął dęba, a kiedy nie mógł pozbyć się jeźdźca, pocwałował olbrzymimi susami na pierię.

— Mój młody brat jest dobrym jeźdźcem — odezwał się Indianin z uznaniem. Potem poszedł dalej.

Spory kawałek dalej, w sawannie leżał drugi koń, spętany dokładnie tak samo jak ten poprzedni.

— Niech mój brat weźmie go i potem zawróci!

Skierował się do krzaka, gdzie w ten sam sposób spętane leżało drugie zwierzę. Bill Sanford podszedł do konia, uczynił z nim to samo, co przedtem Fred, i już po kilku sekundach popędził na dzikim mustangu przez sawannę.

Dopiero po upływie pełnej godziny dał się zauważyć na horyzoncie ciemny punkt, a potem drugi. Zbliżały się szybko. Byli to obaj myśliwi powracający na okiełzanych koniach. Gdy dojechali do tego małego zakola sawanny. Inczu—czuna wyszedł zza krzaków i prowadził swego konia trzymając go za cugle.

— Moi biali bracia mają już konie, aby dogonić swych wrogów, mogą sobie teraz wziąć siodła i wszystko, czego potrzebują.

Miejsce, w którym się zatrzymali, było znaczone licznymi śladami kopyt. Tutaj Indianin zakradł się do dzikich koni i napadł na nie. Ale jak to było możliwe, aby złapać dwa z nich, nie powiedział ani słowa.

— Dokąd uda się nasz czerwony brat? — spytał Bill Sanford.

- On będzie tropił ślady Komaczów, aby dowiedzieć się, w którą stronę się skierowali.
- Czy Inczu—czuna chce z nami jechać?
- Apacz jest przyjacielem białych mężów. On z nimi zostanie, jeśli obdarzą go zaufaniem.
- Ufamy ci!
- *Howgh!*

W ten prosty sposób zostało zawarte przymierze, które wedle zwyczajów panujących na sawannie każdego zobowiązuje do oddania swego życia, jeśli to konieczne, aby zapewnić bezpieczeństwo innym.

Obaj biali odwiązali lasso, którymi mieli przepasane biodra i obwiązali nim koniom głowy i pyski w ten sposób, że powstały cugle.

- A teraz z powrotem do obozu? — dowiadywał się Bill Sanford.
- Dlaczego? — spytał krótko Apacz.
- Do tropów Komanczów.
- Moi biali bracia nie wrócą, lecz pojedą za mną.
- Czy Inczu—czuna zna lepszą drogę, aby złapać rabusiów?
- Komancze będą się w takiej ilości posuwać doliną rzeki Rio Pecos, gdyż muszą mieć wodę dla tylu koni. Ale ta rzeka płynie wielkim łukiem, który jest okręgiem, a jeżeli moi bracia mnie posłuchają, to będą znacznie szybciej u Komanczów, niż myślą.
- Jedziemy za tobą! — wyjaśnił Sanford.

Trzej jeźdźcy wyruszyli w drogę. Początkowo obydwie nowe konie utrudniały jazdę, ale stopniowo dostosowały się i gdy zaczęło się ściemniać i zaczęto myśleć o noclegu, dały się bez trudu spętać. Jeżeli koń raz uzna siłę człowieka, pozostanie mu wiernym i posłusznym towarzyszem.

Następnego dnia, już wczesnym rankiem kontynuowali podróż. Przed południem dotarli nad małą rzeczkę, która wpadała do nurtów Rio Pecos. Jej brzeg tworzył wąski pas sawanny.

W południowej części Nowego Meksyku, między rzekami Rio Grandę del Norte i Rio Pecos, wznoszą się góry Sierra Hueco, Blanca, Sacramento oraz Guadalupe, i tworzą krainę dzikich, bezładnie poplątanych pasm górskich.

Wyglądają one raz jak olbrzymie, nagie baszty, raz pokryte są gęstą, ciemną dziewiczą puszczą i poprzecinane są tutaj kanionami o niemalże pionowych ścianach, a tam łagodnie opadającymi korytami dolin, które wyglądają tak, jakby od chwili swego powstania były odcięte od świata zewnętrznego.

A mimo to wiatr niesie pyłek kwiatowy i nasiona ponad szczyty i granie, dzięki czemu rozwija się tu niezbyt wybujała roślinność. Mimo to wspina się po skale czarna i szara

niedźwiedź, aby zejść na drugą stronę, gdzie panuje samotność. Mimo to dziki bizon znajduje tu kilka przesmyków, które pokonuje w olbrzymich, liczących i tysiące sztuk stadach, podczas swoich jesiennych i wiosennych wędrówek. Mimo to pojawiają się tutaj to białe, miedziane postacie, tak dzikie, jak ta okolica, a kiedy znowu znikną, nikt nie wie, co się stało, ponieważ szorstkie kamienne olbrzymy są nieme, a puszcza również milczy.

W dole, na równinie, stykają się ze sobą tereny łowne Apaczów i Komanczów, przy tych granicach zdarzają się czyny bohaterskie, o który historia milczy. W wyniku walk tych wojowniczych ludów niejedyn rozproszony oddział został wyparty w góry, gdzie musi walczyć krok po kroku ze śmiercią albo z potęgami, których pokonanie ludzką siłą wydaje się niemożliwością.

Rio Pecos wypływa niedaleko Truchas Peak, na wschód od Santa Fe zachowuje najpierw swój południowo-wschodni kierunek, a potem skręca, opuszczając przedgórze Gór Skalistych, prosto na południe. Podczas gdy na lewym brzegu rozciąga się Llano Estacado ze wszystkimi okropnościami, po prawej stronie zaczynają się odnogi wspomnianych już wyżej gór, lecz często cofają się tak daleko do tyłu, że jest i miejsce dla psa prerii z bujna zieloną trawą, który ginie w zstępującej z wysokości i ciągnącej się aż do podnóża gór, puszczy.

Podobnie ukształtowana jest większość jej dopływów.

Jest to teren wysoce niebezpieczny. Góry ciągną się na długiej przestrzeni, i tylko z rzadka pojawia się jakaś szczelina lub wąwóz prowadzący w bok, a kto tutaj spotka wroga, nie jest w stanie wyminąć go, jeżeli nie opuści swego konia, bez którego tak samo może zginąć.

Dolina rzeki, którą jechali w dół, była ukształtowana podobnie. Po obu stronach wody pas prerii, z którym graniczyła gęsta, czarna puszcza.

Inczu-czuna jechał przodem. Właśnie sposobił się do skręcenia w dolinę rzeki Rio Pecos, kiedy koń zerwał się do tyłu z taką siłą, że omal się nie przewrócił. Chwilę później zeskoczył z konia i zniknął z nim lesie.

Dwaj myśliwi poszli natychmiast za jego przykładem i pogonili swe zwierzęta między drzewa, gdzie oczekiwał ich wódz. Przytknął ręką nozdrza swemu mustangowi, aby ten sapaniem nie mógł zdradzić miejsca ich pobytu.

— Jakie obserwacje poczynił mój czerwony brat? — spytał Fred.

— Inczu-czuna zauważył dwóch czerwonych, płynących przez rzekę, którą blade twarze nazywają Pecos.

— Czy są to Apacze, czy Komancze?

— To są Komańcze.

— Dokąd chcą się dostać?

— Inczu–czuna przypuszcza po kierunku, jaki obrali, że chcą przedostać się przez dolinę, w której się znajdujemy.

— No to weźmiemy ich po prostu między dwa ognie. Jak natrafią na nasze ślady, zejda prawdopodobnie z koni, ażeby je zbadać. Skorzystamy z tej okazji i wyruszymy w drogę. Inczu–czuna pojedzie do wyjścia doliny i odetnie im drogę powrotną, a my weźmiemy ich od przodu.

Wódz dał znak lekkim potaknięciem, że się zgadza. Następnie minęło dziesięć minut w milczącym oczekiwaniu. Już myśleli, że czerwoni pojechali w innym kierunku, gdy ci pojawili się u wejścia doliny.

Byli to dwaj, jeszcze bardzo młodzi wojownicy, co można było dostrzec, mimo ich pomalowanych twarzy. Ich jedyną bronią był nóż, jaki wisiał w pasie. Wrażenie, jakie całość sprawiała, było lak niewinne, że ci trzej ukryci pod drzewami nie czekali już dłużej. Apacz wskoczył na konie i jak burza popędził na nich, a ci w swym zaskoczeniu przegapili właściwy moment. Zanim zdążyli się zastanowić, mieli już wodza za plecami, który przyłożył im srebrną strzelbę.

— *Uff!* — *Uff!* — wykrzyknęli zdziwieni, gdy teraz też biali myśliwi wypadli na nich spod drzew.

Gdyby to byli starsi, doświadczeni wojownicy, to może przysłoby im na myśl, aby uskoczyć w bok. Ale ci na to nie wpadli. Ich oczy wyrażające bez mała pełną szacunku trwogę były skierowane na wodza, który stał w odległości mniej więcej dziesięciu kroków, jakby odlany ze spiżu.

— Czy młodzi synowie Komanczów wiedzą, kim jestem?

— Ty jesteś Inczu–czuna, największy wojownik Apaczów.

— W takim razie wiedzą również, że nie ma mowy o ich krwi, jeżeli poddadzą się bez oporu. Niech oddadzą swoje noże bladym twarzom.

Czerwoni, którzy odbywali prawdopodobnie swą pierwszą wyprawę wojenną, spojrzeli na siebie pytająco. Potem jeden podał nóż Billowi, a drugi Fredowi, nie mówiąc ani słowa. Zrozumieli, że opór byłby głupotą.

— Synowie Komanczów noszą na swych rękach znaki, jakie czarownik może zrobić tylko synom Wielkiego Wodza. Czy młodzi wojownicy Komanczów chcą powiedzieć Inczu–czunie, kto jest ich ojcem?

— Sokół jest naszym ojcem. Ten czerwony wojownik jest moim bratem.

— Sokół! To najdzielniejszy wódz Komanczów. Co powie, kiedy usłyszysz, że jego synowie są pojmani?

— Wielki wódz Apaczów puści nas wolno. Topór wojenny nie jest wykopany między wojownikami Komanczów, a synami Apaczów.

— Nie mówicie prawdy. Czyż nie nosicie barw wojennych na waszych twarzach?

— Ale one nie odnoszą się do Apaczów, lecz bladych twarzy, których skalpy chcieliśmy zdobyć.

— A co wam uczyniły blade twarze?

— Blade twarze są złodziejami i rabusiami. Ubiegło dwa razy dziesięć słońc od czasu, kiedy pewna ich liczba wpadła na teren Komanczów i zrabowała im konie. Dlatego nie ma pokoju między czerwonymi mężami i bladymi twarzami.

A więc znowu ta stara historia! Biali, nie czerwoni byli tymi, jak to się u nas mówi, którzy zaczęli.

— Dlaczego wojownicy Komanczów chcą ukarać niewinnych?

— Kogo wódz Apaczów ma na myśli?

— Ma na myśli dziesięć bladych twarzy, którzy pięć dni drogi stąd zostali zabici i obrabowani przez Komanczów.

— Kto mu powiedział to kłamstwo?

— To nie jest kłamstwo. Ci biali myśliwi należą do tej grupy, którą Komańcze napadli, i pojechali konno za nimi, aby odzyskać łup.

— *Uff!* To im się nie uda!

— Uda im się, ponieważ wódz Apaczów stoi po ich stronie i walczy wraz z nimi.

— Tego Inczu-czuna nie może zrobić. Blade twarze nic go nie obchodzą.

Wódz zmarszczył brwi.

— Inczu-czuna sam wie, co mu wolno, a czego nie, a chłopcy go nie będą pouczać. Blade twarze są jego przyjaciółmi i braćmi i pil z nimi dym z *kalumetu*. Synowie Komanczów wiedzą, jakie to ma znaczenie.

Łajani milczeli zakłopotani. Oczywiście wiedzieli, jakie obowiązki nakładało palenie *kalumetu*, ale nie chcieli wodzowi przyznać racji. Apacz kontynuował przesłuchanie:

— Gdzie jest złoto zabrane bladym twarzom?

— W drodze do chat Komanczów.

— Ilu wojowników jest przy nim?

— Pięć razy dziesięć.

— Gdzie leżą chaty Komanczów?

— Cztery dni drogi stąd, na południe.

— Jak to się dzieje, że młodzi wojownicy Komanczów znajdują się tutaj, a nie ze swoimi wojownikami?

— Zostali odesłani, aby się wywiedzieć, czy te dwie blade twarze należące do napadniętych, tropią ślady Komanczów.

— Dlaczego Komancze nie uczynili tego wcześniej?

Zapytani milczeli zawstydzeni.

— Synowie Komanczów są złymi wojownikami, ponieważ dopiero teraz przyszło im to na myśl. Widzicie, że obaj biali myśliwi twardo szukają tropów Komanczów. Pojadę za nimi, aby odebrać im zagrabione złoto. Czy chcecie dobrowolnie oddać złoto, jeżeli podarujemy wam dwóm wolność?

— Łup nie należy tylko do nas. W tym celu musimy odbyć naradę.

— W chatach Komanczów?

— Tak.

— A gdzie oni mają się dowiedzieć, co się stanie?

— Też tam!

— Czy uważacie, że powinniśmy iść z wami do Komanczów?

— Możecie nam towarzyszyć i wrócić, i nie stanie się wam krzywda.

— Wódz Apaczów daje wiarę waszym słowom, ponieważ zna zwyczaje czerwonych mężów. Ale może mieć złoto nie jadąc na tereny łowieckie Komanczów. Dogoni pięćdziesięciu wojowników, zanim oni dotrą do swoich.

— Wielki wódz się myli, on ich nie dogoni.

— Dlaczego tak uważasz? Tropy Komanczów mają tylko jeden dzień. Jeśli się pospieszymy, możemy ich dopędzić za dwa dni.

— Inczu—czuna się myli. Gdy dzisiaj wojownicy Komanczów liczyli zdobyte konie i spostrzegli, że prawdopodobnie brakuje jeszcze dwóch mężów, to pomyśleli, że będą ścigani i od tej chwili pojechali znacznie szybciej.

Wódz spojrział zamyślony ku ziemi, a potem spojrział badawczo ciemnymi oczyma na tych obu.

— Czy obaj młodzi wojownicy zostaną z nami i nie uciekną, jeśli ich nie zwiążemy?

Oczy pytanych zabłysnęły radośnie.

— Nie uciekną.

— Także wtedy, gdy zostaniecie zaatakowani przez swoich?

— Zostaniemy z wami, dopóki nas nie puścicie wolno.

— Wódz Apaczów wierzy waszym słowom.

Obaj myśliwi z uwagą przysłuchiwali się tej rozmowie. Teraz Bill zabrał głos:

— Czy Inczu—czuna naprawdę wierzy; że będziemy bezpieczni wśród Komanców?

— On w to wierzy. Przybędziemy do nich, aby z nimi pomówić. Jak długo pozostaniemy u nich, tak długo nic nam się nie stanie.

— A ja uważam, że powinniśmy ścigać tych pięćdziesięciu. Jeśli ich dogonimy, to znajdziemy środek, aby ich zmusić do oddania łupu. A jeśli ich nie dogonimy, to dotrzemy aż do ich wigwamów.

Choć ten plan był tak pełen przygód i niebezpieczeństw, został jednak przyjęty przez Freda i wkrótce potem cały mały oddział ruszył w drogę. Obaj Komańcze jechali nie związani. Dali słowo, więc można było być pewnym, że nie podejmą najmniejszej próby ucieczki.

Jechali wzdłuż rzeki Pecos. Po pewnym czasie dotarli do miejsca, gdzie synowie wodza odłączyli się od pozostałych. Poznano po tropach, że od lewej chwili Komańcze jechali z jak największym pośpiechem. Niestety nie można było już dalej śledzić tropów, gdyż minęło południe i zaczął zapadać zmierzch. Wybrano odpowiednie miejsce na rozbicie obozu i rozniecono ognisko, którego blask nie mógł być widoczny w dali, ze względu na otaczające go chaszczki. Koniom tak spętano nogi, aby nie mogły się zbyt oddalić. A ponieważ poza tym mustangi zachowują się w nocy absolutnie cicho, a zbliżanie się obcej istoty zdradzają prychnaniem, można się było czuć stosunkowo bezpiecznie. I tak rozpoczęła się jedna z tych miłych scen obozowych, jakie na Dzikim Zachodzie mają tak wyjątkowy urok.

Inczu—czuna zaraz po skromnym posiłku owinał się w swoją derkę i położył przy ognisku. Obaj Komańcze wzięli z niego przykład, tylko biali myśliwi nie wykazywali ochoty na spoczynek. Bill wlepił nieruchome oczy w ognisko, potem zwrócił się nagle do swego towarzysza:

— Niech diabli wezmą tę nudną historię! Jak tak dalej pójdzie, to mamy marne widoki na odebrnie tego, co nasze. Jak sądzisz. Fred?

— Wygląda jednak na to, że nie dopędzimy czerwonych przed ich wsią.

— *Is death*, kiedy o tym myślę, że teraz w końcu mógłbym się udać na spoczynek, gdyby się ci czerwoni nie wmieszali! Można postradać zmysły! *Egad!* — przerwał sobie, gdy zobaczył, że jego towarzysz słucha bez jakiegokolwiek zainteresowania.

— Wygląda na to, że wcale się tym nie martwisz, że twoje *nuggety* diabli wzięli?

— *Pshaw!* Wcale mi nie chodzi o bryłki złota, choć nie zaprzeczam, że byłyby mi miłe.

— *Dash it all!* No to w końcu zacznij mówić! Już dawno zauważyłem, że cię coś trapi i chciałbym wiedzieć co. Tak myślę, że mógłbyś mieć trochę zaufania do swego starego kolegi, który zawsze poszedłby za tobą w ogień!

— Ufam ci. Bili! Ale nie ma sensu odgrzewać starych historii. Każdy ma dość własnych spraw.

— *Heigh–ho!* Taki smutny jesteś, drogi przyjacielu? Teraz musisz pozbyć się tego, co ci leży na sercu. Może mógłbym ci pomóc w poszukiwaniach.

— W poszukiwaniach? Jak to? A kogo mam szukać?

— *Good luck!* Ten człowiek uważa mnie oczywiście ze żółtodzioba! Jakież to inny powód ma młody, przystojny mężczyzna, wałęsający się po Dzikim Zachodzie, do czego nie zmuszają go paskudne stosunki gospodarcze, jak to, aby kogoś szukać, kogo ślad mu zaginął.

Fred patrzył przez chwilę z namysłem w ognisko, potem szybkim ruchem podniósł głowę i rzekł:

— Nie będę zaprzeczać, że masz rację. Bill. Tak, szukam kogoś, szukam nawet dwóch osób.

— No, nie mówiłem? W końcu, w końcu puszcza parę. *Heavens*, ileż to kosztowało wysiłku! Ale teraz nie dać tylko za wygraną! Wszystko muszę wiedzieć, wszystko! Nazywasz się Fred. Ale masz jeszcze jedno imię. Czy mogę je usłyszeć?

Fred zaśmiał się.

— Jak mnie tak przypierasz do muru, to nie pozostaje mi nic innego, jak ci wszystko opowiedzieć.

— Też tak sędzę — odezwał się Bill zadowolony. — Więc zaczynaj tę swoją historię!

— Nie jest to właściwie taka typowa historia. Nie wiem. Czy...

— *Heigh–ho!* Znowu zaczyna robić ceregiele! Widzę, że z tobą nie dojdzie się do końca, jak nie wyciągnie się od ciebie słowa po słowie. Więc *go on!* Nazywasz się Fred, to ja już wiem od stu lat... tyle to już chyba czasu minęło. Ale nie wiem, jak się tak naprawdę nazywasz.

— Nazywam się Gollwitz. Fryderyk von Gollwitz z Süderlandii. O „von” możesz spokojnie zaponmieć. Tu w tym kraju, nie ma to żadnego znaczenia.

— *Well*, masz rację. W tym błogosławionym państwie liczy się tylko mężczyzna. Tytułem, nie można ustrzelić na prerii nawet marnego zająca.

— Moja rodzina jest jedną z najstarszych w kraju, niestety nie opływająca w bogactwa. I z tym łączy się równocześnie pewne fatum. Mój starszy brat Hugo udał się do Indii, do kolonii, aby służąc u Anglików zapewnić sobie dożywotnią posadę. To było chyba ze dwadzieścia pięć lat temu — ja byłem jeszcze wtedy małym chłopcem. Wszelki słuch po nim zaginął. Prawdopodobnie padł w walkach przeciwko maharadzy Augh, gdyż jego ostatni list został wysłany z Kalkuty, na krótko przed wyprawą w głąb kraju.

— *Zounds!* To cholernie żaloszny początek! Myślę jednak, że to nie jego szukasz?

— Nie, to nie o niego tu chodzi. Co się tyczy jego, już dawno straciliśmy wszelką nadzieję. Ale ciąg dalszy jest jeszcze gorszy! Mój drugi brat był stworzony do dyplomatycznej kariery. Miał talent, zdobył zaufanie swych przełożonych i oczekiwano, że będzie piął się ze stopnia na stopień znacznie szybciej, niż to się zwykle dzieje.

— *By God*, żeby mu się to udało!

— Jest jeszcze inna historia z moim stryjem, która mu bardzo pomogła, ale nie mająca z naszą historią nic wspólnego. Krótko mówiąc, mój drugi brat, Teodor miał najwspanialsze perspektywy. Ale za sprawą diabła, przyjechał do stolicy cyrk, którego artyści takie rzeczy wyczyniali, jakie kiedyś uważano za niemożliwe, zwłaszcza jedna woltyżerka, która swymi popisami przyczyniała się do świetności programu. Nazywano ją Miss Ella. Nigdy nie dowiedziałem się jej prawdziwego imienia.

— Ach, teraz dopiero zaczyna się prawdziwe opowiadanie.

— W balecie i na linie była równie wspaniała, jak na koniu i mówiła kilkoma językami tak dobrze, iż przypuszczano, że od najwcześniejszej młodości brała udział w licznych podróżach artystycznych.

— Musiała być diabelską uwodzicielką!

— I taką była! Miała także werwę, fizyczną i duchową sprawność, która po prostu porywała widzów. Można przypuszczać, że takie stworzenie musiało być szczególnie niebezpieczne dla świata mężczyzn.

— Chyba także i dla twojego brata?

— Oczywiście także i dla mego. Był zapalonym jeźdźcem. Najpierw przychodził do cyrku rzadko, potem codziennie. Taki widz poznaje również artystów. Miał układy z różnymi wspaniałymi członkami cyrku i widywał Miss Ellę oraz rozmawiał z nią znacznie częściej, niż tego życzyli sobie nasi rodzice i pozwalało na to jego stanowisko. Ojciec czuł się zmuszony do przeprowadzenia rozmowy z nim, ale Teodor śmiał się i nie udzielił żadnej odpowiedzi. Tylko jego stosunki z nią stały się wkrótce jeszcze bardziej zażyłe, tak że widywano ich nawet w miejscach publicznych. Jeździł z nią konno, chodził na spacer i tym samym sprawy zaszły tak daleko, że rodzice zmuszeni byli ostro wkroczyć. Brat musiał wystąpić przez całą radą rodzinną, gdzie oświadczył bez żadnych ogródek, że ożeni się z woltyżerką.

— *Bounce!* No to chyba wybuchła wtedy bomba?

— Matka prosiła go ze łzami, aby odstąpił od tego zamiaru, ojciec zagroził mu, że go wyrzuci, wydziedziczy — wszystko na próżno.

— A ty?

— Ja? Ja kochałem mego brata tak serdecznie, że raczej byłem skłonny go pożałować, aniżeli gniewać się na niego. Teodor był dostatecznie dorosły, aby wiedzieć, co czynić. Żeby tylko ta dziewczyna była go godna!

— *Zounds!* Nie dochowała mu wierności?

— Tego nie twierdzę, gdyż nie byli jeszcze zaręczeni. Ale na wszelki wypadek grała dwuznaczną rolę. Pojawił się rywal, którego Ella obdarzała takimi samymi łaskami, jak i mego Teodora. To faworyzowanie było w każdym razie spowodowane nie jego zaletami osobistymi, lecz raczej bogactwem, z jakim mój brat nie mógł się równać.

— A kim był ten facet?

— Był to hrabia, który w pewnych kręgach był nazywany „szalonym hrabią”, a to z powodu jego wielu złych psot. Nie miał już czego szukać w Norlandii — czemu, to inna i długa historia, może kiedyś ci ją opowiem — i odtąd uszczęśliwiał swoją obecnością Süderlandię, gdzie miał swe posiadłości, odziedziczone po matce. Na nieszczęście Teodora hrabia zwrócił uwagę na piękną woltyżerkę i świadczył jej szereg grzeczności, tak kosztownych, że mój brat nie mógł stawać w tym względzie w szranki. Doszło do publicznego występu między dwoma rywalami, co między dwoma kawalerami mogło zostać rozstrzygnięte tylko bronią.

Na miejsce pojedynku wyznaczono jar w pobliżu zamku Himmelstein, posiadłości hrabiego. Teodor wyjechał i... nie wrócił. W ten wieczór miała występować Miss Ella, także ona zniknęła.

— Niech to wszyscy diabli! Czy obydwaj przeciwnicy nie bili się?

— Tego nie wiem. Nasze dochodzenie odnośnie tego nie przyniosło żadnego rezultatu.

— Nie zwróciliście się do „szalonego hrabiego”?

— Oczywiście, że tak, ale bez skutku. Hrabia odpowiedział nam wyniośle, żebyśmy o miejsce jego pobytu dowiadywali się u Miss Elli. Ona jest według hrabiego tą osobą, do której winniśmy się zwrócić.

— *Dash is all!* To oznacza, że twój brat uciekł z Miss Ellą. Uwierzyliście w to?

— Musieliśmy, gdyż po dłuższym czasie otrzymaliśmy list ze Stanów Zjednoczonych zawierający podpis niejakiego Georga Marlaya, że dostał zlecenie od mego brata, aby zawiadomić rodzinę Gollwitzów, że Teodor swoje dalsze życie w Süderlandii uznał za niemożliwe i wyjechał do Ameryki. Nigdy nie wróci, zmieni nazwisko i nie da już więcej znaku życia.

— A Miss Ella?

— O niej nie wspomniał ani słowa.

— *Egad!* To dziwne, że twój brat nie napisał sam, lecz przekazał wiadomość przez kogoś trzeciego.

— Był zagniewany i rozgoryczony.

— Być może! Ale nie przypuszczam, żeby twój brat, który przecież był zawsze dobrym synem, z wyjątkiem sprawy z Miss Ellą, mógł być tak zimny i bez serca, żeby zniknąć bez pożegnania. Nie wierzę w żadne słowo z tego listu. Za tym kryje się jakiś diabelski podstęp, albo nie nazywam się Bill Sanford. Jak zareagowaliście na ten list?

— Oczywiście nie zostawiliśmy sprawy w spokoju. Najpierw napisaliśmy do Marlaya, żeby nam podał adres naszego Teodora. List wrócił nie otworzony. Człowiek wyjechał, nikt nie wiedział dokąd. Potem skorzystaliśmy z pomocy urzędu, także ta droga pozostała bez rezultatu. W końcu minęły od tego czasu dwa lata, w ciągu których nie otrzymaliśmy od Teodora najmniejszego znaku życia. Nie mogłem już dłużej znosić widoku mokrych oczu matki, której Teodor był ulubieńcem. Pojechałem za ocean, aby samemu rozpocząć poszukiwania.

— *By God!* To było odważne z twojej strony!

— Najpierw udałem się naturalnie do Kingston w Missuri, skąd pochodził list Marlaya. Tam usłyszałem, że przeniósł się do Nowego Orleanu. Stąd prowadził jego ślad do Hawany, z Hawany do Meksyku. Przybyłem tam i trzymałem się jego tropu, który poprowadził mnie do Teksasu, a stąd na prerie nad Red Riwer. Wędrowałem jak Żyd wieczny tułacz, ale nie zobaczyłem Marlaya. Z pewnych znaków wywnioskowałem, że udał się do San Francisco do *diggerów*, pojechałem i tam za nim, ale jak widzisz, bez powodzenia. Za każdym razem, gdy przybywałem na to miejsce, o którym byłem przekonany, że znajdę tam Marlaya, dowiadywałem się, że już go nie ma. Ale nie spocznę, dopóki go nie odnajdę, jest coś takiego we mnie, jakby jakieś przeczucie, co mnie zachęca, abym nie tracił nadziei. Muszę go spotkać, a on mi musi powiedzieć, gdzie znaleźć mego brata.

— *Ali right!* Idę z tobą!

— Naprawdę? — spytał ucieszony Fred.

— Tak. Fred z Teksasu jest kolegą, którego towarzystwa nie trzeba się wstydić.

Na dźwięk tego nazwiska Apacz podniósł nagle głowę, znak, że w ogóle nie spał, a od strony, gdzie leżeli Komańcze, rozległo się ciche zdziwienie, z czego należało wnioskować, że to imię i Komańcom nie było obce.

— Czy ten człowiek, którego szukasz, ma w sobie coś, po czym go można poznać?

— Tak. Rzuca się w oczy przez swoje jaskrawo rude włosy.

— Rude włosy? Ach, a więc dlatego opowiadają o Fredzie z Teksasu że formalnie nie znosi rudych, jego pierwsze pytanie po przybyciu do jakiejś miejscowości to „Jacy ludzie mają rude

włosy”⁶ I wcześniej nie uda się w dalszą podróż dopóki nie ujrzy ostatniego, którego zdobią rude włosy.

— Tak? Tak o mnie opowiadają? — zaśmiał się Fred. — No, teraz w prosty sposób wyjaśniłem ci to. Więc naprawdę idziesz ze mną?

— Tak! — powiedział Bill po prostu. — Gdzie Fred z Teksasu tam i Bill Sanford. Zgoda, przybij!

— Także Inczu–czuna idzie ze swoimi białymi braćmi.

Obaj spojrzeli ze zdziwieniem na wodza. Ten odchylił na tyle derkę, żeby móc usiąść i powiedział:

— Wódz Apaczów pozostanie z białymi braćmi tak długo, aż go czerwoni bracia zawołają. On zna wszystkie zwierzęta i wszystkich mężów lasu oraz prerii, zna również tego służącego, którego szukają.

— Ty? — spytał Fred z Teksasu, podnosząc się ze zdziwieniem.

— Inczu–czuna zna bladą twarz, która już od dłuższego czasu przebywa u Komanczów.

— Skąd przybył?

— Z kraju, który białe myśliwy przedtem wymienił.

— A jak wygląda?

— Ma oczy jak niebo, a włosy jak ogień.

— Niebieskie oczy i rude włosy? Zgadza się. Czy Inczu–czuna nie zauważył w nim czegoś rzucającego się w oczy?

— Błada twarz ma małą bliznę na wardze.

— Także to się zgadza! Ta blizna, to pozostałość po dobrze zoperowanej zajęczej wardze.

— *Heigh day!* — wtrącił uradowany Sanford — To on i teraz już nic nie może nas powstrzymać od szukania Komanczów. Czy Inczu–czuna wie, gdzie znajduje się ich obóz?

— On wie i zaprowadzi tam swoich białych braci. Mogę się też spytać tych jeńców, oni wiedzą, kim jest ta blada twarz, która się u nich znajduje.

Fred z Teksasu poszedł za tą radą i zwrócił się do obu Indian, ale nie mógł nic z nich wydobyć. Przez to rozmowa utknęła, aż w końcu zapadła całkowita cisza. Rozłosowano strażę nocne, a potem udano się na spoczynek.

W WIGWAMACH KOMANCZÓW

Gdy zaczęło świtać, podnieśli się, aby śledzić tropy Komanczów. Te prowadziły prawą stroną Rio Pecos, aż do tego miejsca, gdzie odnogi gór Sierra Guadalupe podchodzą do rzeki, tutaj mężczyźni skierowali się na prawo w góry, na których przeciwległe zbocza dotarli dopiero następnego dnia. Wieczorem oddział zszedł na otwartą prerię, gdzie w trawie łatwiej już było tropić ślady. Niestety okazało się, że dogonienie złodziei przed ich wsią było niemożliwe. Obecni właściciele zrabowanych *nuggetów* mieli dużą przewagę, więc dotarcie do nich jeszcze w czasie drogi nie mogło się udać. Nie pozostawało więc nic innego, jak zuchwale wkroczyć do wsi. W mniemaniu dwóch jeńców nie było to tak wielkie ryzyko, jakby się mogło zdawać.

Następnego ranka podczas dalszej jazdy, mało ze sobą rozmawiali. Każdy zajmował się własnymi myślami. Po południu zarządzono krótki odpoczynek, a pod wieczór wyłoniły się na horyzoncie liczne ciemne linie, które przy dokładnej obserwacji jawiły się rzędami namiotów. Była to wielka wieś obozowa Komanczów, jaką tu wyniesiono w celu polowania na bawoły.

Inczu–czuna jechał zawsze przodem. Gdy ujrzał wieś, zatrzymał swego konia i zsiadł. Biali poszli za jego przykładem, choć nie odgadli jego zamiarów. Apacz usiadł na ziemi tam, gdzie stał, wyciągnął swój *kalumet*, zapalił go i powiedział:

— Jeżeli młodzi wojownicy Komanczów nie chcą umrzeć to niech wypalą z wodzeni Apaczów i jego białymi przyjaciółmi dym pokoju!

Bez słowa sprzeciwu bracia zeskoczyli z koni i usadowili się naprzeciwko Apacza. Gdy fajka zrobiła rundę zgodnie z przyjętym obyczajem, nakazał im:

— Niech synowie Komanczów, którzy teraz zostali naszymi braćmi, pojedą do swoich, aby zameldować o naszej obecności i powiedzą im, że przybywamy jako goście.

Bez słowa wykonali jego rozkaz, wsiedli na konie i popędzili. Myśliwi i Apacz pozostali na miejscu.

Nie czekali długo na rezultat tego meldunku, gdyż szybko zbliżał się do nich liczny oddział jeźdźców, który rozproszył się i otoczył ich kołem. Okrąg się nagle zacieśnił, gdyż Komańcze, wymachując bronią, galopowali ze wszystkich stron na nich, tak że wyglądało na to, iż zostaną stratowani. W trakcie tego myśliwi siedzieli tak spokojnie, iż nie drgnęli nawet powieką.

Potem wodzowie zsiadli z koni, podeszli bliżej, a najstarszy z nich odezwał się:

— Dlaczego biali mężowie nie podniosą się, kiedy wodzowie Komanczów nadjechali?

Bill wziął na siebie udzielenie odpowiedzi.

— Chcemy wam przez to powiedzieć, że jesteście mile widziani i możecie zająć obok nas miejsce.

— Wodzowie Komanczów siadają tylko obok wodzów. Kto jest waszym przywódcą, gdzie są wasze wigwamy i wasi wojownicy?

— Biali mężowie nie mają wigwamów, lecz duże kamienne miasta, w których mieszka tysiące wojowników. Moi czerwoni bracia mogą spokojnie obok nas usiąść, każdy z nas jest wodzem.

— Jakie są wasze nazwiska?

Pytający znał je już, ponieważ obydwa Komańcze mu je wcześniej powiedzieli. Nie był to dobry znak dla myśliwych, że ten się zgrywał. Szczególną uwagę przykuwały ponure spojrzenia, jakim obrzucał Inczu–czunę.

— Powiem wam nasze nazwiska. — odpowiedział pytany — Nazywam się Bill Sanford.

— Sanford. Znam to nazwisko. Biały mąż jest wrogiem Indian, ale nie jest złym człowiekiem.

— Tego młodego człowieka nazywają wszyscy czerwoni i biali wojownicy Fredem z Teksasu.

— Znam także i jego nazwisko. Jest naszym wrogiem, ale zabija czerwonych mężów tylko wtedy, gdy jest do tego zmuszony. Kim jest ten czerwony mąż?

— To Inczu–czuna, wódz Apczów.

— On jest psem, który wkrótce zdechnie. Sęp wydziobie mu oczy, a jego mięso zezreją wilki, jako ścierwo. Wy wszyscy umrzecie jeszcze dzisiaj przy męczeńskim palu.

— My? Goście Komanczów?

— Nie jesteście naszymi gośćmi!

— Jesteśmy. Darowaliśmy życie synom waszego wodza, a oni dali słowo, że możemy przybyć do chat Komanczów?

— Oni dotrzymają danego wam słowa, ale byłoby dla nich lepiej, gdybyście ich zabili. Dzielny wojownik raczej umrze, niż pozwoli wrogowi darować sobie życie. Jesteście ich gośćmi i znajdujecie się pod ich ochroną. Ale my niczego wam nie obiecywaliśmy. Gdy wróci nasz naczelny wódz Sokół, ojciec waszych opiekunów, weźmiemy wam skalpy!

Biali spojrzeli na siebie badawczo, ale Inczu–czuna szybko się podniósł. Miał rację. Byli otoczeni taką chmarą Komanczów, że o ucieczce nie było mowy. Odważyli się wejść do jaskini lwa i na dalszy obrót sprawy musieli poczekać. Dosiedli koni.

Czerwonoskórzy wzięli jeńców do środka i popędzili szalonym galopem do obozu, między rzędami namiotów; aż zatrzymali się przy jednym z nich.

Indianie zsiadli z koni i stary wódz zarządził:

— Niech biali mężowie tu wejdą!

— Do kogo należy to mieszkanie? — spytał Fred.

— Do tych, którzy was chronią. Oddajcie broń!

— Biały myśliwy rozstaje się ze swoją bronią dopiero wówczas, gdy umiera.

— Czy biali mężowie nie wiedzą, że jeniec nie może mieć broni?

— Jesteśmy gośćmi, a nie jeńcami!

— I tym i tym. Oddajcie broń!

Wtedy Inczu-czuna podniósł rękę na znak, że chce mówić i powiedział:

— Synowie Kmanców żądają naszej broni, ponieważ się nas boją. Ich serca są tchórzliwe, a ich odwaga, niczym odwaga kury preriowej, uciekającej przed każdym dźwiękiem jaki usłyszy.

Było to powiedziane równie dumnie, co i sprytnie, sukces przyszedł natychmiast. Stary wódz zmierzył go gniewnym, spojrzeniem i odparł:

— *Pino* jest szkaradny, jak ropucha na bagnie. Jego język mówi kłamstwa. Nie ma niczego, czego boją się Komańcze. Wejdźcie do namiotu i zatrzymajcie broń!

Teraz myśliwi zsiadli, uwiązali konie i udali się do wnętrza.

Namiot był podobny do tych, jakie spotyka się u Indian mieszkających bardziej na Północy. Pracę przy jego wznoszeniu wykonują tylko kobiety, jako że Indianin nie zna innego zajęcia, jak wojnę, polowanie i rybołówstwo. Wszystkie pozostałe czynności dźwigają na swych barkach kobiety.

Namiot był pusty, było w nim miejsce dla dużo większego towarzystwa.

— No to jesteśmy! — stwierdził Sanford. — Ale jak się stąd wydostaniemy, to inny problem.

— Przekonamy się! — odezwał się krótko Fred.

— To zależy od tego, czy potraktują nas jak gości, czy jak jeńców, ale w tym drugim przypadku nie potraktują nas pokojowo.

— Co musimy począć, aby się uratować?

— Niech moi bracia zrobią to samo, co robi Inczu-czuna.

— Co?

— Zapali z Komańczami fajkę pokoju.

— Nie sądzę, aby nam podali fajkę pokoju.

— Jeżeli nam jej nie podadzą, to sami ją sobie weźmiemy. Inczu-czuna będzie palić fajkę, a każdy z moich braci musi wykonać jedno pociągnięcie, zanim nam ją wyrwą.

— Czy zobaczymy także tego białego, którego szukamy?

— Inczu—czuna tak to wszystko zorganizuje, aby on się nie mógł ukryć.

Na tym zakończyli rozmowę. Myśliwi milczeli. Ich namiot otoczony był strażą i zachodziła możliwość, że są podsłuchiwani.

Po pewnym czasie otworzyło się wejście i pojawił się jeden z synów wodza.

— Moi bracia są w wielkim niebezpieczeństwie — zaczął.

— Jak możemy być w niebezpieczeństwie, jeśli znajdujemy się pod twoją ochroną? — spytał Bill.

— Życie moich braci jest bezpieczne, jak długo znajdują się w moim namiocie. Jeśli jednak go opuszczą, moja poręka się skończy.

— Czy nie ma sposobu, aby nas uratować?

— Moi bracia muszą zostać Komanczami i każdy musi wziąć sobie za żonę córkę Komanczów.

— Niech to diabli! — zaklął Sanford. — Białej kobiety nie ścierpię, a tym bardziej jakiejś miedzianoskórej.

— W takim razie moi bracia są zgubieni.

— Czy blada twarz, o której właśnie rozmawialiśmy, jest wśród Komanczów? — spytał Fred z Tekasu.

— Jest tutaj.

— Będziemy mogli z nim porozmawiać?

— Tego nie wiem. Ale go zobaczycie.

— Gdzie?

— Ta blada twarz należy do Komanczów. Będzie siedział w kole z innymi podczas narady, kiedy będą rozmawiać o losie moich braci.

Znowu się oddalił. Po upływie godziny wszedł spoglądający ponuro Indianin.

— Niech biali mężowie i Apacz pójda za mną — rozkazał. Zabrali swą broń i kroczyli za nim wzdłuż drogi między namiotami, prowadzącej poza teren obozu. Tam zebrali się wszyscy wojownicy. Tworzyli duże koło, w którego środku miejsce zajęli wodzowie. Rozniecono ogień, a bogato zdobiony perłami i piórami *kalumet* leżał gotowy do użytku. Z boku, obok grupy były wbite w ziemię liczne pale męczeńskie.

Między wodzami siedział biały. Ale nosił się zupełnie, jak Indianin. Miał nawet długą czuprynę przetykaną orlimi piórami, przez co chciał udowodnić, iż nie może zaliczać się do zwykłych wojowników.

Gdy jeńcy zbliżyli się, stary wódz pochwycił fajkę, zapalił i wsadził cybuch do ust. Zaciągnął się sześć razy, wydmuchnął dym na północ, południe, wschód i zachód potem prosto ku niebu i w dół ku ziemi, następnie podał ją swemu sąsiadowi, który miał tylko raz pociągnąć. Od niego fajka miała pójść dalej. Czwarty chciał ją właśnie przekazać piątemu, kiedy Inczu–czuna podszedł szybkim krokiem i mu ją wyrwał.

Był to czyn, jakiego nikt nie uznałby za możliwy. Indianie siedzieli osłupiali ze zdziwienia i poruszyli się dopiero wówczas, kiedy już było za późno. Inczu–czuna podał natychmiast fajkę dalej, obeszła białych i znalazła się ponownie w rękach Apacza, gdy wódz podniósł się wściekły.

— Psie, co uczyniłeś? — sapał na Inczu–czunę.

Ten jeszcze raz spokojnie zaciągnął się fajką i odpowiedział:

— Od kiedy to wśród czerwonych mężów panuje zwyczaj, aby swoich przyjaciół i braci nazywać psami?

— Czy jesteś naszym przyjacielem i bratem?

— Jesteśmy waszymi braćmi i gośćmi, ponieważ paliliśmy z wami *kalumet*, który jest sporządzony ze świętej gliny.

— Wyście nam *kalumet* wyrwali.

— Ale jednak prawdą pozostaje to, że paliliśmy z wami fajkę pokoju.

— To nie ma żadnego znaczenia, myśmy wam jej nie zaproponowali.

— Wy nie zaproponowaliście nam waszej gościnności, myśmy ją sobie zrabowali. To tak, jakbyśmy ją od was otrzymali. Wielki Duch zobaczy czy wojownicy Komanczów mają odwagę zgrzeszyć przeciwko prawom fajki pokoju. Powiedziałem! *Howgh!*

Komancz przysłuchiwał się temu wywodowi z osłupieniem. Milczał przez chwilę, potem siadając odezwał się:

— Wodzowie Komanczów odbędą naradę i omówią ten przypadek. Odejdźcie na bok, powiadomimy was o naszej decyzji!

Biali posłuchali rozkazu. Widzieli, że narada była burzliwa, czego dowodziły ożywione ruchy Komanczów. Minęło pół godziny, zanim się skończyła. Potem wódz skinął na nich, aby podeszli. Podniósł się i dał znak, że będzie mówić.

— Niech biali mężowie i Apacz słuchają, gdyż przemówią wodzowie Komanczów.

Po tym wstępie rozpoczął swą mowę.

— Ubiegło już wiele słońc od czasu, kiedy czerwoni mężowie sami mieszkali na tej ziemi między dwiema Wielkimi Wodami. Budowali miasta, sadzili drzewa, polowali na łosia, niedźwiedzia i bizona. Do nich należał blask słońca i deszcz. Do nich należały rzeki i jeziora,

lasy, góry, doliny i wszystkie sawanny dalekiego kraju. Mieli oni braci i synów, żony i córki i byli szczęśliwi. Ale pojawiły się blade twarze, których serce jest jak śnieg w zimie, których serce jest jak sadza, co ulatuje z dymu. Było ich niewielu i czerwoni mężowie przyjęli ich do swych wigwamów. Oni jednak przywieźli ze sobą broń, ognistą wodę, przywieźli także innych bogów i innych kapłanów, przywieźli kłamstwo i zdradę, choroby i śmierć. Przybywało ich coraz więcej przez Wielką Wodę, ich języki były fałszywe, a noże ostre. Czerwoni mężowie byli dobrzy, uwierzyli im i zostali oszukani. Musieli im oddać kraj, gdzie znajdowały się groby ich ojców, podstępem i przemocą wypędzono ich z wigwamów i terenów łowieckich, a kiedy się bronili, zabijano ich. Aby ich łatwiej pokonać, białe twarze siały niezgodę między nimi. Czerwone plemiona zostały skłócone, zaczęły się nawzajem zwalczać. Teraz muszą umierać, jak kojoty na pustyni. Niech biali będą przeklęci, niech będą przeklęci tyle razy, ile gwiazd na niebie!

Po krótkiej przerwie, ciągnął dalej:

— Dzisiaj blade twarz przybyły do wigwamów Komanczów. Oszołomili czerwonego męża, by poszedł z nimi i był ich bratem, oszołomili wodza Apaczów. Zasłużył na śmierć, on i oni z nim. Zabilibyśmy ich powoli przy palu męczeńskim, lecz udało im się napić dymu z naszego *kalumetu*, i dlatego wodzowie Komanczów postanowili uszanować fajkę pokoju i pozwolą im usiąść przy ognisku, dopóki nie zadecydują o ich dalszym losie. Powiedziałem, niech mi odpowiedzą!

Usiadł. Właściwie mogłoby się na tym zakończyć, ale chociaż Indianin jest zwykle nadzwyczaj milczący, to nie może sobie odmówić wygłoszenia mowy, jeśli nadarza się ku temu sposobność. Są wśród nich wodzowie bardzo znani ze swego krasomówna. Ich obrazowy język dalece przypomina sposób wyrażania się ludzi Orientu.

Po nim wstali inni wodzowie, aby w swoich mowach powiedzieć to samo, o czym on już przemawiał. Kiedy ostatni skończył, podniósł się Fred z Teksasu, który już na pierwszy rzut oka rozpoznał byłego stajennego swojego brata.

— Słyszałem, że moi czerwoni bracia wierzą w Wielkiego Ducha. I mają słusność, a ich Manithu jest także naszym Manithu. On jest panem nieba i ziemi, ojcem wszystkich narodów. On chce, żeby wszyscy ludzie go czcili. Ale czy moi czerwoni bracia uważają może, że ich Manithu, który jest także, naszym Manithu, może być zadowolony, kiedy oni kradną, rabują i zabijają ludzi, którzy im nie wyrządzili żadnej krzywdy? Synowie Komanczów znają moje nazwisko i wiedzą, że zabijam czerwonych mężów tylko wówczas kiedy jestem do tego zmuszony. Jeszcze nigdy nie byłem ich wrogiem. Czy oni chcą, aby teraz stało się inaczej.

Niech czerwoni wojownicy oddadzą *nuggety*, które do nich nie należą, a my rozstaniemy się z nimi w pokoju.

Przerwał i spojrzał na starego wodza. Ten odpowiedział ostrożnie:

— Wojownicy Komanczów: odbędą naradę, do kogo ma należeć to złoto.

— Niech tak uczynią i sądzę, że postanowią właściwie. Ale biały myśliwy jeszcze nie skończył, ponieważ on jeszcze z innego powodu przybył do Komanczów.

— Z jakiego? Niech biały mąż poda nam tę przyczynę!

— Tam po tamtej stronie za Wielką Wodą mieszkał mąż, który jest w posiadaniu pewnej tajemnicy, od której zależy szczęście wielu ludzi. Opuścił swoją ojczyznę, a ja jechałem jego tropem przez góry i jeziora, przez rzeki i potoki, przez sawanny i lasy. Słyszałem, że przebywa wśród wojowników Komanczów i pospieszyłem do nich, aby z nim porozmawiać.

— Kim jest ten mąż? Nie przyjęliśmy żadnej bladej twarzy z tamtej strony Wielkiej Wody.

— Czy nie widzę jednej bladej twarzy w waszym środku?

— Ta biała twarz jest z kraju, który leży na południu. Zszedł z gór, aby pokazać Komańczom wiele dobrych rzeczy.

— On was okłamał.

Marlay sięgnął ręką po tomahawk, nie powiedział jednak ani słowa, gdyż stary prowadził rozmowę.

— Więc, uważasz, że to ten, którego szukasz?

— To on. Pozwól, że sam z nim porozmawiam?

— Pozwalam.

Teraz Fred z Teksasu zwrócił się do białego.

— Jakie masz nazwisko wśród tych ludzi?

— Nazywam się Rikarroh.

— A jak nazywano cię wcześniej zanim trafiłeś do Komanczów?

— Przyszedłem do wojowników Komanczów, aby zapomnieć o świecie. Moje nazwisko też zniknęło. Nie powiem go.

— Nie zapomniano ani o tobie, ani o twym nazwisku! Nazywałeś się Georg Marlay.

— Georg Marlay? Nigdy nie słyszałem podobnego nazwiska.

— Nigdy? — roześmiał się Fred — Czy nigdy też nie słyszałeś o rodzinie Gollwitzów?

— Nigdy.

— Także o szalonym hrabim? O Hoheneggu?

— Nie.

— I również nigdy nie słyszałeś o niejkiej Miss Elli, która pracowała w cyrku i potem zniknęła bez śladu?

— Nie.

— Hm! Rikarroh, jesteś wielkim kłamcą, znałeś ich wszystkich. Obwiniony podniósł się i chwycił za tomahawk.

— Człowieku, nie nazwij mnie po raz drugi kłamcą, jeżeli nie chcesz, żebym rozwalił ci czaszkę.

— Jestem Fred z Teksasu, a tego znają wszyscy. Twój tomahawk nie zrobi mi większej szkody, niż ukąszenie konia, a żebyś wiedział, że się ciebie nie boję, nazwę cię jeszcze raz kłamcą. Ty jesteś Georg Marlay. Spójrz na mnie i powiedz, czy moja twarz nie wydaje ci się znana?

Indianin wykonał lekceważący gest i powiedział:

— Nigdy cię nie widziałem.

— Jestem Fryderyk von Gollwitz, brat twojego dawnego pana.

Piorun przerażenia przeleciał po twarzy białego. Mimo to powiedział zdecydowanie:

— Bądź kim chcesz. Ja ciebie nie znam.

Teraz Fred podszedł do niego.

— Znasz ten list?

Trzymał mu przed oczami pismo, ten list skierowany do rodziny Gollwitzów z Kingston. Mężczyzna rzucił na to wzrokiem, potrząsnął przecząco głową i odezwał się:

— Nie znam go. Daj mi spokój!

— Znasz to pismo bardzo dokładnie, ponieważ sam je napisałeś. Człowieku, nie mam z tobą nic wspólnego, ale żądam od ciebie informacji na temat mojego brata. Gdzie go można znaleźć?

— Nie wiem nic o sprawie, o którą mnie pytacie. Jesteście obłąkani!

— Obłąkani? I to ty mówisz? Człowieku!

Zamachnął się i uderzył go pięścią w czoło tak, że ten runął, ale wyprostował się szybko, wyciągnął nóż i chciał się rzucić na swego przeciwnika. Natychmiast rewolwery Freda i Billa zostały skierowane na jego pierś. Ale stary wódz wyciągnął rękę, broniąc go nakazał:

— Zostawcie broń. Powiedzieliście słowa, których sens pozostał nam obcy. Co chcecie od naszego brata?

— To ten, którego szukam, ale on nie chce się do tego przyznać.

— Jeżeli nie chce tego zrobić, to jego sprawa. On nie jest już białym, on został czerwonym mężem. Zostawcie go w spokoju, nakazuję wam!

Wtem rozległ się tętent wzdłuż szeregu namiotów. Jeździec przygalopował, zatrzymał swego mustanga przed wodzami i zeskoczył. Wszyscy podnieśli się, a jeden z Indian pospieszył, aby przytrzymać mu konia.

Jego oczy ciskały błyskawice to na jednego, to na drugiego. Swój poważny wzrok zatrzymał na Inczu–czunie.

— To ty jesteś Inczu–czuna, wódz Apaczów?

— To ja.

— Jesteś bardzo dzielny, skoro masz odwagę przybyć do wojowników Komanczów.

Potem Sokół, ponieważ mm okazał się być przybysz, zwrócił się do swoich:

— Byłem tam daleko na północy, aby przywieść świętą glinę na nasze fajki. Pokój ma przynosić ta święta ziemia, ale gdy tylko powróciłem do wigwamu mojego, usłyszałem, że topór wojenny został wykopany i poląła się krew. Gdzie są moi synowie?

— W swojej chacie.

— Dlaczego nie ma ich tutaj?

— Udzielili tym mężom gościnności, dlatego nie mogą o nich decydować.

— Skoro synowie Sokoła tak uczynili, to mieli po temu powód. Przeprowadźcie ich! A wy opowiadajcie!

Stary wódz rozpoczął swe sprawozdanie, podczas gdy Sokół przysiadł się do niego. Był typem prawdziwego Indianina, niewysoki, ale barczysty i silnie zbudowany. Został jednomyślnie wybrany wodzem Komanczów, dzięki swym wojowniczym przymiotom.

Sprawozdanie nie wypadło zadowolająco dla myśliwych. Podczas wykładu pojawili się obaj synowie Sokola. Ich ojciec miał za sobą długą, niebezpieczną podróż. Dopiero co przyjechał. Ale nie odbyła się scena powitania, gdyż zabraniała tego surowa indiańska powściągliwość. Zwrócił się ku nim, gdy stary skończył, i powiedział:

— Topór wojenny między wojownikami Komanczów i bladymi twarzami został wykopany. Wszystkie blade twarze są naszymi wrogami, również i ci biali mężowie tutaj. Czy tak?

Przytaknęli głowami na znak potwierdzenia.

— Między synami Komanczów i Apaczów jest zawieszona wojna. Ale jeżeli Apacz pomaga wrogom Komanczów, to jako kogo należy go traktować?

— Jako wroga.

— Powiedziałeś słusznie. Więc wyście swym wrogom udzielili gościnności?

Odpowiedzią było ponowne skinienie głową. Sokół spoglądał na starszego syna.

— Opowiadaj!

Młody mąż powiedział krótko i zgodnie z prawdą. Ojciec przysłuchiwał mu się uważnie, potem zdecydował:

— Wódz Komanczów, którego przyjaciele i wrogowie zwą Sokołem, cieszył się w swym sercu, kiedy ujrzał swój wigwam. Ale teraz jego radość przerodziła się w ból, ponieważ jego synowie, aby nie musieć umrzeć, zawarli przyjaźń z wrogami swego namiotu. Powinniście byli wybrać śmierć, a ja ze smutkiem ale i z dumą zaśpiewałbym za wasze dusze żałobną pieśń poległych, a po tamtej stronie, na wiecznych terenach łowieckich spotkałbym was, jako bohaterów, którym usługiwać muszą duchy białych twarzy. Gdybym nie był waszym ojcem, to już teraz ułaskawiłbym was, ponieważ postąpiliście tylko, jak młodzi mężowie kochający życie. Ale, żeby Komańcze nie opowiadali, że wielki Sokół był łagodny dla swoich synów, wymierzam wam surową karę. Natychmiast opuście obóz i nie powrócicie tu, zanim każdy z was nie zdobędzie trzech skalpów naszych wrogów! Czy chcecie coś powiedzieć?

— Co stanie się z tymi mężami, za których bezpieczeństwo daliśmy nasze słowo? — spytał jeden, wskazując na pojmanych myśliwych.

— Sokół zwalnia was z danego słowa, oni znajdują się teraz pod moją ochroną.

Spokojnie odeszli na bok. Teraz Sokół skinał na Apacza.

— Mów!

Zagadnięty poruszył dumnie głową.

— Inczu—czuna, wódz Mescalerów, jest gościem swoich wrogów. On nie będzie mówić, gdyż jego mowa jest zbędna.

— Masz rację. Tam przed wigwamami walczyliśmy z tobą, ale tu jesteś bezpieczny. Ale biali mężowie niech mówią, ponieważ dowiedziałem się, że wnoszą skargę przeciwko jednemu wojownikowi Komanczów.

Wtedy Fred zabrał głos:

— Czy wysłuchasz mojej skargi?

— Kim jesteś?

— Znasz moje nazwisko. Nazywają mnie Fred z Teksasu jak długa i szeroka jest preria.

— Jesteś dzielnym wojownikiem, który jeszcze nikogo z nas nie zabił.

— Miałem brata, którego kochałem. My obaj byliśmy wodzami białych twarzy, a ten mąż, który teraz do was należy, wykonywał nam takie usługi, jakie u was wykonują kobiety. Był tylko jeden wódz bogatszy od nas, który nienawidził mojego brata. Mój brat wdał się z nim w kłótnię i zniknął z ojczyzny, tak że nie ujrzeliśmy go nigdy więcej. Razem z nim zniknął również jego służący, właśnie ten mąż, który mógłby nam powiedzieć, gdzie znajduje się mój

brat, za którym tęskni serce mojej matki. Niech spełni naszą wolę i wymieni to miejsce, gdzie przebywa mój brat, inaczej zabijemy go.

— Czy przyznał, że jest tym mężem, którego szukacie?

— Nie, on wypiera się tego, z nieznanego nam powodu.

— Ale jak chcesz udowodnić, że ten biały przyjęty do szczepu Komanczów, jest rzeczywiście tym, którego szukasz?

— Sokole, pozwól mi, abym wszedł do wigwamu tego męża. Ma z pewnością papiery i listy, z których wynika, że był służącym mego brata.

Wódz zastanowił się chwilę, po czym zwrócił się do Marlaya.

— Gdzie masz swój woreczek z lekami?

— W moim wigwamie.

— Znam ten woreczek, często widziałem, że masz w nim również takie rzeczy, które blade twarze nazywają listami. Gdzie on się znajduje?

— Za posłaniem.

Podczas tej odpowiedzi można było po nim poznać, że znalazł się w wielkim kłopotcie. Jego tajemnica była w poważnym niebezpieczeństwie.

— Przyniosę go, ja sam, nikt inny.

Mówiąc te słowa Sokół podniósł się.

— Ja ci go przyniosę! — zawołał Marlay. — On należy do mnie i wigwam jest też mój, nie wolno tam wejść nikomu innemu bez zezwolenia.

— Twoja odmowa jest dowodem na to, że jesteś kłamcą. I że blade twarz mówiła prawdę. Zostaniesz z naszego narodu usunięty jak tchórz. Niech jutro zgromadzenie zadecyduje o tobie!

— Nie jestem tchórzem!

— Jesteś, inaczej przyznałbyś się do swego nazwiska i wedle zwyczaju Komanczów walczył z tymi mężami.

— Pokażę ci, że nie jestem tchórzem.

— W jaki sposób?

— Będę z nimi walczyć.

— A więc jesteś tym, którego szukają?

— Tak.

— Wykonywałeś u nich pracę kobiet?

— Byłem ich służącym.

— Czy chcesz im pokazać te listy, o których przedtem mówili?

— Nie!

— Czy; chcesz im powiedzieć to, czego chcą się od ciebie dowiedzieć?

— Nie. Nie jestem w tej sprawie nikomu winien wyjaśnień.

— Nikt cię nie może zmusić, ale będziesz walczył z tymi bladymi twarzami, kiedy ustalimy godzinę walki. Idź!

— Stój! — zawołał Fred. — Ten mąż nie może wejść sam do swego namiotu! Jeżeli pozwolisz mu pójść, to zniszczy te listy!

— Poślę z nim dwóch mężów, którym odda woreczek.

Marlay poszedł, a na skinienie Sokola dołączyło do niego dwóch Indian.

Myśliwych i Inczu—czunę zaprowadzono do ich namiotu, gdzie byli mocno strzeżeni.

Minął dzień i nie wydarzyło się nic godnego wzmianki. Również i noc minęła spokojnie. Przed południem otworzył się ich namiot i pojawił się Indianin, który rozkazał, by udali się za nim na miejsce narady.

Zebrali się tam ponownie wodzowie i najbardziej szanowani mężowie szczepu. Pokazano im miejsca, a oni usiedli pełni nadziei.

Sokół zaczął:

— Wielki Duch gniewa się na wojowników Komanczów, że palili fajkę pokoju z bladymi twarzami. Komańczom przytrafiło się znowu wielkie nieszczęście, gdyż Rikarroha nie ma w obozie. Zniknął.

Biali zerwali się wściekli, a Fred krzyknął:

— Albo teraz kłamiesz i ukrywasz go, aby go uratować, albo kłamałeś wczoraj, kiedy nam obiecałeś, że będziemy z nim walczyć.

— Sokół mówił wczoraj prawdę i dzisiaj też mówi prawdę.

— Gdzie są te papiery, które zdrajca miał ci przekazać?

Ten sięgnął do swej bluzy myśliwskiej i wyciągnął stan woreczek z lekami.

— Oto woreczek z lekami. Wyciągnijcie papiery.

Fred dopadł i otworzył go. Znalazł dwa listy, rozłożył je, aby szybko przelecieć treść. Potem zawołał:

— Oszustwo! To nie te papiery, których szukamy.

— Nie było tam innych — odpowiedział spokojnie wódz.

— Zawołaj obu mężów, którym przekazał woreczek.

Wódz skinął i jeden z Komanczów podniósł się, aby ich przyprowadzić. Przybyli, a Fred z Teksasu przesłuchiwał ich:

— Czy to wy poszliście wczoraj z tym, którego nazywacie Rikarroh do jego namiotu?

— Tak.

— I wam przekazał ten woreczek?

— Tak.

— Czy otworzył go, zanim oddał w wasze ręce?

— On był ukryty w kącie namiotu. Długo tam klęczał, zanim wstał i widzieliśmy tylko jego plecy. Nie widzieliśmy co on robi.

— Ale ja wiem, co on uczynił. Otworzył woreczek, aby usunąć te papiery, których żądaliśmy. Gdzie on jest?

— Gdy słońce wstało, synowie Komanczów zauważyli, że opuścił obóz.

— Sam?

— Tak. Ale zabrał dwa najlepsze konie.

— W jakim kierunku pojechał?

— Ślady prowadzą na zachód.

W tym momencie zbliżył się jeden z Komanczów. Podeszedł do Sokoła i podniósł rękę do ust na znak, że chce mówić.

— Co młody wojownik chce powiedzieć swym ojcom? — badał wódz.

Ten odpowiedział:

— Wszyscy mężowie Komanczów wiedzą, że nasi wojownicy zabrali bladym twarzom wiele skórzanych worków wypełnionych złotem. To złoto było ukryte w ziemi, po tamtej stronie naszego obozu.

— Było? Mój brat chce chyba powiedzieć, jest ukryte.

— Nie ma go tam. Zniknęło.

Sokół sięgnął pięścią po nóż.

— Kto odkrył, że go nie ma?

— Ja.

— Opowiadaj!

— Poszedłem przyprowadzić sobie konia ze stada. Droga prowadziła obok miejsca, gdzie było zakopane złoto. Zobaczyłem, że kryjówka jest otwarta. Złoto zniknęło.

— Sokół sam sprawdzi. Nie zna jeszcze tego miejsca, prowadź mnie!

Podniósł się i zniknął z nim za namiotami. Po pewnym czasie wrócił, usiadł na swym miejscu i opowiadał:

— Złota nie ma. Zabrał je Rikarroh. Synowie Komanczów znają wiele miejsc, gdzie można znaleźć złoto, ale gardzą nim. Dlatego nie żałują, że ten metal zniknął.

Wtedy głos zabrał Bill Sanford:

— Ale my żałujemy. Kopaliśmy w pocie czoła, aby je znaleźć, a gdy je mieliśmy, zrabowali nam je wojownicy Komanczów. Przybyliśmy do nich, by je odebrać, a ono zniknęło po raz drugi. Pojedziemy śladami Rikarroha, żeby mu je zabrać.

— Czy blade twarze mogą się stąd oddalić?

— Kto chce nas zatrzymać?

— Blade twarze są naszymi jeńcami. Wówczas podniósł się Inczu–czuna.

— Synowie Komanczów mają truciznę na ustach i kłamstwo w sercu. Oni bezczeszczą święte obyczaje. Apacz gardzi nimi.

Odwrócił się i odszedł, inni poszli za nim do namiotu. Po upływie godziny namiot się otworzył i wszedł Sokół.

— Inczu–czuna, wódz Apaczów obraził nas, ale my mu pokazemy, że nie bezczęścimy świętych obyczajów.

— Jak nam chcesz to pokazać? — wypytywał Bill z napięciem.

— Wodzowie Komanczów odbyli naradę. Oni wypuszczą blade twarze i Apacza.

— Ze wszystkim, co mamy ze sobą?

— Ze wszystkim. Biali myśliwi dostaną tyle czasu, co jedna czwarta dnia, potem Komańcze popędzą za nimi, żeby ich zabić.

— Dziękuję ci wodzu. Nie będziecie nas mogli zabić. Kiedy możemy wyruszyć?

— Kiedy białym myśliwym to odpowiada. Niech tylko powiedzą o tym swej straży.

Poszedł. Pozostali odetchnęli.

— A więc gonitwa, jak zwykle! — odezwał się Fred.

— Która nam nie wyrządzi żadnej krzywdy — dorzucił Bili.

— Ależ oni mają wspaniałe konie. Dogonią nas.

Bill Sanford roześmiał się:

— Nie dogonią nas. Mamy sześć godzin przewagi. Tylko od nas zależy, czy zrobimy z tego dwanaście.

— Jak to rozumiesz?

— Niedługo będzie południe. Będziemy tu jeszcze ze trzy, czy cztery godziny. Oni dotrzymają słowa i odczekają dokładnie sześć godzin. A potem za nami pojedą. Jeżeli wyruszymy o czwartej, to termin minie o dziesiątej, wówczas jest już ciemno. Tym sposobem, jeżeli chcą rozpoznać nasze tropy, muszą poczekać do jutra.

— Słusznie, tak uczynimy! A w jakim kierunku pojedziemy?

— Oczywiście na Zachód, aby wysledzić tego Rikarroha.

— Zastanówmy się! Komańcom nie może się pokazać, gdyż ich okradł.

— Nie może się też udać do Apaczów, ponieważ oni są jego wrogami.

— Wobec tego nie pozostaje mu nic innego, jak dostać się do Nawahów.

— Gdzie obozuje teraz ten szczep?

— Po tamtej stronie Rio Colorado.

— W takim razie musi się najpierw przedostać przez teren Pah–Utah. Może poszuka u nich schronienia.

Inczu–czuna zaprzeczył głową.

— Pah–Utah są teraz przyjaciółmi Apaczów. Oni mi by go wydali.

— Ale co z nami?

— Moi biali bracia nie muszą się niczego z ich strony obawiać, ponieważ jestem z wami. Wojownicy Pah–Utah znają Inczu–czunę, wodza Apaczów.

— Najważniejsze, abyśmy opuszczając obóz zabrali odpowiednią ilość pożywienia. Ale jak je zdobędziemy?

— Niech moi biali bracia się nie martwią. Stada Komanczów pasą się przed obozem. Jak odjedziemy, zabijemy wołu i każdy odetnie sobie kawał mięsa. To nam pochłonie najwyżej tyle czasu, ile biali nazywają jedną czwartą godziny.

— Czy Komancze mają łagodne bydło?

— Mają kilka oswojonych krów, aby mieć mleko.

Teraz myśliwi obejrzeni, czy ich odzież i broń znajdują się w należytych stanie. Gdy była mniej więcej czwarta po południu, wyjechali konno z obozu. Wróg według złożonej obietnicy nie pojechał za nimi.

SAN FRANCISKO

Miasto leży na półwyspie. Na zachodzie ma za sobą Ocean Wielki, na wschodzie wspaniałą zatokę, a od północy wejście do niej. Na ulicach San Francisco można zobaczyć bladą, szczupłą, wytworną Amerykankę, dumną czarnooką Hiszpankę, jasnowłosą Niemkę i kolorowe kobiety o kędzierzawych włosach. Bogaty dżentelmen we fraku, w cylindrze i rękawiczkach niesie w jednej ręce szynkę, a w drugiej kosz z jarzynami, rancho rzucił na plecy sieć z rybami, aby mieć czym świętować, oficer policji ściska w rękę utuczonego kapłona, kwakier zapakował kilka potężnych homarów w podkasane, podobne do zapaski, poły długiego surduta — i to wszystko miesza się wspólnie, wcale sobie nie przeszkadzając.

Przez to rojowisko ludzkie w sercu kraju złota posuwał się mały oddział jeźdźców i zatrzymał w końcu przy Sutterstreet, przed hotelem „Valladolid”. Był to zajazd w stylu kalifornijskim wąski i długi, jednopiętrowy, drewniany budynek, podobny do tych jednodniowych bud, gdzie na naszych festynach strzeleckich można się napić dobrego piwa.

Tam zsiadli i oddali swe konie *horsekeeperowi*, stajennemu, który zaprowadził je do szopy.

Izba gościnna mimo swych olbrzymich rozmiarów była pełna gości, tak, że dla nowoprzybyłych było tylko kilka wolnych miejsc. Kelnerka przyniosła portera, jakiego sobie zamówili. Potem jeden spytał:

— Czy możemy rozmawiać z seniorą, moje dziecko?

— Tak. Mam ją zawołać?

— Proszę cię o to!

Dziewczyna oddaliła się, a wkrótce potem ukazała się gospodyni i spytała o życzenia gości. Mówiący przed chwilą, podniósł się.

— Pozwólcie, seniora, że się wam przedstawię. Nazywam się Fryderyk von Gollwitz. Jestem Niemcem, a to są moi towarzysze.

Dygnęła i spojrzała na niego niecierpliwie:

— Zostaliśmy do was skierowani, seniora.

— Ach! Czy wolno mi spytać, przez kogo?

— Dwa dni drogi stąd jest rancho, którego właścicielka nazywa się Eudoxia Mafero. Ona jest waszą siostrą?

— Tak

— Poleciała nam wasz hotel i powiedziała, że znajdziemy tutaj kogoś, z kim musimy koniecznie porozmawiać. Czy możemy u was zamieszkać?

— Jest wolna jedna izba. Kogo szukacie, senior?

— Czy nie zsiadł tutaj jeden biały, wyglądający na kogoś, kto ma za sobą bardzo długą podróż?

— Rzeczywiście.

— Kiedy?

— Przedwczoraj.

— Mieszka tutaj?

— Tak.

— Długo zamierza pozostać?

— Tego nie potrafię powiedzieć.

— Czy można z tym panem teraz porozmawiać?

— Niech się rozejrzę.

Rozglądała się po rozległej izbie od stolika do stolika, ale nie znalazła przedmiotu swych poszukiwań.

— Nie widzę go, senior!

— Może znajduje się w swoim pokoju?

— O nie, nie mamy tutaj jednoosobowych pokoi, lecz goście śpią w dużej izbie, pod dachem. Z pewnością wyszedł.

— Miał ze sobą bagaż?

— Tak, dwa duże, sporządzone ze skóry jeleniej worki, tak ciężkie, że konie z trudem mogły je udźwignąć. Ale później kupił sobie natychmiast walizkę. Chce opuścić miasto i dowiadywał się o statek wypływający wkrótce w morze.

— Dziękuję wam! Nie mówcie mu, że się o niego pytano, to będzie niespodzianka!

— Jak sobie życzyście.

Oddaliła się, a w tym samym czasie weszło dwóch mężczyzn, rozglądających się za jakimś wolnym miejscem. Nosili norlandzkie mundury, marynarskie, jednakże bez rangi. Jeden wysoki i mocno zbudowany, prawdziwy Goliat, drugi szczupły, a jego ogorzała twarz była podobna do tej, jaką spotyka się u Cyganów. Z trudem przeciskali się między gośćmi i usiedli na dwóch wolnych krzesłach, jakie znaleźli po krótkich poszukiwaniach. Kelnerka przyniosła im coś do picia. Goliat mruczał:

— Cholerna historia! Prawda, Karavey?

— Hm! Napij się, sterniku! — odpowiedział drugi.

— Całe trzy dni za późno!

— Pij! Jak się będziesz złościł, to i tak niczego nie zmienisz. Kelnerka przyniosła dwa kufle piwa, ale jasnego, angielskiego. Olbrzym wlał w siebie wszystko co do ostatniej kropli, rąbnął pięścią w stół i odezwał się:

— Wiesz, za kogo nas teraz będą uważać?

— Za dzielnych marynarzy.

— Nie, wezmą nas za dezserterów; którzy o ustalonej godzinie nie pojawili się na pokładzie.

— Musimy się zgłosić u konsula i oddać do jego dyspozycji.

— Bzdury! Jeśli się u niego pojawimy, to nas zamknie.

— No to co w takim razie?

— Idę na pierwszy lepszy statek i płynę do domu. Tam już będzie „Tygrys”. No, w końcu nic na to nie mogliśmy poradzić, że twój koń zaczął kuleć i nasz powrót z wycieczki w góry znacznie się opóźnił.

— Idziesz na pokład? Masz pieniądze?

— Ja! Do cholery, nie?

— Ja też nie. Jedenaście dolarów; to wszystko.

— A ja najwyżej jeszcze pięć. Co za piekielny kłopot!

Na chwilę zamilkli, po czym ten nazwany przez towarzysza sternikiem, zaczął:

— Żeby to cholerne spóźnienie nie niosło ze sobą jeszcze czegoś złego!

— Co masz na myśli?

— Pomyśl tylko o zmarłym Gollwitzu i o jego dzienniku okrętowym, albo jak się to nazywa, co stale ze sobą noszę?

— No, czy rodzina zmarłego dostanie ten dziennik, kilka dni wcześniej, czy później, to nie ma znaczenia.

— A jak nas ten Natter, ten łotr, ubiegnie? Zna treść tego zeszytu i wie, o co chodzi.

— Nic nie szkodzi! Gollwitzowie będą się wystrzegać, aby mu nie udzielić żadnej informacji, nawet gdyby jej zażądał!

— Ale nie możemy wiedzieć, czy nie ma spisku z diabłem, aby osiągnąć swój cel. Ten człowiek ma cholerne szczęście. Jak często deptaliśmy mu po piętach, a za każdym razem nam umknął!

— Może od tutejszych gości dostaniemy trochę pieniędzy jako zaliczkę, by popłynąć w rodzinne strony?

— Tutaj? W tej budzie z desek? Nie wierz w to! Przecież nikt nas tutaj nie zna. A na naszą pocziwą gębę... Do stu piorunów! — przerwał nagle słowa Karaveya i spowodował, iż zwrócił uwagę obecnych na siebie, przy czym jego wzrok padł na Freda z Teksasu.

— Karavey, popatrz tam do kąta! Tam siedzi on, wykapany Gollwitz, nasz Hugo von Gollwitz!

— Człowieku, nie rycz tak! Chcesz tu ludzi nabuntować? Myślę nawet, że zwariowałeś i widzisz duchy w ciągu dnia. A skąd by się ten Hugo von Gollwitz miał tu pojawić? Przecież sam byłeś przy tym, kiedy chowaliśmy go na cmentarzu w Kota Radža.

Sternik zerwał się tak gwałtownie, że przewrócił stołek. Hałas, jaki przy tym powstał, i głośno wykrzykiwane słowa spowodowały, że patrzono w jego stronę. Słowa Karaveya pomogły temu osłupiałemu mężczyźnie dojść trochę do siebie. Przejechał ręką po czole, robiąc głęboki oddech i znowu usiadł na krześle, który mu Karavey podsunął.

— Prawda, Karavey, masz rację. Jestem rekinem, co daje się przez zaskoczenie wykiwać. Oczywiście, że to nie może być on. Ale to podobieństwo! Tak, dokładnie tak wyglądał dwadzieścia pięć lat temu, kiedy widziałem go na pokładzie u Anglików. Spójrz, ten mężczyzna idzie w naszą stronę. Zauważył, że o nim mowa!

Fred z Teksasu rzeczywiście usłyszał słowa sternika i zrozumiał. Był wielce zdziwiony, że wymieniono tu jego nazwisko. Wstał i podszedł do stolika, gdzie siedzieli dwaj marynarze.

— Wybaczcie, sir, wymieniliście właśnie moje nazwisko. Czy mogę spytać, skąd mnie znacie?

Sternik opanował się, dlatego ostrożnie udzielił odpowiedzi:

— Tak, wymieniłem pewne nazwisko, ale czy wasze tego nie wiem.

— Moje nazwisko, możecie mi wierzyć. Przyznajcie, że zawołaliście Gollwitz?

— Nie zaprzeczam. Ale w końcu każdy może powiedzieć, że nazywa się Gollwitz.

— Człowieku, czy uważacie mnie za krętacza? Dlaczego miałbym się wypierać swego własnego nazwiska?

— O, byłby ku temu powód. Ale zaraz się dowiem, czy mówicie prawdę. Jeśli rzeczywiście nazywacie się Gollwitz, to powiedzcie skąd pochodzicie?

— Z Süderlandii.

— *Well*, zgadza się. Macie też brata?

— Tak.

— Możemy wiedzieć, jak się nazywa?

— Dlaczegoż by nie? Nie muszę się go wstydzić. Nazywa się Teodor.

— Znowu się zgadza. Ale teraz mam jeszcze jedno pytanie, czy nie mieliście jeszcze jednego brata?

— Tak, ale przepadł bez wieści przed wielu laty.

— A jak się nazywał ten brat?

— Hugo.

— Zgadza się po raz trzeci. Posłuchajcie, zaczynam wierzyć, że mówicie prawdę. Wobec tego musicie być tym trzecim i najmłodszym bratem, któremu na imię Fred. Czy tak się nazywacie?

— Tak, to ja. Ale powiedzcie mi, skąd...

— Poczekajcie jeszcze trochę! Sprawa jest tak ważna, że muszę mieć całkowitą pewność. Może macie przy sobie jakiś papier, którym moglibyście się wylegitymować?

Fred sięgnął do kieszeni i wyciągnął paszport.

— Macie mój dowód tożsamości. Mam nadzieję, że to wystarczy, aby was przekonać, iż mam prawo nosić nazwisko Gollwitz.

— Paszport! Oczywiście, że to wystarczy. Tu jest wyraźnie napisane nazwisko: Fryderyk von Gollwitz, zwany Fred. Słuchajcie, sir, uwierzyłbym wam na podstawie tego dokumentu, nawet gdybyście nie byli tak podobni do brata.

— Do mojego brata? Którego? Chyba myślicie o Teodorze?

— Nie, nie o nim, lecz o tym drugim: o Hugo.

— Czyż to możliwe? O Hugo, o tym, o którym nie słyszeliśmy nic od przeszło dwudziestu pięciu lat? Czyżbyście go widzieli? Gdzie, kiedy?

— Po raz pierwszy, przed dwudziestu pięciu laty, a dwa miesiące temu po raz ostatni.

Ta nieoczekiwana wiadomość wywarła na Fredzie nieopisane wrażenie. Chwycił sternika za ramię i wołał, nie formalnie wrzeszczał:

— Widzieliście go? Przed dwoma miesiącami? To nie może być prawdą. Gdyby Hugo jeszcze żył, z pewnością dałby jakiś znak swojej rodzinie.

— A kto wam mówi, że był do tego zdolny? Mam was i waszych rodziców pozdrowić od niego i przekazać wam coś, czego się chętnie pozbędę.

— Więc mój brat jeszcze żyje?

— Nie, nie żyje.

— Ależ, człowieku, wy mnie dręczycie. Dopiero zapewnialiście mnie, że prosił o przekazanie pozdrowień, a równocześnie mówicie, że on już nie żyje. Jakże mam to rozumieć?

— Wasz brat nie przekazał mi pozdrowień dla was osobiście, ponieważ kiedy go widziałem po raz drugi, już nie żył. Ale wiem, że w ostatniej chwili, zanim zaniknął oczy, myślał o rodzinie. Ale to długa historia, której nie mogę wam teraz opowiedzieć. Popatrzcie tylko, jak ludzie nadstawili uszu! Przecież tak krzyczycie, jakby was mieli usłyszeć tam, w starej Europie.

Rzeczywiście w olbrzymiej sali zrobiło się cicho, goście spoglądali w stronę tych dwóch, aby z tej więcej niż ożywionej rozmowy, coś wychwycić. Freda dopadło tak straszne

zdenerwowanie, że zapomniał o całym świecie. Słowa sternika uświadomiły mu, że nie są tu sami.

— Macie rację, sir. Nie jest to właściwe miejsce na rozmowę o tych sprawach. Może gospodyni zechce nam przydzielić jakieś zamknięte pomieszczenie, gdzie nie będziemy obserwowani.

Nie trwało to długo, jak Fred, Bill, Inczu—czuna i ci dwaj nowi przybysze siedzieli w oddzielnym od izby gościnniej pomieszczeniu, gdzie byli sami. Sternik opowiadał zdarzenia, jakie rozegrały się na „Tygrysie” i znane są już czytelnikowi. I można przypuszczać, że miał we Fredzie i Billu najuważniejszych słuchaczy. Szczególnie Fred przysłuchiwał się z wielką uwagą i patrzył mu na usta. Apacz słuchał w bezruchu, bez najmniejszego zaangażowania.

Gdy sternik skończył, to sięgnął do kieszeni i wyciągnął notatnik zmarłego.

— A tutaj macie jego spadek. Nie wygląda wprawdzie tak, jakby miał jakąś wartość, ale zaczynajcie czytać, wtedy nie zamienicie go za żadne królestwo. Do stu piorunów, ależ mojej matki syn jest zadowolony, że przekazał to właściwemu człowiekowi!

Fred ze łzami w oczach odbierał z ręki sternika zapiski sporządzone, znanym charakterem pisma. Zapominając o wszystkich, chciał się zabrać do czytania, gdy właśnie otworzyły się drzwi, w których pojawiła się gospodyni.

— Mężczyzna, z którym chcecie rozmawiać, właśnie wrócił.

— Czy jest sam?

— Tak. Poszedł do sypialni. Tam właśnie byłam, kiedy przyszedł.

— Jak się dostać na górę?

— Schodami od podwórka.

Oddaliła się, a Fred zwrócił się do swych towarzyszy:

— Chodźcie! Nas trzech wystarczy, aby się z nim rozprawić. Czy mogę panów poprosić, abyście zaczekali na nas w tym pokoju? Mamy do załatwienia mały, pilny interesik i niebawem wrócimy.

Obaj biali myśliwi oraz Indianin podnieśli się, poszli na podwórzec, a potem schodami w górę. Dotarli do długiego, niskiego strychu, zajmującego całą szerokość budynku. Był wypełniony licznymi półkami. Obok jednej z nich klęczał mężczyzna, odwrócony do nich plecami, i zajmował się otwartą walizką. Fred zakradł się bezszelestnie i spojrzał mu przez ramię. Wielka waliza wypełniona była *nuggetami*.

— Marlay! — zawołał głośno.

Zaczepiony odwrócił się i aż podskoczył. Gapił się na myśliwego jak na ducha.

— Znasz mnie, chłopcze?

Pozostali cofnęli się za drzwi, tak że zaskoczony Marlay nie mógł ich ujrzeć. Myślał, że jest sam z Fredem i nabrał pewności.

— Czego chcesz? — wypytywał, sięgając ręką po nóż.

— Najpierw nic innego, jak te *nuggety*.

— Ach! Pozwól przypuszczać, że masz bzika!

— Pozwalam ci. Także wariat może potrzebować pieniędzy i *nuggetów*.

— Ale do diabła, nie znam cię! — kłamał bezczelnie.

— Hm, a ja myślałem, że już gdzieś się widzieliśmy i było to w Süderlandii, a potem niedawno u Komanczów. Znasz może rodzinę Gollwitzów?

— Nie znam.

— Nie znasz także służącego Gollwitzów, Georga Marlaya?

— Nie.

— No to masz krótką pamięć. Dlaczego tak szybko opuściłeś swoich przyjaciół, Komanczów?

— Nigdy nie spotkałem w życiu tych czerwonych diabłów.

— W takim razie muszę ci przedstawić świadków, którzy udowodnią coś wręcz przeciwnego.

Skinął, pozostali weszli. Marlay wyraźnie pobladł.

— No, chłopcze, także ich nie poznajesz?

— Nie znam ich!

— Hm! Indianie nie mają zwyczaju zapominać, a ty jesteś przecież Rikarroh, Komańcz?

— Mylicie się, sir. Pomyliliście osoby. Widocznie jestem do kogoś podobny.

— Ba! — odezwał się na to Sanford. — Nie róbcie z tym człowiekiem tyle ceregieli! Jesteśmy w Ameryce i nie potrzebujemy ani sądu ani adwokata. Przyznasz się, że jesteś tym, za kogo cię uważamy?

— Nie.

— Dobrze. Tutaj stoją trzech mężczyzn, którzy nie pozwolą się okłamywać, a każdy z nich ma przy sobie nóż. Teraz cię przesłucham, i mówię ci: jeżeli mnie też okłamiesz, to pójdiesz do diabła!

To wywarło odpowiednie wrażenie. Marlay rozglądnął się bojaźliwie, a w końcu spytał:

— Czego właściwie chcecie?

— Tylko kilka szczerych odpowiedzi od ciebie. Teraz ja pytam, a jestem człowiekiem, który umie pytać dobitnie. A więc mów prawdę! Skąd pochodzisz?

Indianin wyciągnął nóż. Fred również. Marlay zrozumiał, że już nie pomogą mu żadne kłamstwa, więc wyjąkał:

— Z Süderlandii.

— Dobrze, mój chłopcze! Widzę, że wrócił ci rozsądek. Jak się nazywasz?

— Georg Marlay.

— Ślicznie! Byłeś służącym barona Teodora von Gollwitza?

— Tak.

— Od kogo masz to złoto w twojej walizce?

— Sam je wypłukałem.

— Bardzo dobrze! Odmów Ojcie Nasz, mój synu, już po tobie.

— Nic mi nie możecie zrobić!

— Ach! Dlaczegoż by nie?

— Zostaniecie ukarani!

— Ty jesteś rzeczywiście dużo większym głupcem, niż myślałem! Jeśli cię mój nóż dosięgnie, a my się oddalimy, no to kto to uczynił? A nawet, jeżeli to wyjdzie na jaw, to myślisz, że się boję? Drażnisz mnie, kładziesz rękę na nożu, czyż nie znasz zwyczaju tego kraju? Masz przed sobą dwie drogi. Jedna — przekazemy cię sędziemu i powiemy mu, co o tobie wiemy. Wtedy spędzisz resztę życia w więzieniu...

— A druga?

— Przyznasz się do wszystkiego, a w tym przypadku możesz liczyć na naszą pobłażliwość.

— No to pytaj do stu diabłów!

— Od kogo masz to złoto?

— To to samo złoto, które Komancze ukradli, białym myśliwym.

— A więc to nasze złoto, ponieważ to my jesteśmy tymi okradzionymi. Co masz w kieszeniach?

— Nic.

— No to przeszukamy cię. Złapcie go! Ja sprawdzę!

Pochwycili go, a Bill sprawdził mu kieszenie. Znalazł nowy zegarek i portfel wypchany nowymi banknotami.

— Kiedy sobie to kupiłeś?

— Dzisiaj.

— Za *nuggety*?

— Tak.

— To w takim razie nie twoje. Skąd masz te banknoty?

— To moje oszczędności, noszę je przy sobie od lat.

— Ach! Także wśród Komanczów? Dziwne! Sprawdź. Bill otworzył portfel i starannie sprawdził banknoty.

— Hm! Słyszałeś chyba, że niektórzy bankierzy wydawane u nich banknoty zaopatrują w datę i nazwisko? Robią to, aby się na wszelki wypadek zabezpieczyć.

— Nic o tym nie wiem.

— No popatrz, na tym stu funtowym banknocie jest napis, a obok tego dzisiejsza data. I ty go nosiłeś przy sobie latami?

— Źle naniesiono datę. Powinna być starsza, w każdym razie przeczytaliście pięć zamiast trzy.

— Ba! Te pieniądze wymieniono dopiero dzisiaj za złoto. Są nasze.

— Wnoszę sprzeciw! — zawołał Marlay, starając się rozpaczliwie uwolnić z rąk obu mężczyzn.

— W niczym ci to nie pomoże, mój chłopcze. A teraz mam decydujące pytanie, albo zdecydujesz się jechać pod nadzorem do Süderlandii, albo zaprowadzimy cię do szefa, który zadecyduje o tobie.

— Jestem tu wolnym człowiekiem.

— Udowodnię ci, że jest odwrotnie. Idźcie i przyprowadźcie policjanta!

Fred odszedł. Gdy zbliżył się do drzwi, Marlay zawołał:

— Stójcie, nie idźcie! Widzę, że muszę się poddać. Ale żądam, żebym ani tutaj, ani w ojczyźnie nie został postawiony przed sądem.

— Zgodzimy się na ten warunek, jeśli będziesz mówił szczerą prawdę,

— Co chcecie jeszcze wiedzieć?

— Człowieku, jak możesz w ogóle o to pytać? — wtrącił się Fred.

— Chcę wiedzieć, gdzie przebywa mój brat Teodor, twój dawny pan.

— Tego nie wiem.

Fred był tak zaskoczony tą odpowiedzią, że w pierwszej chwili nie wiedział, co powiedzieć. A po chwili wybuchnął:

— Chcesz z nas znowu zakpić, hultaju? Przecież pisałeś z Kingston do mojej rodziny, że mój brat ci zabronił informować o miejscu jego pobytu. To oczywiście było cholerne kłamstwo. A więc mów! Gdzie jest mój brat? Mów, albo cię uduszę.

— Nawet jak mnie natychmiast zlinczujecie, to nie mogę udzielić wam informacji.

— Czy mój brat jest w ogóle w Ameryce?

— Nie, przyjechałem tu bez niego.

— Kiedy widziałeś mojego brata po raz ostatni?

— Na zamku Himmelstein, przed pojedyńkiem.

— A potem?

— Wysłuchajcie mnie spokojnie! Chcę wszystko co wiem, szczerze opowiedzieć. Szalony hrabia zażyczył sobie w tajemnym piśmie, aby mój pan przyjechał na zamek Himmelstein w celu załagodzenia powstałego sporu. Uczynił tak, a ja mu towarzyszyłem. Przybywszy, pan Gollwitz został powitany przez hrabiego i zaprowadzony do komnat. Nie zobaczyłem go już więcej. Następnego dnia wezwał mnie hrabia do siebie i spytał, czy chcę zrobić dobry interes. Potwierdziłem, wtedy złożył mi propozycję, abym wyjechał do Ameryki i tam napisał list, który potem otrzymała rodzina Gollwitzów. zaproponował mi tak wysoką sumę, że skusił mnie blask pieniędzy i zgodziłem się.

— Nie spytałeś o twego pana?

— Spytałem, ale nie udzielił mi odpowiedzi. Musiałem jeszcze tego samego dnia wyjechać i od tamtego czasu, nigdy więcej nie słyszałem o panu Teodorze von Gollwitz.

— Tym razem mówisz prawdę, widać to po tobie, chociaż ci jeszcze nie wierzę. Sądzisz, że ten pojedynek rzeczywiście się odbył?

— Sądzę, że nie.

— Dlaczego nie?

— Zanim wyjechałem, siedziałem przez godzinę u kamerdynera Geisslera i wypytywałem o mego pana oraz zakończenie pojedyńku. Kamerdyner śmiał się szyderczo, że hrabia ma sposób, aby unieszkodliwić swych wrogów nie bijąc ich.

— Znasz ten sposób?

— Nie, nie pytałem o to.

— Myślisz, że go podstępnie zamordował?

— Nie, nie sądzę, żeby „szalony hrabia” był zdolny do popełnienia morderstwa, zbyt jest tchórzliwy. Raczej uważam, że kazał mu zniknąć w inny sposób.

Fred przeszedł się kilka razy tam i z powrotem. Potem zatrzymał się przed Marlayem.

— A Miss Ella? Co z nią? Marlay zdumiał się.

— To ona też zniknęła? Nic o tym nie wiem. Myślałem, że została kochanką hrabiego, w każdym razie straciłem ją wtedy z oczu.

— To bardzo dziwne. Ale możliwe, że jej również zapłacono za milczenie.

— A to, co mi teraz opowiedziałeś jest całą prawdą?

— Tak. Przysięgam, że powiedziałem wszystko, co wiem.

— Wierzę ci. Właściwie to już zakończyliśmy nasze sprawy. Już ci raz powiedziałem, że nie zależy nam na tobie. Puścilibyśmy cię wolno, gdyż twoja obecność, na nic nam się nie przyda. Ale musimy być pewni, że nas nie zdradzisz i dlatego zabieramy cię ze sobą. Obiecuję ci, że nie stanie ci się nic złego i zwolnimy cię, jak tylko osiągniemy to, co zamierzamy. Ale przy najmniejszej próbie ucieczki jesteś zgubiony, zapamiętaj to sobie.

Zabrali go na dół do izby gościnnej. Ledwo weszli, gdy przy odległym stoliku podniósł się człowiek, po którego podartym na strzępy ubraniu można było poznać, że jest zrujnowanym poszukiwaczem złota. Podszedł i położył Marlayowi rękę na plecach.

— Ach, jak się mamy? Czy myśmy się już kiedyś nie widzieli, he?

Zagadnięty był śmiertelnie blady. Musiał znać tego człowieka, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

— Myśmy się widzieli? Nie mogę sobie przypomnieć!

— Nie? *Well*, to ci trochę pomogę. Will, wstań i przyjrzyj się tej piekielnej twarzy!

Wywołany siedział z nim przy jednym stoliku. Podszedł bliżej. Była to wysoka, barczysta postać, mająca z pewnością niezwykłą siłę.

— Znam tego faceta — odpowiedział.

— Więc twierdzisz, że to on?

— Oczywiście!

— Dobrze! Panowie, bądźcie tak dobrzy i posłuchajcie mnie.

Na tak głośno wypowiedziane słowa zapanowała cisza.

— Ten człowiek tutaj jest *busheaderem*, pospolitym bandytą i rozbójnikiem, który dlatego poszedł do Komanczów, gdyż był wśród białych myśliwych, po prostu spalony. Mnie i temu tutaj zabrał kilku dobrych kolegów. Powiedzcie, dżentelmeni, co mu się za to należy?

— Kula! Stryczek! — wołano ze wszystkich stron jeden przez drugiego.

— *Well*, macie rację! Ale powiedzcie, czy z powodu takiej błahostki pójdziemy do szeryfa, albo do naczelnika?

— Nie, załatwimy to tutaj!

Teraz, gdy Marlay zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa w jakim się znajdował, nabrał odwagi.

— To nie ja! — krzychał — Ten człowiek pomylił mnie z kimś innym.

— Oho, mój chłopcze. — odpowiedział Will — za dobrze cię znamy!

— No to złapcie mnie!

Marlay odwrócił się i skoczył w stronę wyjścia.

Will kilkoma susami znalazł się tuż obok niego, złapał go za kołnierz i mocno trzymał.

— Stój, człowieku! Znamy się na łapaniu. Sam widzisz.

— Ale jeszcze mnie nie masz!

Nóż zabłysnął w ręce Marlaya, zamierzył się do ciosu.

— Ach tak, chcesz mnie zabić? To w takim razie idź do diabła! Poszukiwacz złota wyciągnął w mgnieniu oka rewolwer i zanim Marlay zdążył zadać zamierzony cios, dosięgnął go strzał.

— Panowie, widzieliście chyba wszyscy, że wyciągnął nóż na mnie?

— Widzieliśmy! — odpowiedzieli wszyscy.

— Więc możecie w razie czego poświadczyć, że było to w obronie własnej?

— Poświadczymy.

— *Well!* Niech gospodarz usunie tego trupa, gdzie chce! Był rabusiem i mordercą, spotkała go więc zasłużona kara.

Zastrzelonego wyniesiono, a sprawca był pewien, że jego strzał nie będzie miał żadnych przykrych następstw.

Fred i jego towarzysze nie brali udziału w tym zajściu, ale nie mogli też ukryć swego przerażenia.

— No to pozbyliśmy się tego faceta, chociaż w inny sposób niż myśleliśmy! Tylko przysporzyłby nam kłopotów!

— Czy gospodyni wyda nam jego walizki? — spytał Bili.

— A kto by się pytał? Walizka należy do nas i chciałbym zobaczyć tego, kto by się odważył nam odmówić. Poza tym wszystko przyszło w samą porę, ponieważ mamy teraz środki, aby naszego wychudzonego Adama ubrać w lepszą odzież. Zabezpieczymy *nuggety*, a potem wrócimy do naszych nowych znajomych!

Tak też się stało, wkrótce potem towarzystwo siedziało w sąsiednim pokoju. Fred opowiadał co zaszło, a obaj marynarze słuchali z uwagą. Kiedy myśliwy skończył, sternik uderzył pięścią w stół, aż zakołysały się szklanki i krzyczał:

— Do stu piorunów! *nuggety* pojawiają się w samą porę. Oczywiście wiecie, panowie, co teraz macie zrobić? Wynajmiecie lub kupicie jacht, albo jakąś inną odpowiednią łódź i już was nie ma:

— Mamy wyjechać? Dokąd?

— No, a gdzieżby, jak nie na wyspę waszego brata po skarb czekający tam na was. No tak, ale wy wiecie o wszystkim tyle, co nic. Przeczytajcie dziennik waszego brata, wtedy zrozumiecie. A innym panom proponuję, abyśmy podnieśli kotwicę i przeszli się po mieście. Mister Gollwitz nie będzie się nudził, tak myślę.

Gdy ci czterej, ponieważ Apacz też się do nich przyłączył, wrócili wieczorem do zajazdu, zastali Freda z wypiekami na twarzy i świecącymi oczami, siedzącego cały czas nad dziennikiem pokładowym. Właśnie zabierał się do czytania po raz drugi. Widząc wchodzących mężczyzn wstał i promieniejąc z radości zwrócił się do Sanforda:

— Bili, stary *swalkerze*, dzisiaj jest dzień, jak żaden inny. Opuściłem dom, aby szukać Teodora, a znalazłem nie tylko jego ślad, ale natrafiłem również na trop mego dawno zaginionego, starszego brata. Och Bill, mógłbym równocześnie i śmiać się i płakać, tak bardzo jestem szczęśliwy, ale i tak bardzo smutny po przeczytaniu tego, co napisał mój brat. A wam. — tu zwrócił się do dwóch marynarzy z „Tygrysa” i uściśnął im ręce — zawdzięczam w dużej mierze moje dzisiejsze szczęście. Na razie niech uścisk dłoni będzie moim podziękowaniem i niech Bóg da, żebym wam mógł niebawem inaczej podziękować!

Sternik, z wyglądu olbrzym, z charakteru dziecko, wycierał oczy ze wzruszenia. Chwilę później zawstydził się chyba powodu swej słabości, gdyż odezwał się jak zazwyczaj, swym gromkim głosem:

— Do stu piorunów! Tu nie ma za co dziękować! Nie zrobiliśmy nic innego, jak tylko to, czego oczekuje się od uczciwego człowieka. A więc wyświadczyć mnie i Karaveyowi przysługę i nie mówcie już nic o podzięce! Powiedzcie lepiej jak się wydostaniemy z tej dziury, którą oni nazywają San Francisco.

— Jak się wydostaniemy? Dokładnie tak, jak proponowaliście.

— Więc wynajmiemy statek?

— Nie, kupimy. Będziemy mieli wtedy wolną rękę, poza tym właściciel statku nie zgodziłby się chyba na podróż, w tak odległe kraje. Najważniejsze to to, czy skarb będzie jeszcze na tej wyspie, gdy tam przyplniemy.

— A dlaczego miałoby go tam nie być?

— Pomyślcie o Natterze, który jeśli was dobrze zrozumiałem, zna położenie wyspy i kryjówkę.

— Często myślę o tym hultaju. Ale nie zna przecież liczby.

— Och, jeśli jest przebiegły, może się z łatwością o nią dowiedzieć.

— Jakże to? Wasz brat w swym dzienniku wyraźnie wyklucza taką możliwość!

— Nie wiedział, że sytuacja naszej rodziny tak się zmieniła. Nie mamy teraz czasu na wyjaśnienia, opowiem wam wszystko później. W każdym razie Gollwitzowie nie muszą się już ukrywać z powodu tej liczby, od kiedy tajemnica z tym związana została wyjaśniona na ich korzyść.

— Do stu piorunów! To tak? No to musimy się spieszyć.

— Powiedźcie, sterniku! Od kiedy macie ten dziennik?

Olbrzym zastanowił, się chwilę:

— Trzy miesiące.

— Co? Już tak długo! Czy nie uważacie, że Natter umiejętnie wykorzystał ten czas.

— Sądzę, że tak. Do stu piorunów! Jak tylko pomyślę, że ten szatan mógłby nam wszystko odebrać!

— Widzicie? A co wtedy, jeśli on już uczynił to, co my dopiero zamierzamy? A jeśli kupił statek, albo wypożyczył i znajduje się w drodze na wyspę? Środków mu przecież nie brakuje. Miał perły mojego brata.

Sternik zastanawiał się coraz bardziej nad słowami Freda. Gdy ten skończył, zerwał się z miejsca.

— Mister Gollwitz, weźcie kapelusz i chodźcie ze mną!

— Dokąd?

— Do portu, kupić statek!

— Nie tak szybko! — zaśmiał się Gollwitz — Potrzebuję przecież kapitana.

— Już go pan znalazłeś. Ja nim będę.

— Znacie się na tym?

— Cholera, jestem o tym przekonany!

— A marynarze?

— Zdobędziemy ich.

— A jeżeli nas zdradzą!

— Ba! Weźmiemy Chińczyków. Ci dobrze pracują i są szczęśliwi, kiedy nadarzy im się okazja powrotu do swego wspaniałego kraju. Pozwólcie mi to załatwić!

— Żywność?

— Oczywiście, że potrzebujemy, również trochę prochu i ołowiu, ponieważ nigdy nie wiadomo, kogo się spotka.

— Ale najważniejszy jest statek. Jest z pewnością drogi.

— Nie tak drogi, jak myślicie. Są tu zawsze statki na sprzedaż i jestem przekonany, że coś wybierzemy.

— Jak wysoka może być cena?

— To zależy od tego, co wybierzemy. Ilu was będzie?

— Nie więcej niż dwóch: Bill Sanford i ja.

— To wystarczy — jacht, albo mały szkuner, któremu damy takielunek klipera, aby mógł szybciej żeglować. Mając dwadzieścia tysięcy dolarów można sobie na dużo pozwolić. Przeznaczycie na to taką sumę?

— Ma się rozumieć! To, co na tej wyspie jest zakopane, jest oczywiście nie tylko moją własnością, ale całej mojej rodziny i dlatego nie mogę myśleć tylko o sobie. A poza tym chodzi tu o dziedzictwo mojego brata, które byłoby dla mnie świętością i wówczas, gdyby chodziło o coś mniejszego. A więc chodźmy!

Po kilku minutach kroczyło w stronę portu pięciu mężczyzn, którzy spotkali się w tak dziwny sposób, a po godzinie wrócili. Kupili uszkodzony jacht i trzeba go było naprawić. Z tej też przyczyny cena nie była wygórowana i Fred ją natychmiast uścił. Przypuszczali, że naprawa i wyposażenie nie zajmie im więcej czasu, jak tydzień.

Przybywszy do hotelu. Fred zwrócił się do Indianina:

— Jak długo wódz Apaczów będzie przebywał, w tym kraju?

— Nie opuści go, zanim jego biali bracia nie wypłyną dużym *karm* na Wielką Wodę. Inczu-czuna kocha swoich przyjaciół i pozostanie z nimi tak długo, aż sami odejdą.

Obaj marynarze spędzali od tej chwili cały czas na jachcie, aby nadzorować prace. Jacht zaopatrzone w dużą ilość żywności, a obok innej broni, Fred kupił również działko obrotowe, które ustawiono na pokładzie. Podróż przez wyspy Wielkiego Oceanu nie była bezpieczna. Sprawili sobie dobre mapy i wszystkie nautyczne przedmioty, wyraźnie okazało się, że sternik Schubert był dzielnym kapitanem.

W końcu nadszedł dzień odjazdu. Weszli na pokład, gdzie byli już chińscy marynarze. Gdy załatwiono wszystkie formalności z policją portową. Inczu-czuna podszedł do Freda i Sanforda.

— Moi bracia wyruszają na Zachód, a wódz Apaczów wraca do chat swego szczepu. Czy jego bracia pomyślą o nim czasem?

— Nigdy cię nie zapomnimy — odpowiedzieli obaj serdecznie.

— Także. Inczu-czuna będzie ich zawsze wspominał. On chce teraz odejść. Niech Wielki Duch czuwa nad moimi białymi braćmi, żeby szczęśliwie dopłynęli do kraju, gdzie znajdują się wigwamy ich ludu. Inczu-czuna wypali wiele fajek ku duchom, które ich będą ochraniać.

Tymi słowami rozstał się z nimi. A jacht odbił od brzegu, postawił żagle i ruszył w kierunku reddy, aby wziąć kurs na wyspę skarbów, której bogactwa miały być wydarte wnętrzu ziemi.

SKARB MAHARADŻY

Pogodne, bezchmurne niebo rozpościerało się nad morzeni i plażą, na której przed chatą z okrągłaków siedziało kilku mężczyzn, sądząc po wyglądzie, marynarzy. Rozniecili ognisko i przygotowywali sobie obiad. Daleko, przed kipiela rozbijającą swe szumiące fale o otaczające plażę rafy, znajdował się ich zakotwiczony bryg. Jedna połowa tej długiej łodzi leżała na plaży, druga w wodzie i w przeciwieństwie do szalejącej przed klipami kipieli była tak nieruchoma, jakby jeszcze nigdy nie było takiego sztormu, który poruszyłby nią.

W rozmowie tych ludzi na plaży nastąpiła przerwa. Tematem rozmowy musiała być chata z okrągłaków, gdyż ich oczy skierowane na ten prosty budynek wyrażały zarówno pewien niepokój jak i ciekawość. Chata sprawiała wrażenie, jakby jeszcze całkiem niedawno ktoś tu mieszkał.

— *Damn!* — sternik przerwał w końcu milczenie — Chcę być natychmiast wysmołowany i nasprężynowany, jeśli to nie jest najdziwniejsza historia, jaka mi się kiedykolwiek przytrafiła. Co sądzicie, kapt'n?

Zapytany, po którym można było poznać z daleka, że jest Jankesem, odpowiedział:

— Mnie się ta historia wydaje dziwaczna, ale nie chcę się mieszać. Mister, płaci dobrze, a poza tym nic nas nie interesuje.

— Słusznie, kapt'n! Ale syn mojej matki chciałby wiedzieć co to wszystko ma znaczyć. Jakoś nie bardzo w to wierzę, że ten mister Mericourt wynajął nasz bryg tylko dlatego, aby sobie zrobić przejażdżkę po tych przeklętych wodach, gdzie człowiekowi się wydaje, że jest jak śledź, który zablądził i nie może znaleźć drogi powrotnej do swych kolegów.

— Zrobić przejażdżkę? Ani mu to w głowie. On wam tak samo jak i mnie wyjaśnił, że jest botanikiem i jakiś czas mieszkał ze swym służącym Malajem na tej wyspie, a teraz tu wrócił, aby zabezpieczyć swoje zbiory.

— I wy, w to wierzycie. Kapt'n? — powątpiewał sternik. — To czemu jest taki tajemniczy? Jaki rozsądny człowiek jeśli jest nawet botanikiem, jak powiadacie, zechce ulokować swe rzeczy, o które się nawet biedny krab nie zatroszczy, tak daleko od swego mieszkania! Nie, za tym kryje się coś tajemniczego.

— No, ale co?

— Tego to nie wiem. W każdym razie nie wierzę w ani jedno słowo tego botanika i jego służącego. Wiecie, kapt'n, co znaleźliśmy w tej chacie?

— Nie kaźcie, mi długo zgadywać, lecz mówcie zaraz, co wiecie! Miałem inne rzeczy na głowie, aniżeli zajmowanie się wnętrzem tej chaty.

— Wyciągnęliśmy ze skrzyni różne ubrania, które należały tylko do jednej kobiety.

— Ach!

— Tak, są to ubrania z najdelikatniejszego indyjskiego jedwabiu, takie jakie oglądałem na bazarze w Bombaju czy Kalkucie. A ta jedna z dwu malutkich kajut, przylegających do tylnej ściany domu, mogła należeć tylko do kobiety, tak wdzięcznie i miło jest urządzona. Wygląda tak, jakby właścicielka właśnie wyszła odwiedzić sąsiadkę.

— *Goddam*, to naprawdę dziwne! Muszę to sobie obejrzeć.

Jankes wstał i wszedł do chaty. Za jakiś czas wyszedł i usiadł na swym miejscu.

— Tak, tak, macie, mister nas okłamał, kiedy nam mówił, że był tu ze służącym. Całe wyposażenie jest tylko dla dwóch osób, mężczyzny i kobiety. Nie ma ani śladu, aby był tu ktoś trzeci, służący.

— W takim razie i ten „przyrodnik” to kłamstwo. Ale dlaczego chciał nas odwieść od pójścia na ląd, kiedy wypływał ze swym służącym po zbiory?

— Masz rację, macie, to mi też podpadło. Chyba obawiał się, że coś tutaj znajdziemy, co naprowadziłoby nas na trop jego tajemnicy. No, wkrótce się okaże, o co chodzi. W końcu nic nas ta cała sprawa nie obchodzi tak długo, dopóki będzie wobec nas uczciwy. Dotychczas byliście z niego zadowoleni. Czy tak?

— Oczywiście, kapt’n — uśmiechnął się sternik. — Pod tym względem nie mam panu Mericourt nic do zarzucenia. Zadatek, jaki nam dał przed rozpoczęciem podróży, był dwa razy wyższy, niż to zazwyczaj bywa, a kiedy podróż, zakończy się pomyślnie, obiecał dziesięciokrotnie więcej niż to, co już dostaliśmy. Nie skąpi, to muszę przyznać.

Mówiąc to pstryknął palcami i zrobił taką minę, jakby już usłyszał w swej kieszeni brzęczące dukaty.

— Ale ten drugi, ten Malaj, — kontynuował — jeszcze mniej mi się podoba. Wysila się wprawdzie na uprzejmy wyraz twarzy, ale wygląda jak rekin, starający się nie dać poznać po sobie, gdy chce pożreć człowieka. Ma zdecydowanie wygląd obwiesia, nie chciałbym się z nim spotkać sam na sam, przez co oczywiście nie chcę powiedzieć, że się go boję, ale za każdym razem, gdy go widzę, mam przeczucie, że za chwilę dostanę kawałkiem żelaza między zębra.

— Nie przejmujcie się Malajem. Mamy do czynienia z jego panem, a ten na razie zawsze okazywał się dżentelmenem. Jak dotąd jestem z niego bardzo zadowolony. I nawet nie mam nic przeciwko temu, że przez kilka dni musimy pozostać na tej wyspie. Powiadam wam, macie,

jeśli się ponad miesiąc nic innego nie miało pod nogami, jak tylko panki statku, to dobrze człowiekowi zrobi dla odmiany postawienie nogi na lądzie. *Heavens*, co to jest?

Wydał ten okrzyk przerażenia, gdyż zdarzyło się coś, co zadało kłam jego ostatnim słowom. Rozległ się mianowicie odgłos, zupełnie podobny do tego, jaki wydaje trzeszcząca piła, gdy przechodzi przez konar drzewa, a równocześnie mężczyźni mieli uczucie, jakby ziemia usuwała im się spod nóg. To trwało tylko sekundę, lecz wystarczyło, aby zniszczyć ten miły widok. Odważni marynarze leżeli na ziemi i tworzyli bezładny kłębek trzepoczących się rąk i nóg. Kapitan nie stanowił wyjątku. Wstrząs powalił go na plecy i z nogami wyciągniętymi ku górze przedstawiał obraz, jaki w innej sytuacji oddziaływałyby rozweselająco.

Kapitan sam musiał odnieść wrażenie, że przyjął postawę nie wzbudzającą głębokiego szacunku, gdyż jako pierwszy odzyskał równowagę i wstał. Ale jego twarz była biała jak kreda, a kolana bardzo drgały. Gdy potem reszta załogi pozbierała swe członki, zapanowała chwila ciszy wśród ludzi gapiących się nawzajem na swe blade twarze. Z pewnością byli to sami dzielni mężczyźni spoglądający już kiedyś śmierci w oczy, jednak w tym całym wydarzeniu było coś tak upiornego, że nawet najodważniejsi mogli dostać gęsiej skórki. A tymczasem wszystko się uspokoiło i wstrząs sejsmiczny nie powtórzył się. Strach ustąpił, mężczyźni odzyskali swoją żywotność i wydawali różne okrzyki zdumienia.

— Do stu tysięcy piorunów! — zaklął sternik — Co to było? Poczulem się jak ktoś, kto siedzi za zamknięciem luku, który się nagle przed nim otwiera, a ten koziołkuje na głowę. Jeżeli to nie było trzęsienie ziemi, to nie chcę być matem. Jak sądzicie, kapt'n?

— Zupełnie się z wami zgadzam, sterniku! To było okropnie diabelne uczucie, jakiego jeszcze nigdy nie doznałem. Teraz chwalę sobie nawet najgorszy wrak, na którym jestem bezpieczny, jak długo mam jeszcze jakąś deskę pod nogami, nawet najcieńszą.

— Czy myślicie, że nastąpi jeszcze jeden wstrząs?

— A kto to może wiedzieć? Sami poproście duchy ziemi o informację. A kto by przypuszczał, że... *Egad!* Teraz zaczynam pojmować! Macie, czy przypomnicie sobie, co nam powiedziano, gdy wpływaliśmy do Kapsztadu?

— Różne rzeczy nam mówiono. Nie bardzo wiem, co macie na myśli.

— Mówiono o trzęsieniu ziemi i wybuchach wulkanicznych jakie w tym roku szczególnie często występują na Jawie. Całe miejscowości zostały zupełnie zasypane i zniknęły z powierzchni ziemi.

— Ach, teraz przypuszczam, do czego zmierzacie. Chcecie powiedzieć, że ten wstrząs ma może coś wspólnego z tamtejszymi wybuchami?

— Nie tylko może, ale prawdopodobnie tak, nawet z pewnością tak. Znajdujemy się mniej więcej na tej samej szerokości, co Jawa.

— Ale ta odległość! Kapt'n, ta odległość!

— Ona nie ma tu żadnego znaczenia. Nie wiemy, jak daleko rozciąga się pod morzem szereg wulkanów, a jest ich na Jawie pokaźna liczba. Macie, może siedzimy teraz nad kraterem ziejącej ogniem góry, która za moment się otworzy i nas pochłonie?

— *Zounds!* Jeśli wy tak uważacie, to myślę, że nie powinniśmy tu przebywać ani chwili dłużej, niż to konieczne.

— Nie jest to wcale moim zamiarem. Niech diabeł pochłonie wszystkie ziejące ogniem góry! Wolę najokrutniejszy huragan, niż taki podstępny wstrząs sejsmiczny. Pokazuje przynajmniej swe prawdziwe oblicze, a człowiek wie, jak się wobec niego zachować. Pakujcie się, *boys!* Nie mamy tu czego szukać na tej diabelskiej wyspie i wracamy na nasz statek.

Dla nie uczestniczącego w tym widza wyglądałoby to z pewnością śmiesznie, jak ochoczo marynarze przyjęli wezwanie kapitana. Bo prawdziwy marynarz czuje się najlepiej na własnym statku. Jeśli nawet jakiś czas, mianowicie po długiej podróży, staje bardzo chętnie na lądzie, a potem jest jednym z tych najbardziej rozbrykanych, nie żałujących sobie przyjemności, bez których musiał obywać się na morzu, to wkrótce ma dosyć. Nie trwa to długo, jak da się zachęcić do nowej wyprawy i cieszy się na tę godzinę, kiedy będzie znowu na pokładzie jakiegoś statku, a ostra bryza powieje mu koło nosa. Wtedy znowu jest prawdziwym mężczyzną, spoglądającym z pogardą na szczury lądowe, a nieporadność, jaką wykazywał na lądzie, w mig traci.

Podczas gdy marynarze zwinnie przygotowywali długą łódź do odpłynięcia, wzrok kapitana padł przypadkowo na morze. Chwilę później zawołał do siebie sternika.

— Macie, spójrzcie na tę rzecz tam, na zachodzie! Co na to powiecie? Sternik zgodnie z poleceniem wpatrywał się w tym kierunku. Na błękitnym niebie była mała jasna chmurka wielkości orzecha włoskiego. Wsiadała zupełnie niegroźnie, ale sternik często już doświadczył, że taki malutki otwór jest w stanie, w bardzo krótkim czasie pokryć całe niebo ciemnością. Wciągnął powietrze i zastanowił się.

— *Well*, kapt'n, macie rację. Tam w tyle coś się szykuje co nam przysporzy kłopotu. Za godzinę będziemy mieli prawdziwy sztorm, tak sędzę.

— Sztorm? Ba, żeby tylko to! Ale obawiam się, że nam to tak lekko nie przejdzie. Znam te chmurki lepiej od was i idę o każdy zakład, że niebawem znajdziemy się w środku najpiękniejszego tajfunu.

— *Heavens!* Spodziewacie się tajfunu? Nie mylicie się?

— Chciałbym, się mylić! Ale nie po raz pierwszy pływam po tych wodach i stąd wiem, co mówię. *Boys* — ryczał do załogi na plaży — pospieszcie się. Nadchodzi tajfun. Za kwadrans musimy być na pokładzie naszego brygu.

Te słowa odniosły skutek i rzeczy zabrane ze sobą na krótką wyprawę na ląd, zostały w ciągu pięciu minut umieszczone w łodzi. Marynarze zajęli swe miejsca i z wiosłami w ręce czekali na przybycie swych przełożonych. Sternik zwlekał, zanim postawił stopę na brzegu, łodzi.

— A, master ze swym służącym? — spytał — Co będzie z nimi?

— Nie możemy się teraz martwić o tych dwóch. Czy chcecie jeszcze przeszukać za nimi całą wyspę? Nawet zakładając to, co najbardziej nieprawdopodobne, że ich znajdziecie, to upłynie tyle czasu, że nasz bryg zdąży rozbić się dwadzieścia razy na tych przeklętych rafach. Nie, musimy ich pozostawić własnemu losowi.

— Ale master nie będzie nam wdzięczny, jeśli zostawimy go na lodzie.

Kapitan wzruszył ramionami.

— Czy mogę zrobić coś innego? Wprawdzie nas wynajął, ale dowodzenie statkiem to moja sprawa, i ja, a nie on, ponoszę odpowiedzialność za mój statek i bezpieczeństwo mojej załogi. Tak, gdyby ta wyspa miała jakiś port! Tam moglibyśmy w spokoju przeczekać to, co nadchodzi. Ale tak, to jest tylko jeden ratunek dla naszego brygu i musimy go szukać na pełnym morzu.

— A jeśli oni już są w drodze powrotnej?'

— No, to ich spotkamy i możemy ich zabrać, jeśli sztorm na to zezwoli. Ich łódź, jak zaobserwowałem przez lornetę, popłynęła na południowe wybrzeże. To jest również nasz kurs, ponieważ musimy postarać się, żeby wyspa znalazła się między nami a orkanem. A więc, macie, nie gadajcie długo lecz wsiadajcie! Tajfun nie będzie was prosił o pozwolenie, kiedy się do was może zgłosić. Jak tylko będzie po sztormie, będzie i czas, aby się rozejrzeć za tymi dwoma.

Sternik posłuchał i wsiadł, za nim, na ostatku, kapitan. Łódź odbiła od lądu i leciała, wiosłowana silnymi pięściami marynarzy, przez spokojne wody śródlądowe, aż do łańcucha raf, o które kipiel rozbijała swe fale. Kilka silnych uderzeń wiosłami wydoszło ją z niebezpiecznego obszaru i po dziesięciu minutach przybiła wzdłuż boku brygu. Mężczyźni weszli na pokład i łódź wciągnięto.

Nie mieli zbyt dużo czasu. Chociaż ludzie bardzo się uwijali, to nadciągający sztorm był dużo szybszy. Z tej malej chmurki zrobiła się ściana chmur, która zajęła już jedną trzecią nieba. Pojawiły się też krótkie fale poprzedzające sztorm. Z gorączkowym pośpiechem windowano do

góry kotwicę, zwijano żagle i pozostawiono tylko to płótno, jakie było brygowi potrzebne, aby być posłusznym sterowi. Potem statek ruszył — uciekał byle dalej od niebezpiecznej wyspy.

* * *

Kilka godzin wcześniej, zanim to, co czytelnik przeczytał, rozegrało się na zachodnim brzegu wyspy, zbliżał się od wschodu jacht, otaklowany, jak na tego rodzaju statek w sposób niezwykle. Wyposażony był w takielunek szkunera, w celu zwiększenia prędkości.

Pod namiotem pokładowym siedziało dwóch mężczyzn, uważnie obserwujących przez lornetkę horyzont, a ponieważ mieli tylko jedną, stale wędrowała z rąk do rąk. Jeden wysoki, wyglądający naprawdę jak Herkules był w odzieniu, w jakim chodzą traperzy. Drugi, znacznie niższy, ubrany był po europejsku.

Marynarze, skrzętnie uwijający się po pokładzie, należeli bez wyjątku do synów „Państwa Środka”, posiadających warkocze, lecz w swym marynarskim ubraniu robili bardzo pozytywne wrażenie. Znali się na swym fachu, gdyż spełniali rozkazy kapitana ze zręcznością świadcząca o ich doskonałym przygotowaniu.

Właśnie teraz przeszedł obok nich kapitan. Wysoka, barczysta postać, w niczym nie ustępująca traperowi pod namiotem. Ten ubrany po europejsku odłożył lunetę, skierowaną na jeden punkt na zachodzie i zapytał:

— No, kapitanie, co sądzicie? Czy ten punkt tam z przodu, w kierunku którego żeglujemy, to nasza wyspa czy nie?

— Nie mam najmniejszej wątpliwości, panie Gollwitz, że tak. Obliczenia pańskiego brata dotyczące długości, zgadzają się co do joty. Odnośnie szerokości pomylił się oczywiście o kilka minut kąta, ale to nie ma znaczenia, gdyż w obrębie wielu mil jest tylko jeden punkt, tak że błąd jest wykluczony. Poczekajcie jeszcze godzinę, aż podpłyniemy na tyle blisko, aby zobaczyć ukształtowanie wybrzeża. Wasz brat opisał je tak dokładnie, że na pierwszy rzut oka będziemy wiedzieć, gdzie jesteśmy.

— A co powiecie o pogodzie? Czy wytrzyma? Byłoby to diabelnie niemiłe, gdyby nam się teraz, tak blisko celu, nie udało.

Kapitan Schubert podniósł nos do góry jakby stamtąd oczekiwał odpowiedzi na to pytanie.

— Mister, poruszył pan sprawę, która już od dłuższego czasu mnie martwi.

— Martwi? A cóż takiego? Płynie nam się zupełnie dobrze, chociaż przy tak silnym wietrze północnym możemy żeglować tylko wpół wiatru.

— Bardzo słusznie! Idziemy dobrze naprzód, ale wolałbym żeby ten ciągły, północny wiatr trochę osłabł. Od ośmiu dni północny wiatr, tylko północny, to mi się wydaje tutaj, gdzie wiatry się tak często zmieniają, już od dawna zastanawiające.

— To może byłoby lepiej, gdyśmy zawinęli do jakiegoś jawajskiego portu i pozostali tam parę dni.

— Żeby nam nasi Chińczycy, razem czy z osobna, zwiali? Człowieka nie powinno się prowokować, a tym bardziej takiego skośnookiego. Jestem z nich dotąd zadowolony, ale znam moich ludzi. Tak blisko swej ojczyzny nie przepuściliby żadnej okazji, żeby stąd uciec. A skąd wziąć szybko marynarzy? Nie, mister tak będzie dla nas najlepiej, nawet jeśli się miało dostać na pokład kilka spiętrzonych bałwanów. Sztorm na tej szerokości nie jest akurat w moim guście, ale sądzę, że nasz jacht wytrzyma tę próbę.

Po tych słowach kapitan oddalił się, a Fred przystawił ponownie lornetę do oka, aby skupić swoją uwagę na tym punkcie, który teraz pochłaniał wszystkie jego myśli i do którego zbliżano się wolno, ale sukcesywnie. Nagle chwycił swego towarzysza za ramię.

— Tak, Fred?

— A jeśli przypłyniemy za późno i skarbu już nie będzie?

— A kto by miał go zabrać?

— Natter!

— *Pshaw!* Nie wierzę w to. Sądząc po czasie, jaki upłynął od znalezienia dziennika i ucieczki Nattera to wykluczam taką możliwość. Musiałby mieć wręcz bajeczne szczęście. No, gdyby tak po swej ucieczce złapał najkorzystniejsze połączenie, potem przybywszy do Süderlandii osiągnął natychmiast swój cel i dowiedział się, jaka to ta tajemna liczba, mógłby tu już być. Powiedz sam, czy takie przypuszczenie jest prawdopodobne?

— Masz, rację Bill ja też powtarzałem to sobie, chyba z tuzin razy. Tylko, że to nic nie pomaga, nie mogę się pozbyć myśli o Natterze.

— To na skutek twego podenerwowania.

— Nie jestem podenerwowany Bili.

— Tego mi nie wmówisz — zaśmiał się Sanford — Chciałbym znać takiego człowieka, któryby w twojej sytuacji nie wychodził z siebie. Pomyśl tylko, masz odziedziczyć wielomilionowy spadek, tyle to chyba ma być wedle opisu twego brata. Więc krew musi ci płynąć w żyłach szybciej niż zwykle!

— Może masz i rację, że jestem podenerwowany. Ale nie potrafię inaczej, muszę myśleć o tym Natterze. Jak myślisz, co powinienem zrobić, jeśli on tam rzeczywiście już był i opróżnił kryjówkę?

— *Bounce!* Ty jeszcze pytasz? Będziemy go tropić i odbierzemy mu wszystko.

— A skąd byś się dowiedział, dokąd się udał?

— Zostaw to mnie. Załóżmy, że on tu już był, to z pewnością skorzystał ze statku, więc chodzi tylko o to, by ten statek odnaleźć. Nie jest to niemożliwe, gdyż nie żeglował w powietrzu, musiał zawinąć do jakiegoś portu. Jeśli będziemy mieć statek, to wkrótce i Nattera dostaniemy. Takim dwóm doświadczonym obieżyświatom jak my, nie może przecież umknąć.

— Nie możesz na mnie liczyć, Bill.

— Dlaczegoż to nie? — spytał zdziwiony Sanford.

— Zapomniałeś o tej historii z moim bratem Teodorem i o tym, czego dowiedzieliśmy się w San Francisco? Poszukiwania mojego brata tak długo pozostawały bez rezultatu, że nie mogę iść teraz nowym tropem, zapominając o starym. Nawet wówczas, kiedy chodzi się o wielomilionowy skarb! Mój brat ma pierwszeństwo, o ile jeszcze w ogóle żyje!

— *Egad!* Masz rację, musisz iść śladem brata. Ale ja tym bardziej uparczywie będę się trzymał tropu Nattera.

— Zrobiłbyś to dla mnie Bill, naprawdę? — spytał ucieszony Gollwitz.

— Nie pytaj tak głupio! Polubiłem cię wyjątkowo i nie zostawię teraz, kiedy jestem ci najbardziej potrzebny. Chyba wiesz! Ale nie mówmy już o tym, że moglibyśmy być zmuszeni się rozstać. Jeszcze daleka droga do tego. Powiedz mi lepiej dokąd się udamy; kiedy skończymy ten interes, tutaj?

— Oczywiście do Kota Radża!

— Do Kota Radża? Ach, chcesz pójść na grób swego brata Hugona?

— Nie tylko to, każę wykopać jego zwłoki. Zabiorę je do domu. Jego kości nie powinny już dłużej spoczywać na obcej ziemi, lecz w ojczyźnie, do której tęskni jego serce.

— *Well*, jesteś dobrym człowiekiem, Fred! A twoja rodzina może być z ciebie dumna. Niemal chciałbym być na miejscu twego zmarłego brata! Oddałbym wszystkie moje *nuggety*, żebym miał kogoś, kto byłby do mnie tak bardzo przywiązany, jak ty do swoich. Ale nade mną, starym *walkwerem*, nikt nie uрони żadnej łzy.

— Bill, teraz ty pleciesz głupstwa. A kto ci przeszkadza ustatkować się? Bill, jeśli chcesz mi zrobić radość, wielką radość, to jedź ze mną do mojej ojczyzny i zbuduj sobie wigwam, obok mojego! A miłości nie tylko mojej, ale i moich bliskich ci nie zabraknie.

Sanford nie odpowiedział i patrzył smutno przed siebie. Jest w życiu prawie każdego obieżyświata czuły punkt, z którym nie może sobie poradzić i który jest właściwie bodźcem do jego niespokojnego wędrowania. Także, życie Sanforda miało swoją historię.

Rozmowa ucichła, a obaj zwrócili swoją uwagę na wyspę, której zarysy stawały się z minuty na minutę coraz bardziej wyraźne. Jeszcze pięć minut i Fred odłożył lornetkę głęboko oddychając.

— Dzięki Bogu! To rzeczywiście wyspa mojego brata. Widzę wyraźnie głęboką, pionową zatokę, o której mowa w dzienniku. I widać już atol otaczający zatokę. Bill, jesteśmy u celu!

— *Well*, cieszę się. Właściwie mógłbyś mi dać znowu popatrzeć przez lornetę, myślę, że już dawno na mnie kolej.

Bez ceregieli wziął znowu przyjacielowi lornetkę z ręki i spojrział przez nią.

— *Well*, zgadza się! — przytaknął — Tak, dokładnie tak wyobrażałem sobie tę stronę wyspy. Fred, życzę ci szczęścia!

Gollwitz nie odpowiedział. Opanowało go wielkie podenerwowanie, które na próżno usiłował ukryć. W tym momencie podszedł do nich kapitan Schubert.

— No, panie baronie, — spytał uśmiechając się — obraliśmy właściwy kurs? Ale nie muszę wcale pytać, mogę odczytać z waszej miny, że jesteście zadowoleni. Chciałbym to samo powiedzieć o sobie.

— Dlaczego? Czyż nie jesteście zadowoleni? Co przeszkadza nam w wykonaniu planu, jaki sobie założyliśmy? Podpłyniemy jak najbliżej wyspy, zatrzymamy się, spuścimy łódź na wodę, zawrócimy dwa albo trzy razy, aby przywieźć skarb, ulokujemy go na pokładzie. Potem postawimy wszystkie żagle i powiemy wespie, żegnaj.

— Stop! — zaśmiał się kapitan. — Ale jesteście szybcy. A o sztormie, który może nam tymczasem pokrzyć wszystkie plany nie pomyśleliście nawet we śnie!

— O sztormie? Naprawdę uważacie, że jeszcze dzisiaj może być sztorm?

— Tak, tak właśnie uważam. Powąchajcie to powietrze! Czy nic nie czujecie?

Fred starał się poczuć coś innego niż zwykły zapach morza, ale odpowiedział tylko:

— Niczego nie poczułem.

— A wy, mister Sanford?

Bill rozdał skrzydełka nosowe i wessał powietrze jak jamnik, który zgubił ślad swego pana. Potem zaprzeczył głową.

— A czym ma pachnieć to powietrze? Może różami lub fiołkami? Nie pachnie niczym innym, jak tylko wodą, dużą ilością wody.

— No, wy nie jesteście marynarzem. Ale mówię wam, za kilka godzin będziemy mieć sztorm, o jakim można w książkach przeczytać. Pospieszmy się, abyśmy do tego czasu skończyli pracę na lądzie.

Po kwadransie jacht podpłynął tak blisko atolu, że huk kipieli wyraźnie było słycać na pokładzie. Kapitan nakazał zatrzymać się, gdyż dalej nie można było płynąć, aby nie narazić jachtu na najechanie na rafę, która mogła być ukryta pod powierzchnią wody. Dalsze zbliżanie się nie było konieczne, gdyż z tego miejsca, gdzie statek się właśnie znajdował, była widoczne gołym okiem ta część opadającego stromo do morza wybrzeża, o którą właśnie chodziło. Przez lornetę można było dojrzeć ponad poziomem wody dziurę w pionowo opadającej ścianie skalnej, widocznie ujście sztolni, którą trzeba było popłynąć, aby dotrzeć do kryjówki. Odległość do tego miejsca mogła wynosić w linii prostej nie więcej niż dwie mile morskie.

— *Heavens!* — zawołał zdziwiony kapitan, kiedy przeszukiwał lornetą półkole, jakie tworzyły wokół wybrzeża rafy — Nigdy jeszcze nie widziałem tak ukształtowanych skał podwodnych. Ten atol jest jakby wymierzony cyrklem. Do stu piorunów! I przez ten łańcuch da się przejechać? Panie Gollwitz, gdyby pana brat tak zdecydowanie o tym nie zapewniał, to żadna siła nie skłoniłaby mnie do próby przedarcia się przez ten powstały, chyba za sprawką diabła atol. A więc to ma być piętnasty wierzchołek, licząc od północy, mówicie. Ano zobaczymy!

Balduin Schubert skierował lornetę na to miejsce gdzie atol dochodził do wybrzeża i zaczął liczyć poszczególne wierzchołki, odcinające się ostro od siebie. Doszedłszy do piętnastego zatrzymał się i z największą uwagą przyglądał się temu miejscu. Potem opuścił lornetkę.

— Hm! Nie sądzę, żebym się przeliczył, ale to miejsce nie różni się niczym od innych, najwyżej tym, że kipiel jest jeszcze bardziej wzburzona, niż gdzie indziej. Popatrzcie przez lornetę, baronie Gollwitz i powiedzcie mi swoje zdanie?

Fred spełnił jego prośbę i po chwili zauważył:

— Macie rację, kapitanie, to rafa, za którą występuje najgwałtowniejsza kipiel.

— A jesteście przekonani, że się nie mylicie i że to dokładnie piętnasta rafa, a nie inna?

— Nie, kapitanie. Pomyłka jest wykluczona.

— No dobrze spróbujemy, nawet gdyby zachodziło niebezpieczeństwo natykania się słoneją wody. *Boys*, przygotujcie łódź!

Po tym rozkazie poszedł na prawą burtę, gdzie rozmawiał ze sternikiem Karaveyem. Potem wrócił do czekających przy relingu i spuszczone łódź. Opuszczono drabinę linową, kapitan zszedł do łodzi, a za nim Gollwitz i Sanford. Nie zabrali żadnego marynarza, gdyż nie mógł zostać wtajemniczony. Schubert usiadł za sterem, a pozostali wzięli wiosła do ręki. Chwilę później łódź odbiła od jachtu i skierowała się w stronę atolu, podczas gdy marynarze stali w górze przy relingu i ze zdziwieniem przyglądali się ich poczynaniom, których nie potrafili sobie jednak wytłumaczyć. Na krótkim odcinku do raf nie powiedziano ani słowa. Całą ich uwagę

pochłonęło sterowanie łodzią. Ale kiedy po dziesięciu minutach znaleźli się właśnie naprzeciwko krytycznego miejsca, kapitan zawołał:

— Teraz uważajcie panowie i trzymajcie mocno wiosła, żeby nie wyleciały z ręki. Za moment będziemy po drugiej stronie, albo nałykamy się wody.

Teraz nastąpiło kilka sekund niebywałego napięcia, oczekiwanie spowodowało, że ich policzki nabrały czerwonego koloru. Kilka silnych uderzeń wiosłami przywiodło ich do kipieli, jej szalejąca grzywa wyrzuciła ich w górę, gdzie ich przez chwilę przetrzymała, tak że zdawało się, iż łódź unosi się w powietrzu, a potem ruszyła w dół na spokojne wody śródlądowe. Przejazd szczęśliwie się udał.

— Do stu piorunów! — udało się słyszeć kapitana, robiącego sterem zwrot, tak że kil łodzi wziął kierunek na otwór sztolni. — To nawet nam się poszczęściło. Miejmy nadzieję, że dalej też się nam uda.

Pozostali nic nie odpowiedzieli, ale ich ze szczęścia i zadowolenia błyszczące oczy znaczyły więcej niż słowa. Dalsza podróż po prawie spokojnych, gładkich wodach śródlądowych przebiegała bez najmniejszych trudności, a po kilku minutach otoczyło ich mroczne światło. Wpłynęli do sztolni. Ta była na szczęście tak szeroka, że możliwe było użycie wiosł. Gdy wpadające od zewnątrz światło dzienne nie było już w stanie przeniknąć do znajdującej się przed nimi ciemności, kapitan kazał zatrzymać się i zapalić pochodnię, którą umocowano na dziobie łodzi. Potem płynęli dalej, pomału i ostrożnie.

Panująca tu na dole cisza i całkowita ciemność, czarna jak smoła, zrobiła na nich wrażenie, wszyscy powstrzymywali się od jakiegokolwiek opinii i słychać było tylko ciche pluskanie, spowodowane zanurzaniem się wiosł.

Tym bardziej niesamowicie poczuli się, gdy przepłynęli może trzysta metrów — po obu stronach usłyszeli w ścianach gwałtowne trzeszczenie. Przerażeni wciągnęli wiosła i nasłuchiwali. Wtedy — jeszcze raz to samo trzeszczenie, jak poprzednio, tylko o dużo większej sile i jeszcze bardziej niesamowite. Równocześnie niespokojne światło pochodni pozorowało chwieanie się skalnych ścian. A może nie było to złudzenie? Musiał to być jednak jakiś ruch, gdyż łódź kołysała się, jak podczas falowania, to w dół to w górę.

Całe wydarzenie miało w sobie coś podwójnie zatrważającego, z powodu ciszy i ciemności, panującej w tym miejscu. Trzech mężczyzn w łodzi nie odważyło się oddychać w oczekiwaniu, że znowu się to trzeszczenie powtórzy. Czekali jedną, dwie, pięć minut, ale nic się nie zdarzyło.

— Do stu piorunów! — szeptał cichutko Schubert, jakby głośna mowa była w stanie wywołać powtórny wstrząs. — Co to było? Tego się można było dosłownie przerazić!

— Dziennik, kapitanie! Dziennik mojego brata! — odpowiedział Gollwitz tym samym tonem. — Przecież czytaliście. Czy nie pamiętacie, że on pisze, iż wyspa uzyskała swój obecny kształt na skutek trzęsienia ziemi?

— Trzęsienie ziemi? Do stu piorunów! Tego jeszcze brakowało! Będę szczęśliwy, kiedy znowu poczuję pod stopami pokład naszego jachtu!

— Czy uważacie, że powinniśmy zawrócić i innym razem jeszcze raz spróbować? — odezwał się Gollwitz z obawą, że nic nie załatwiwszy, będzie się musiał wycofać.

— Co też wam przychodzi do głowy? Nie to miałem na myśli. Nie, jeśli naszym przeznaczeniem jest, abyśmy byli żywcem pogrzebani, to jutro mogłoby się to samo zdarzyć, co dzisiaj. A więc doprowadzimy sprawę do końca. Naprzód!

Łódź znowu ruszyła, rym razem nic jej nie zatrzymywało. Ale czekała na nich jeszcze inna, dużo większa niespodzianka. Pokonali już chyba więcej niż kilometr, i miejsce gdzie według dziennika kończył się kanał, nie mogło być daleko. Dlatego płynęli jeszcze wolniej i ostrożniej, a kapitan siedzący twarzą w kierunku jazdy, usiłował przeniknąć wzrokiem ciemność.

Nagle jakby się osunęła przed nimi czarna ściana i w tej samej chwili łódź trafiła na opór — podróż się skończyła. Odgłos przy tym małym zderzeniu był taki, jakby drzewo otarło się o drzewo. Gdy siedzący w przodzie Sanford odwrócił się, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Z ciemności wynurzyły się kontury jakiejś łodzi leżącej w bezruchu i widocznie w jakiś sposób przymocowanej do skalnej ściany. Jak, tego nie był w stanie dostrzec przy skąpym oświetleniu.

Przy tym nieoczekiwanym odkryciu wypnął się Billowi, mimo woli okrzyk zaskoczenia, ale już chwilę później opanował się:

— Cicho, na miłość Boską cicho! Nie ruszajcie się z miejsca! Nie jesteśmy tutaj sami.

Te słowa spowodowały straszne zdenerwowanie u dwóch pozostałych.

— Czyś ty oszalał. Bill? A któż oprócz nas mógłby tu jeszcze być? — zapytał Fred cichym, lecz ochrypłym z podenerwowania głosem.

— Tego nie wiem. Ale tutaj znajduje się jolka, prawdopodobnie pusta.

— Jolka? Nie do wiary! Ale czyją własnością mogłaby być?

— W każdym razie ludzi, którzy tu musieli dotrzeć przed nami.

— To mogłby być tylko Natter i jego kolesie, jeśli któregoś z nich w to wtajemniczył.

— Niebawem się okaże, kto to jest. Najważniejsze, żeby nas nie spostrzegli.

— Masz rację. Nadśluchujmy!

Przez krótką chwilę nie było nic słyhać oprócz zdenerwowanych oddechów podśluchujących. Potem odezwał się Fred:

— Albo nas nie zauważyli, albo jeśli tak, to gdzieś przyczaili się, aby na nas napaść zniecka. Co robimy?

Bill nie odpowiedział, lecz porwał pochodnię i przeskoczył do drugiej łodzi, oświetlając ją. Potem zawołał stłumionym głosem:

— Chodźcie tutaj! Szybko! Znalazłem coś! Ale przywiążcie naszą łódź do niej, żeby nam nie odpłynęła.

Podczas gdy kapitan wykonywał to polecenie, Fred przeszedł do towarzysza, który rzekł:

— Popatrz. Fred! Tu, i tu, i tam! Jak sądzisz, co może być w tych skórzanych pakunkach?

Faktycznie zarówno przednia, jak i tylna jolka wypełniona była dużą ilością paczek owiniętych skórą i obwiązanych starannie łykiem. Na ich widok Fred cały poczerwieniał, gdyż nie ulegało wątpliwości, że ma do czynienia z częścią skarbu, który niepowołane ręce starały się zagarnąć.

Ta myśl niemal wyprowadziła Freda z równowagi. Spadek jego brata i Rabbadah, przeogromny skarb w niebezpieczeństwie. Jakiś łotr próbował go zrabować!

Tego było już za wiele, aby mógł to przyjąć ze spokojem. Nie zważając na zachowanie ostrożności, zawołał:

— Bill, szybko, szybko! Te psy chcą opróżnić naszą kryjówkę. Musimy ich uprzedzić. Prędko, prędko!

Z tymi gorączkowo wypowiedzianymi słowami, wyrwał swemu przyjacielowi pochodnię i chciał biec po stopniach wykutych w skale, lecz Bill go powstrzymał za ramię i wciągnął z powrotem do łodzi.

— Stój, jesteś nieostrożny — szeptał zdenerwowanemu — Chcesz, wszystko zepsuć. Nawet nie wiesz z iloma przeciwnikami masz do czynienia. Chcesz tym łotrom na oślep wpaść w ramiona?

Słowa przyjaciela znowu pomogły mu się opanować, przejechał ręką po czole, jakby chciał przepędzić zły sen.

— Masz rację. Bili. Działalem pochopnie, jak głupiec! Gwałtem się tutaj nic nie załatwi, zrozumiałem to. Nie mamy przy sobie nawet broni, poza nożami.

— Tak — mruzczał ponuro Bili. — My, niezwykle mądry ludzie postąpiliśmy tak, o czym by doświadczony wędrowiec Zachodu nawet nie pomyślał: rozstaliśmy się z bronią. No to mamy za swoje!

— Ale co zrobimy? — nalegał Fred. — Nie możemy przecież trwać tu wiecznie.

— Oczywiście, że nie. Najlepiej będzie jeśli ktoś pójdzie na zwiady. A tym kimś będę ja, ponieważ pewnego Freda nie podejrzewam w obecnym stanie, o spokój i rozwagę.

Do tego postanowienia musiał się Fred dostosować, choć z pewnymi oporami. W celu zachowania ostrożności pochodnię zgaszono, aby ich nie zdradziła i Sanford wspinał się po omacku schodami w górę. Robił to ze zręcznością właściwą ludziom Zachodu, tak że nie było słychać nawet najmniejszego szmeru.

Dla czekających, a szczególnie dla Freda, była to niemała próba cierpliwości — bezczynne czekanie w ciemnościach. Całe pół wieku, tak się przynajmniej Fredowi wydawało, minęło w męczącym napięciu. A przecież upłynęło co najwyżej dziesięć minut, gdy dał się słyszeć z góry, z miejsca, gdzie schody dochodziły do korytarza, głos Billa.

— Fred!

— Nareszcie! Nareszcie! Jak się mają sprawy, Bill?

— Och, wyśmienicie!

— Gdzie są łotry?

— Koło grobu. Musimy szybko działać i zaskoczyć ich dopóki tam jeszcze są. Nie mają pojęcia, że tu jesteśmy.

— A kto to jest?

— Nie pytaj długo, lecz chodź! Ale cicho! Kapitan nie ma doświadczenia w czołganiu, więc niech zdejmie buty. Musimy działać bezszmerowo!

Schubert posłuchał Billa i ściągnął swe wysokie buty. Potem Fred chwycił go za rękę i ciągnął po schodach na górę gdzie oczekiwał ich Sanford. Ten podał Fredowi prawą rękę, a lewą trzymał się ściany. W ten sposób, tworząc łańcuch podążali niesłyszczanymi krokami do przodu. Już po krótkim czasie zauważyli przed sobą światło lampy, które stawało się coraz ostrzejsze. Wkrótce też dały się słyszeć głosy, a po dalszych stu krokach skończył się korytarz. — przed nimi znajdowała się komnata z grobem i zobaczyli coś, na widok czego i tak by się zatrzymali, nawet gdyby nie nakazywała tego ostrożność.

W szczelinie ziemi tkwiła pochodnia, której blask nie sięgał wprawdzie do tego miejsca, gdzie stali trzej nasłuchujący mężczyźni, lecz wystarczał do skąpego oświetlenia pomieszczenia. Przy lewej ścianie stała zbita z desek, mało widoczna trumna, gdyż cała pokryła zwiędłymi wieńcami. Na ścianie, od strony głowy odznaczał się duży krzyż wryty w skałę, którego zarysy zdawały się w niespokojnym świetle pochodni upiornie zmniejszać i powiększać. Po obu stronach tego katafalku leżała wielka ilość skórzanych paczek, podobnych do tych złożonych na dole, w łodzi przy ujściu kanału, a których widok wzbudził niezmiernie zdumienie Freda i jego towarzyszy. Ogrom ułożonych tutaj skarbów mógł być dwa razy większy od tego leżącego na dnie łodzi.

To było nieopisane uczucie, z jakim oczy Freda spoczęły na trumnie przedstawiającej największą świętość jego biednego, opuszczonego brata. I musiał się bardzo zmuszać, aby oderwać wzrok od tego miejsca, a wrócić tam, gdzie jego uwaga była najbardziej potrzebna — na dwóch mężczyzn, siedzących z twarzą zwróconą w stronę trumny, tak że ich rysy były dokładnie widoczne. Wyciągnęli noże i byli właśnie zajęci spożywaniem posiłku, składającego się z dużego kawałka solonego mięsa i butelki wina, jaka stała przed nimi na ziemi. Raczyli się w taki sposób, iż można było przypuszczać, że czuli się w tym miejscu zupełnie nie skrępowani. Rozmawiali tak swobodnie i spokojnie, jakby znajdowali się w restauracji wielkiego miasta.

Najchętniej Fred rzuciłby się natychmiast na nich obu, lecz opanował swe podniecenie i zapytał cicho stojącego za nim Schuberta:

— No kapitanie, znacie tych dwóch drabów?

— Czy ich znam? Takich obwiesiów nie zapomina się tak łatwo! To jest Natter i Malaj.

— A więc jednak! Oczywiście, że muszą to być oni, chociaż to prawie graniczy z cudem, że oni się teraz tutaj znajdują. Mają łotry niesamowite szczęście!

— Do stu piorunów! Ręce mnie swędzą, jak się na nich patrzę. Nie zabierzemy się do nich od razu?

— Nie, poczekamy jeszcze chwilę! Ci dwaj rozmawiają ze sobą. Może podsłuchamy coś dla nas interesującego. Wy tu na wszelki wypadek zatrzymacie się, bez względu na to co się stanie, i nie przepuście nikogo!

— *Hell*, zrobi się! Kto mi pozęgluje w ramiona, niech najpierw policzy swe żebra jeśli je potem będzie chciał pozbierać.

Tych kilka wypowiedzianych szeptem zdań zajęło im tylko kilka sekund. Teraz Fred i jego towarzysze zwrócili swą uwagę na złoczyńców.

— I myślisz, sahibie, — powiedział Malaj — że poprzednie trzęsienie ziemi się nie powtórzy? Na Wisznu i wielką boginię Lakszmi bałem się już, że ziemia się otworzy i pochłonie nas w swym wnętrzu.

— Ba! Jesteś jak dziecko, które łatwo zastraszyć. Jeśli wyspa tak długo była spokojna, to i w najbliższych dniach nie rozsypie się.

— Kiedy następnym razem tu przyplniemy?

— Przyplniemy? Ty jutro zostaniesz grzecznie na pokładzie. Bardziej tam cię potrzebuję, niż tutaj.

— Dlaczego?

— Zastanów się! Jestem przekonany, że kapitan naszego brygu, kiedy zobaczy te ciężkie paczki, przestanie wierzyć w bajki „o zbiorach”. Uważam go wprawdzie za uczciwego człowieka, ale okazja zrobiła już z niejednego najbardziej porządnego człowieka, największego łotra. Uważam, że będzie lepiej, jeśli go nie będziemy kusić. Dlatego musisz zostać na pokładzie i postarać się o to, aby nikt nie zobaczył zawartości tych paczek.

— A ty, sahibie? Czy poradzisz sobie bez mojej pomocy.

— Dlaczegoż by nie? Wiem już, gdzie wjechać, więc nie będzie to trudne. Będę musiał najwyżej raz czy dwa razy próbować, ale to wszystko. Przypomnij sobie, że również zmarły Gollwitz wjeżdżał tutaj kilkakrotnie!

— A jeśli przydarzy się nieszczęście?

— Mogłoby się tak zdarzyć, muszę się też liczyć z taką możliwością. A może uważasz, że byłoby lepiej wtajemniczyć kapitana i zabrać jednego lub kilku marynarzy?

— Tego nie możesz zrobić w żadnym wypadku.

— No więc! Zostajemy przy tym, że sam popłynę jutro i jeszcze kilka razy. Jak wszystko dobrze pójdzie, uwinę się z tym w ciągu dwóch dni i powiemy wyspie „żegnaj”!

— A potem?

— Potem. Potem poześlujemy do najbliższego portu, gdzie wypłacimy załozde i odeślemy ją, a następnie znikniemy z naszym łupem.

— Dokąd, sahibie?

— Tam, gdzie nam się najbardziej spodoba.

— A ja? Zatrzymasz mnie przy sobie?

— Jak możesz mnie jeszcze pytać? Powiem ci zgodnie z prawdą, że nie dałbym za twą uczciwość i inne cnoty, ani grosza. Ale mnie, nigdy nie oszukasz, to wiem na pewno. Dlatego będziesz mógł u mnie pozostać do czasu, kiedy sam nie zechcesz odejść. Potrzebuję wiernego i oddanego służącego, takiego który nie zawaha się, kiedy zażądam od niego czegoś, czego nie da się osiągnąć bez celnego pchnięcia nożem, a do tego ty jesteś odpowiednim człowiekiem. Jeżeli będziesz mi wiernie służyć, niczego ci nie zabraknie. Panie Boże! — zakrzyczał nagle — Co to teraz zacznie się za życie! Człowieku? Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy żyć? Nie wiesz i nie możesz tego wiedzieć. W takim sensie, jak ja to myślę, nie przeżyłeś jeszcze ani jednego dnia. Ale teraz poznasz, jakie rozkosze może dawać życie.

Zatrzymał się na chwilę i zawiesił swój wzrok na trumnie Rabbadah. Zaśmiał się krótko i niasamowicie szyderczo, a potem ciągnął dalej:

— Co by ta kobieta w środku, powiedziała, gdyby zobaczyła, komu przypadło jej dziedzictwo? Jej dziedzictwo, za które możemy kupić królestwo, jeśli zechcemy? Myślę, że przewróciłaby się w trumnie.

— Sahibie, nie drwij! — zaoponował wyraźnie Malaj. — Przynajmniej tutaj, w tym niesamowitym dla mnie miejscu, gdzie tylko dlatego jestem, że ty tego chciałeś. Nie idziemy? Skończyliśmy jeść i na razie nie mamy tu czego szukać.

— Ach, boisz się! — śmiał się Natter — Człowieku, jesteś durniem! Ta kobieta, tam w środku nic nam nie robi. Nie żyje i tak już pozostanie. I ten drugi też nie żyje i nie może nam przeszkodzić w przejęciu spadku. Do wszystkich diabłów, to byłoby urocze, gdybym tu stali, co powiedziałby, gdyby tu stał?

— Powiedziałby, że jesteś największym łotrem, jakiego ziemia nosi — rozległo się za nim, a ręka spoczęła mu na ramieniu.

Był to Fred, który już nie był dłużej w stanie opanować się i minąwszy Billa Sanforda stanął za Natterem. Ten przerażony odwrócił się i gapił się szeroko otwartymi oczyma na twarz Freda, którego wzrok ciskał błyskawice, niczym Bóg zemsty.

— Goll... Gollwitz! Hugo von Gollwitz! — bełkotał — Ależ to przecież, niemożliwe! Jego duch, to musi być jego duch!

Czytelnik zapewne przypomina sobie, że obaj bracia byli do siebie bardzo podobni. Już sternik Schubert w San Francisco wziął w pierwszym momencie Freda za Hugo. Oczywiście twarz jego była dużo młodsza od tej, którą zapamiętał Natter. Ale broda, jaką sobie Fred zapuścił na Zachodzie, dodawała mu sporo lat. Do tego doszło niedostateczne oświetlenie pochodnią, które nadawało całemu zajściu coś makabrycznego, tak że złudzenie Nattera, iż ma do czynienia z duchem zmarłego, nietrudno wytłumaczyć.

Jeszcze bardziej przerażony był jego towarzysz. Kiedy w miejscu, które dla niego posiadało w sobie tak wiele niesamowitości, nagle zobaczył twarz tego, o którym właśnie rozmawiali, wydał przeraźliwy okrzyk trwogi. Gapił się skonsternowany i z rozłożonymi rękami, domniemanemu duchowi w twarz. Chwilę później przewyciężył zauroczenie. Podskoczył w górę i prawdziwym tygrysim skokiem przeskoczył przez Nattera, który mu zawadzał i popędził przed siebie do końca korytarza, prowadzącego do kanału i do łodzi, ale wpadł wprost w ramiona Billa, którego z powodu panującej tu ciemności nie był w stanie zauważyć. Bill nie darował sobie tej przyjemności i tak silnie złapał Malaja za kark, że natychmiast stracił przytomność i runął na ziemię, więc przekazał go Schubertowi pod opiekę.

Podczas gdy to się rozgrywało za plecami Freda, między nim a Natterem nic się nie zmieniło. Ten ostatni, całkowicie osłupiały z przerażenia, wołał:

— To musi być jego duch.

Na to Fred odpowiedział:

— To musi być jego duch, Natter, ponieważ właśnie powiedziałeś, że on nie żyje i nie przeszkodzi ci przejąć spadku po nim.

— Do wszystkich diabłów, on zna również moje nazwisko, zna je naprawdę! Ale skąd? Skąd?

— Jak możesz jeszcze pytać? Duchy zwykły wiedzieć więcej, niż ludzie krążący jeszcze po ziemi.

Te drwiącym tonem wypowiedziane słowa otrzeźwiły Nattera. Jego pobladłe policzki zarumieniły się, a twarz ożyła. Wycierał sobie czoło ręką, aby usunąć krople potu i głęboko oddychał. Spoglądał badawczo na postać stojącą przed nim, która go pogardliwie obserwowała.

— Chyba zwariowałem, że się tak szybko dałem zapędzić w kozi róg. Ten, którego mam na myśli, nie żyje, a duchów nie ma.

— W tym sensie, jak to sobie myślałeś, duchów oczywiście nie ma. Masz rację.

Natter już od dłuższej chwili nie siedział na ziemi, nieoczekiwane wydarzenie, postawiło go na nogi. Teraz przekora pojawiła się na jego twarzy i fuknął:

— A kim ty jesteś, że śmiałeś mnie tak przestraszyć? I skąd się tutaj wzięłeś?

— *Pshaw!* Nie masz prawa mnie o to pytać. To raczej ja mógłbym cię pociągnąć do odpowiedzialności. Ale przewyciężę się i porozmawiam z tobą. Kim jestem, chcesz wiedzieć? Jestem młodszym bratem tego, kogo nazwisko przedtem wymieniałeś i przychodzę, aby przejąć jego spadek.

— Ba, tego mi nie wmówisz!

— A jak inaczej mógłbym się tutaj znaleźć, gdybym nie był tym, za kogo się podaję? A czy sam nie uwierzyłeś, że widzisz we mnie Hugo von Gollwitza? Twoja rola tym razem się kończy, Natter!

Natter, słysząc to słowo, wzdrygnął się, ale zaraz opanował.

— Już po raz drugi wymieniasz moje nazwisko. Skąd je znasz?

— O, znam jeszcze inne twoje nazwiska: Mericourt lub Johnson.

— Możliwe! — sztychł Natter — Zdaje się, że nie wiesz, iż nazwisko Johnson nosi setki ludzi.

— Wiem o tym. Ale z tych wielu setek mam na myśli tego właściwego.

— Tak? A którego? Powiedzcie wreszcie!

— No, cierpliwości, chłoptasiu! Zaraz zaspokoję twoją żądzę wiedzy. Mam mianowicie na myśli tego Johnsona, który nie tak dawno uciekł z Andamanów.

To podziałało. Nagły rumieniec oblał jego twarz. Przetykał i przetykał, i wreszcie wypowiedział z trudem:

— Nie rozumiem was. Co chcieliście przez to powiedzieć.

— Chcę przez to powiedzieć, że jesteś tym Johnsonem, którego mile przywitano na norlandzkim okręcie wojennym „Tygrys”, a tak mu się tam nie spodobało, że zniknął wraz ze swym kompanem Malajem, zabrawszy ze sobą sakiewkę z perłami, którą kapitan wziął na przechowanie.

Te słowa przekonały Nattera, że Fred wiedział wszystko, choć nie był sobie w stanie wyobrazić, skąd. Jednakże nie był człowiekiem, który by się szybko dał złapać, gdyż zdążył już ochłonąć po przeżytych szoku. Rozglądał się szybko wokół siebie. Malaj zniknął — uciekł, pomyślał. Billa i kapitana nie było widać, oni jak dotychczas, wyłączając złapanie Malaja, przyjęli postawę wyczekującą i nie wyszli z korytarza. Natter musiał więc uwierzyć, że ma do czynienia tylko z jedną osobą i miał nadzieję, że sobie z nią poradzi.

— Panie, nie wiem, kto wam daje prawo tak ze mną rozmawiać. Przekonam was, że nie jestem tym, za kogo mnie uważacie. Pozwólcie, tylko moje papiery...

— Stój łapy precz od kieszeni!

Natter zobaczył, że przeciwnik nie ma w ręce żadnej broni. Nabrał pewności, zaśmiał się szyderczo i wkładając rękę do kieszeni odrzekł:

— Nie, nie od kieszeni, lecz do kieszeni! Chcę przecież wiedzieć... Nie dokończył, potężny cios wykonany pięścią przez Gollwita powalił go na ziemię.

— Słusznie! Dobrze draniowi! — odezwał się z tyłu Bill, który równocześnie wszedł w zasięg światła pochodni — I tak mu okazałeś za dużo szacunku, tak długo z nim rozmawiając. Z takim robactwem nie rozmawia się inaczej, jak tylko pięścią i nożem.

Także kapitan wyszedł z ciemności ciągnąc za sobą nieprzytomnego Malaja.

— Co zrobimy z tymi facetami? — spytał. — Zabrać ich nie możemy, gdyż nie mamy do tego prawa, a puścić ich nie wolno tym bardziej, gdyż przysporzyliby nam tylko kłopotów.

— Też tak uważam — potwierdził Fred. — Najprościej będzie związać ich na razie, żeby nam nie mogli przeszkadzać. Za pęta użyjemy sznurów z łyka, z kilku paczek.

— Racja! — odezwał się Sanford — Najpierw należy ich przeszukać, czy nie mają broni.

I tak się stało, w kieszeniach pojmanych znaleźli pistolety i noże. Poza tym nie mieli przy sobie nic ciekawego. Potem otwarli cztery paczki owinięte w skórę, aby w ten sposób zdobyć sznurki. Gdy poluźnili sznury jednej paczki, jej ściany rozchyliły się. Zdawało się, jakby błyskawica przeszła to słabo oświetlone pomieszczenie. Chociaż mężczyźni przygotowani

byli na to, że zobaczą coś zdumiewającego, to to co ujrzeli, stokrotnie przeszło ich oczekiwania. A ich zdziwienie rosło, także podczas otwierania kolejnych paczek.

Były tam obrazy bogów, przyozdobione drogimi, szlachetnymi kamieniami, zwłaszcza obrazy indyjskiej Trójcy Brahmy, stwórcy Wisznu, żywiciela i Sziwy, niszczyciela były tam podobizny zwierząt czczonych w Indiach jak bogowie, węże z kutego złota z dwoma szlifowanymi szmaragdami zamiast oczu, krowy, oczywiście stokrotnie pomniejszone, z których każda miała bezcenną archaiczną wartość. Szczególnie często wśród obrazów zwierząt pojawiała się małpa hanuman, której również oddawano boską cześć. Dalej przedmioty używane podczas nabożeństw, lampy — kielichy, berła — wszystko z błyszczącego złota. Między tym cała masa woreczków ze złotymi orzechami betelu i innych z diamentami, szmaragdami i rubinami.

Było to coś tak wspaniałego, że mogło pomieszać zmysły nawet najtrzeźwiejszego człowieka, a przecież była to dopiero mała część tego, co Gollwitz mógł od dziś nazywać swoją własnością. Widok tych bogactw zrobił na Fredzie rzeczywiście oszałamiające wrażenie. Starał się zachować spokój, co mu się jednak nie udawało. Zawładnęło nim coś w rodzaju gorączki, z której wytrącił go głos kapitana.

— Do stu piorunów! Rozum mi przestał pracować! Nie, nie przestał, straciłem go, całkowicie go straciłem! Gollwitz, przyjacielu, czy wiecie, że mógłbym was zabić, aby być na waszym miejscu i wejść w posiadanie tych bogactw? Ale cóż ja plotę za bzdury! Bóg wie, że nie zazdrozczę ci tego wszystkiego. Ale muszę się odwrócić, nie chcę już patrzeć na ten cały kram, bo inaczej zwariuję, zwariuję!

Kapitan odwrócił się zamasyście. Pozbierał sznury z łyka pozostające na ziemi i pochylił się nad nieprzytomnymi więźniami, aby ich związać. Podobnie jak kapitan odczuwał też Sanford. Również i on z wielkim trudem mógł się oprzeć otumaniającemu działaniu, jakie promieniowało na niego od tych kosztowności i poczuł, że takie bogactwa są w stanie wyrzucić siłę i wzbudzić pożądanie, które nie odstraszyłoby nawet przed najstraszniejszym przestępstwem. Po związaniu więźniów zapalili nową pochodnię w miejsce tej wypalanej. Tymczasem Natter doszedł do siebie. Otworzył oczy i chciał się podnieść, co uniemożliwiały mu sznury. Potem rzucił wkoło badawcze spojrzenie. Dopiero teraz spostrzegł, że Gollwitz nie był sam, rozpoznał też kapitana i nagle zrozumiał, skąd Gollwitz znał jego nazwisko i wydarzenia na „Tygrysie”.

Spostrzegł, że jego towarzysz wcale nie uciekł, lecz leżał związany obok niego na ziemi. Zobaczył też pootwierane paczki, co go doprowadziło do wściekłości. Naprężył członki

próbując się uwolnić, na próżno, jego wysiłki odniosły tylko taki skutek, że sznury wcinały mu się w ciało.

— Nie trudź się, chłoptasiu! — zaśmiał się kapitan, stojący obok niego. — Pęta są dobre, sam ci je założyłem i mogę cię zapewnić, że jeszcze nigdy w życiu nie zrobiłem piękniejszego węzła. To już taki widać twój los, że za każdym razem, kiedy twój okręt cię wyrzuca, musi być przy tym jakiś Schubert. Poddaj się i znoś swój los z godnością!

Te szydercze słowa spotęgowały złość pojmanego. Stłumionym głosem wołał:

— Tylko nie cieszcie się za wcześnie! Nie jestem taki bezsilny jak sądzicie. I wcale jeszcze nie wiadomo, że to akurat wy dostaniecie ten skarb.

— Ba! Nie bądź żaloszny! Wyobrażam sobie, że nie przyfrunęliście tutaj i że wasz statek jest gdzieś zacumowany, prawdopodobnie na zachodnim wybrzeżu tej wyspy. Ale tym nas nie przestraszysz.

— Oni przy płyną i uwolnią nas. A wtedy biada wam wszystkim.

— Nie przy płyną i nie uwolnią was, nawet nie wiedzą, gdzie się znajdujecie.

— Ale będą nas szukać.

— A niech was szukają! Widać nie wiesz, że podsłuchaliśmy waszą rozmowę. Wiemy dokładnie, co nakłamaliście waszemu kapitanowi, i że on nie ma pojęcia, gdzie się podziwacie.

— Diabła tam wiecie! — wrzeszczał rozwścieczony Natter — Zostawcie mnie w spokoju i uwolnijcie nas! Nic wam nie zrobiliśmy!

— Tak, a czy to nie jest nic, jeśli chcecie ukraść spadek wart setki milionów, a może i więcej, prawowitemu właścicielowi? Ale nie denerwuj się, chłoptasiu! Wcale cię nie chcemy zatrzymać, nawet za darmo cię nie chcemy. Jak tylko zbierzemy stąd rzeczy, będące prawowitą własnością tego człowieka, wrócisz bez uszczerbku na zdrowiu do swojej ojczyzny, do Anglików, na Andamany!

Natter już nie odpowiedział. Chociaż go wściekłość prawie zżerała, był jednak na tyle mądry, aby pojąć, że w obecnej sytuacji był bezsilny. Ale w skrytości ducha nie zrezygnował jeszcze ze skarbu. Dla niego było ważne zyskać na czasie.

Kapitan odwrócił się od Nattera w stronę dwóch pozostałych, którzy ciągle jeszcze nie mogli oderwać oczu od migocących i iskrzących się kosztowności, jeden przedmiot po drugim przesuwali przez swoje palce.

— No, panowie! — odezwał się trochę szyderczo. — Myślę, że nie będziecie chcieli zostać tutaj na noc. Już czas, aby pomyśleć o powrocie do domu. Na pokładzie naszego jachtu będziecie mieli więcej czasu, aby podziwiać te rzeczy.

Obaj zrozumieli, że kapitan ma rację, a Gollwitz spytał:

— Jak wyobrażacie, sobie, kapitanie, wywiezienie tych paczek?

Ten rzucił badawcze spojrzenie na ogrom ułożonych ciężarów.

— Myślę, że to, co tutaj leży, możnaby ulokować w dwóch łodziach. Jedną trzecią tej pracy załatwił za nas Natter. Uważam, że będzie najlepiej, jeśli wszystko, co tu jest, zostawimy do jutra, a zajmiemy się tym, co leży na dole w kanale, na pokład... do stu piorunów! Masz ci los!

Kapitan przerwał, gdyż rozległ się głuchy huk, podobny do odgłosu, jaki powstaje przy wyciąganiu korka z szyjki butelki.

— Co to jest? — zapytał przerażony Fred. — Czy to nie brzmi tak, jakby pochodziło z wnętrza ziemi?

— Nonsens! — sprzeciwił się kapitan — To działko na naszym jachcie.

— Działko? Jak to?

— Umówiłem się z Karaveyem, żeby oddał dwa strzały z działka, jeśli uzna nasz powrót na pokład, za konieczny. Teraz słyszeliście? To był drugi strzał.

Rozległ się podobny huk do poprzedniego.

— Przyjaciele, nie możemy tu pozostać ani chwili dłużej. Tam na zewnątrz dzieją się jakieś diabelskie sprawy, inaczej Karavey nie wzywałby nas. Za mną, musimy natychmiast wyruszać! Do widzenia, do jutra łotry. Życzę wam zdrowego snu! Gdybyście wbrew oczekiwaniom odczuwali nudę za światem zewnętrznym, to radzę wam, zwalczcie ten grzeszny sen! Nie możecie uciec, nawet gdyby się wam udało uwolnić z pęt, gdyż zabieramy waszą łódź, razem z jej cennym ładunkiem.

Po tych słowach odwrócił się i oddalił, ścigany głośnymi złorzeczeniami Nattera i Malaja, który tymczasem odzyskał przytomność. Sanford i Gollwitz podążali za Schubertem. Szli przyspieszonym krokiem tą samą drogą, którą przyszli.

Podczas marszu kapitan informował ich, jak jego zdaniem należy dalej działać. Chciał wziąć na hol łódź Nattera, gdzie znajdowała się część skarbów. Na zewnątrz przed kanałem, mieli wszyscy trzej wsiąść do tej łodzi, ponieważ nie było już czasu na przekładanie ładunku, i na niej wypłynąć na pełne morze.

Nie upłynęło nawet pięć minut od obu strzałów ostrzegawczych, a już stali na stopniach prowadzących do kanału. Ponieważ droga do jolki Nattera została zagrodzona przez ich łódź, nie było innej możliwości, jak wziąć jolkę na hol. Kapitan i Sanford, ci silniejsi, weszli do własnej łodzi, by wiosłować, podczas gdy zadaniem Freda było utrzymanie załadowanej jolki w bezpiecznej odległości od ścian skalnych.

Podróż powrotna przez sztolnię przebiegała z powodu doczepionej i ciężko załadowanej jolki niezbyt szybko, ale jednak dużo szybciej, niż w tamtą stronę. Po dziesięciu minutach wypłynęli ze sztolni do utworzonego przez atol jeziora śródlądowego.

— Do stu piorunów! Czy nie mówiłem od razu, że to diabelska sprawka? Będzie sztorm!

— Sztorm? — spytał Fred. — Nie widzę nawet najmniejszej tego oznaki. Mamy przecież najpiękniejszą pogodę, więc nic się nie zmieniało.

— Naprawdę nic się nie zmieniło? Tak może mówić tylko szczer łądowy. Czy nie widzicie tam w dali wysokich fal? One mogą powstać tylko za sprawą ostrego zachodniego wiatru, którego nie postrzegacie, ponieważ ochraniają nas strome ściany. Ale spójrzcie tam, na nasz jacht! Czy nie zauważacie, że duże żagle są przymocowane do reji? Nadchodzi sztorm, mówię będziemy go mieli wkrótce, najdalej za pół godziny. Czuję go już w nosie.

Po tych słowach kapitan przeskoczył do Freda, a Sanford poszedł za jego przykładem. Przecięli linę łączącą obie łodzie i w tej chwili pusta łódź jachtowa została pozostawiona swemu losowi. Kapitan i Sanford, dwaj olbrzymi, przyłożyli się do wiosł tak, że się niemal ugiwały pod naciskiem ich pięści i sterowana przez Freda jolka ruszyła w kierunku raf.

Prowadzenie przez rafy łodzi, która wskutek dużego obciążenia, była bardzo głęboko zanurzona, było wielkim ryzykiem. Gdyby się wywróciła, to za moment leżałyby na dnie morza niezliczone miliony. Dlatego też nieswojo się czuli ci trzej mężczyźni, kiedy zbliżali się do miejsca, przez które przepłynęli zaledwie przed godziną. Ryzykowne przedsięwzięcie powiodło się lepiej, niż można się było spodziewać, może dzięki wysokiej fali, jaka nadeszła, na znak zbliżającego się sztormu. Gdy uporano się z kipiela, rozpoczęła się najtrudniejsza praca, walka ze wzburzonymi falami. Szczęśliwym trafem dzięki ciężkiemu ładunkowi, który posłużył za balast, zwiększyła się znacznie wyporność jolki, co miało duże znaczenie. Gdy oddalili się od wyspy na tyle, że widok na zachód był wolny, okazało się oczywiście, że obawy kapitana nie były bezpodstawne. Całe zachodnie niebo pokryte było czarną ścianą, której krańce przesuwały się dalej, z minuty na minutę i z niebezpieczną prędkością rozciągały się na północ i południe. Obaj wiosłarze dawali z siebie wszystko i pot spływał im wielkimi kroplami po twarzy. Szybko zbliżali się do jachtu, wspierani przez wiatr wiejący z tyłu. Na pokładzie stała załoga, niezdolna w żaden sposób do ułatwienia im zadania. Nawet gdyby nie groziło żadne niebezpieczeństwo najechania na ukryte rafy, niemożliwością byłaby jednak walka z ostrym zachodnim wiatrem i zbliżenie się do łodzi.

Wreszcie, po niemalże nieludzkim wysiłku, jolka przybiła do trapu. Kapitan wspiął się jako pierwszy na pokład i ogarnął statek badawczym spojrzeniem. Z zadowoleniem dostrzegł, że

załoga nie leniuchowała. Na rozkaz Karaveya ściągnięto gallantmaszty i reje, a wszystko ruchome przymocowano na tyle, na ile się dało lub przez luk wciągnięto do środka.

— Dobrze chłopaki! — pochwalił — Ale teraz do góry z tą łodzią i uważajcie, żeby nic z ładunku nie zginęło. Ani jedna paczka nie śmie wpaść do wody. Zrozumieliście?

Jego rozkaz wykonano z godną podziwu prędkością. Wkrótce łódź wisiała w żurawikach, a pięciu marynarzom kazano utworzyć łańcuch, aby z pomocą Sanforda i Gollwitza umieścić ładunek w kajucie. Reszta załogi miała mnóstwo pracy przy wykonywaniu koniecznego zabezpieczenia przed sztormem. Zwinięto wszystkie płótna i tylko w górze na fok — maszcie pozostał żagiel szturmowy, aby o ile się da pomóc sterowi. Także do szprych steru przymocowano liny na wypadek, gdyby nie wystarczyło im sił w kierowaniu zawładniętym przez fale sterem. W końcu zamknięto szczelnie każdy luk lub otwór prowadzący do wewnątrz, przez co odcięto dopływ wody.

Jeszcze podczas tych zabiegów kapitan kazał zawrócić i jacht oddalił się od miejsca postoju. Był najwyższy czas, całe niebo pokryte było czarną powłoką, a fale miały teraz bardzo ciemny, groźny kolor.

— Statek, ahój! — rozległo się nagle wołanie ze sterburty.

— Gdzie?

— Południowy zachód.

— Jakim kursem żeglujecie?

— Północny wschód.

— Rzeczywiście — powiedział kapitan do obydwu przyjaciół, stojących obok niego. — To będzie ten statek, który wysadził na ląd tego wspaniałego Nattera i Malaja. Jakież inny żagiel mógłby krążyć akurat na tej szerokości? Domyślam się, co zamierza zrobić. Będzie chciał wziąć wyspę między siebie a orkan. Ale nie możemy się martwić, ponieważ sami ze sobą mamy dość pracy. Dla ostrożności odbijemy kilka kresek na południe, żeby ewentualnie po ciemku nie doszło do zderzenia.

Schubert wydał odpowiedni rozkaz i wtedy zaczął się sztorm. Szalał po pokładzie i trzeba się było dobrze trzymać, żeby człowieka nie porwał. Przed nim uciekał jacht pod swym małym płótnem — raz wysoko w górze, raz głęboko w dole, w otchłani fal. Zrobiło się tak ciemno, że ledwo co było widać na odległość pięciu kroków i był już czas na pójście do kajuty. Nie mogli się przecież na nic przydać na pokładzie. Najwyżej naraziliby się na niebezpieczeństwo splukania z pokładu.

Kolejne godziny ciągnęły się im niczym długie tygodnie i miesiące, o rozmowie nie było mowy, każde słowo ginęło w szaleństwie żywiołów, rozbijających się o ciemne ściany. Statek

trzeszczał we wszystkich fugach. Pioruny uderzały i huczały nieustannie, a błyskawice jakby chciały wykonać wokół statku taniec świętego Wita.

Po trzech czy czterech godzinach morze nie było już tak rozhukane! Kapitan zszedł na dół, był przemoczony do suchej nitki, ale bardzo zadowolony. Na ich pytanie, jak się mają sprawy, odrzekł:

— Całkiem wybornie! Dostało nam się kilka gwałtownych fał i to wszystko. Wygląda na to, że orkan nas tylko musnął, inaczej byłoby dużo gorzej. Oczywiście musiałem być ostrożny, aby nas nie zepchnął za daleko na południe, w kierunku Wysp Koralowych. Teraz wiatr zmienił się znowu i wieje z południowego zachodu. Niebezpieczeństwo minęło i radzę wam, panowie, połóżcie się i spróbujcie zasnąć, mimo tego huku!

Po tych słowach odszedł. Obydwaj przyjaciele poszli za jego radą i rzucili się na koje. Zmęczenie i podenerwowanie ostatniego dnia daty o sobie znać, więc wkrótce mimo huku i szumu zapadli w głęboką drzemkę.

Kiedy się obudzili, mieli wrażenie, że wypoczywali niespełna godzinę. Ale wstał już dzień, gdy przyszedli na pokład. Zobaczyli nad sobą poranne niebo bez chmur, a wokół prawie spokojne morze. Na pokładzie usunięto wszelkie ślady ulewy i panował wzorowy porządek. Kapitan podszedł do nich i życzył im dobrego dnia.

— Pokonaliśmy szczęśliwie sztorm — wyjaśnił — i płyniemy teraz na naszą wyspę. Sądzę, że za godzinę zobaczymy ją. Idźcie tymczasem pod namiot i każcie sobie podać śniadanie. Dam wam znać, kiedy nadejdzie czas!

Niebawem obaj przyjaciele siedzieli gawędząc przy filiżance gorącej kawy. Przedmiotem rozmowy był oczywiście skarb i to, co wczoraj wieczorem przeżyli we wnętrzu wyspy. Godzina, o której mówił kapitan, minęła błyskawicznie, ale ten się nie pojawił. Nie posłał też nikogo, kto by im powiedział, że widać już wyspę. Więc w końcu wstali i poszli przez pokład szukać kapitana.

Ten stał z lornetką przy relingu i dziwnie się zachowywał. Spoglądał przez lornetkę, odstawiał ją, kiwał z powątpiewaniem głową, popatrzył ponownie, znowu ją odstawił i przetarł sobie oczy, jakby jego ostrość widzenia osłabła, popatrzył przez lornetkę po raz trzeci i trzeci raz ją odstawił i przetarł soczewkę brzegiem kurtki, jakby ta pokryła się parą. Ale i to nie doprowadziło do celu, gdyż tupał kilkakrotnie nogą, a kiwanie głową, przecieranie oczu i czyszczenie soczewki zaczęło się na nowo. W końcu stracił cierpliwość, odwrócił się i poszedł poszukać sternika. Wtedy zauważył Gollwita i Sanforda, którzy przystanęli w pobliżu i przypatrywali się jego zachowaniu.

— Do stu piorunów! — zaklął — Coś takiego jeszcze mi się nigdy w życiu nie przytrafiło!

— Co, kapitanie? — spytał Fred.

— Już od godziny stoję w tym miejscu i oczy mi już wychodzą z orbit w poszukiwaniu naszej wyspy. A nie widać nawet najmniejszego pyłku.

— Może podczas sztormu odbiło nas za bardzo na południe?

— Początkowo też tak myślałem, ale dokładnie sprawdziłem prędkość kursu i nie znalazłem żadnego błędu.

— A może kompas jest uszkodzony i pokazuje nie tak, jak trzeba.

— Właśnie chciałem się o tym przekonać. Chodźmy do sternika! Gdy wspólnie ze sternikiem sprawdzili igłę okazało się, że kompas był w porządku. Sprawa stawała się coraz bardziej zagadkowa, więc nie pozostawało nic innego, jak za pomocą sekstansa określić szerokość i wysokość. Kapitan kazał przynieść instrumenty z kajuty i przeprowadzono pomiar. Wynosił 92 stopnie 14' długości i 9 stopni 41' szerokości. Kiedy odczytali te liczby, popatrzyli na siebie wielce zdziwieni.

— Do stu piorunów! Rozum mi wysiadł. Wysokość dokładnie się zgadza i także szerokość jest prawie dokładna. 9 stopni 37' szerokości podał wasz brat w dzienniku, już wczoraj zauważyłem, że się nieznacznie pomylił. Tak naprawdę wyspa leży na 39! A my znajdujemy się obecnie na 41, a więc tylko dwie minuty za daleko na południe. A jednak nie widać śladu wyspy, choć powinna być, akurat przed nami, tuż obok nas. Co wy na to?

Obydwaj przyjaciele nic nie powiedzieli, lecz bezradnie spojrzeli na siebie. Każdy obawiał się wypowiedzieć głośno niesamowitą myśl, jaka błyskawicznie zaświtała w ich głowach.

— Przeprowadźmy pomiary jeszcze raz! — poprosił w końcu Fred ochryłym głosem. — Może jednak pomyliliśmy się!

Ale i drugi pomiar nie wykazał innego wyniku. Teraz ta myśl nie wydawała się już niemożliwa. Cisnęła się pewnie, wykluczając jakąkolwiek wątpliwość.

Pierwszy nie mógł się powstrzymać Bill.

— Trzęsienie ziemi! — wypalił. — Trzęsienie ziemi zmiotło wyspę.

— Do stu piorunów! — grzmiał kapitan. — Oczywiście, że to było trzęsienie ziemi! Dawno już to podejrzewałem.

— Trzęsienie ziemi! — wyszeptał Fred, który zbladł jak trup. — O Hugo, Hugo! Twoje przecucie cię nie zawiodło!

— Że też musieliśmy się spóźnić o jeden dzień! — biadał Sanford.

— Tak, o jeden dzień! — złościł się kapitan. — Jakby diabeł maczał w tym palce! Gdyby to można było przewidzieć, nic nie powstrzymałoby nas w wynajęciu najszybszego żaglowca.

— Nie złościć się kapitanie i nie róbcie sobie niepotrzebnych wyrzutów! — powiedział poważnie Fred, który już doszedł do siebie. — Uczyniliśmy wszystko, co można było. Czy zawinęliśmy chociażby do jednego portu, przez co straciliśmy czas? Nie, żeglowaliśmy bez zwłoki dzień i noc, nie mogliśmy przybyć wcześniej, ani o jeden dzień. Wszystko musiało być właśnie tak.

— Ale skarb! Wiele, wiele milionów! — skarżył się Bill, nie mogąc się tak łatwo uspokoić, jak Fred.

— Ba, skarb! — sprzeciwił się Fred lekceważąco. — Nie był dla nas przeznaczony. Uwierz mi, Bill. Mam to, co miałem dostać, mianowicie jedną trzecią i rodzina Gollwitzów tak się dzięki temu wzbogaciła, że nie musi jej zależeć na kilku milionach więcej.

— Na kilku milionach? Co ci przychodzi do głowy! Powiedz raczej, na wielu, wielu milionach!

— Daj spokój, Bill! W tej chwili zależy mi mniej na skarbie, bardziej na Rabbadah.

— Na Rabbadah? Jak to?

— Chciałem zabrać jej zwłoki do Süderlandii i pochować obok mojego brata w grobowcu rodziny Gollwitzów. Teraz już nic z moich zamierzeń, a Rabbadah spoczywa na dnie morza.

Fred wypowiedział te słowa z takim żalem w głosie, że Bill był tym bardzo poruszony. Z czułością, jaka nie była w jego stylu, odpowiedział:

— Fred, nie martw się tym! Przeczytałem dziennik twego brata i wiem, że Rabbadah umarła z tęsknoty za ojczyzną. Kto wie, czy by sobie życzyła, aby jej ciało spoczęło tak daleko od miejsca jej urodzenia. Ona była dzieckiem słonecznych Indii, niech jej grób pozostanie na wodach jej ojczyzny!

Dalsze przebywanie w pobliżu zatopionej wyspy nie miało sensu i jacht wziął kurs na północ, ich najbliższym celem była Kota Radża.

O Natterze i jego towarzyszu już nie rozmawiali. Ci ponieśli karę. Ich koniec był w każdym razie szybki i bezbolesny.

Wynajęty przez Nattera bryg przepadł bez wieści. Prawdopodobnie wylądował podczas sztormu na brzegu wyspy i razem z nią padł ofiarą trzęsienia ziemi.

NA ZAMKU HELBIGSDORF

Był wczesny ranek. Chociaż jeszcze nie wybiła piąta, w Fürstenberg panował ożywiony ruch. Ostatni bibosze z bladą twarzą zataczali się do domów, podczas gdy kobiety wiejskie, sprzedające mleko i jarzyny, zajęte były obsługiwaniem swych stałych klientów. Tu i ówdzie otwierały się drzwi, z których wychodziła wesola służąca, tu i tam można było zobaczyć rzemieślnika rozpoczynającego drogę do swego miejsca pracy.

W zajeździe Barbary Seidenmüller, ongiś wdowy i handlarki ziemniakami, też było widać duże ożywienie. Dało się słyszeć drewniane chodaki stukające głośno po sieni, a potem rozległ się gromki bas:

— Parparo! Odpowiedzi nie było.

— Kochana Parparo! Cisza.

— Moja kochana Parparo?! Teraz także nikt się nie odezwał.

— Do pioruna! Parparo, moja gołapeczko! Wygląda na to, że nie ma Parpary. No, do stu piorunów, Parparo, ty stary śpiochu, pojawisz się w końcu, czy nie, moja dopra żonko?

A kiedy i to wołanie było daremne, dzielnego karczmarza i mistrza kowalskiego zalała żółć.

— Do stu piorunów, alpo i więcej, co to za porządki w tym domu! Co za dyscyplina! Poczekaj, zaraz zagram ci marsza, ty okropny śpiochu!

Zdjął drewniaki z nóg i zaczął wybijać nimi o schody marsz wojskowy. Dopiero teraz otworzyły się drzwi kuchenne i ktoś stał w nich, w ładnym czepku na głowie i grubymi rękami, groźnie wspartymi na biodrach? Grubiutka pani Barbara, którą ukochany małżonek miał wyciągnąć z łóżka.

— Co to ma znaczyć, Tomaszu, he?

Usłyszawszy głos, przestraszony karczmarz odwrócił się i z wielkiego zdumienia upuścił oba chodaki i zawołał:

— Ależ moja najlepsza Parparo, myślałem, że jeszcze leżysz na górze w łóżku! Właśnie chciałem cię ściągnąć na dół, wystukując marsz!

— A gdzież to ci się tak spieszy?

— Wiesz przecież, że jutro przyjeżdża Gerd, chciałem powiedzieć pan podoficer marynarki, i dlatego wstałem dzisiaj trochę wcześniej. Chciałem naprawić zasuwę przy pramce do ogrodu.

— Ale dlaczego tak skoro świt?

— No, Parparo, nie rozumiesz, że może pan podporucznik pędzić chciał przejść przez ogród, zamiast głównym wejściem? No to zasuwa musi pyć koniecznie w porządku. Co py sobie pan podporucznik mógł o mnie pomyśleć.

Dobra Barbara nie mogła już dłużej wytrzymać i wybuchnęła głośnym śmiechem:

— A więc, ponieważ jutro ma Gerd przyjechać, ten człowiek wstaje w środku nocy, żeby przybić gwoździe do bramki ogrodu. A przy tym chce mnie obudzić, a ja już przecież od godziny jestem na nogach!

— Ale dlaczego? Co ropiłaś?

— Nakarmiłam świnię.

Teraz z kolei karczmarz otworzył usta.

— No, Parparo, lepiej przestań! Wstaje ta madam Parpara Schupert punktualnie za kwadrans czwarta, apy w środku nocy nakarmić świnię?

— No, tak sobie pomyślałam, że powinna być jeszcze trochę grubsza, jeśli ją chcemy zarznąć na przyjazd Gerda!

— Parparo, w zasadzie masz rację, Na przyjazd Gerda, albo raczej naszego pana podporucznika, musimy zropić wszystko, żepy mu pokazać, że on jest dla nas...

Przerwał. Jego wzrok był skierowany na podwórze. Otwarł usta, robiąc minę wyrażającą najwyższe zdumienie.

— Parparo, to on!

— Gerdzie! — zawołała.

— Gerdzie! — zawołał też mąż.

— Panie podporuczniku! — poprawiła się natychmiast.

— Panie podporuczniku! — poprawił się też Schubert.

Na podwórzu stał on, promieniejąc młodością, a ładny mundur podkreślał kształty jego silnego ciała.

— Stryju! Ciociu!

Z tym okrzykiem przypadł w podskokach i pochwycił tych oboje w ramiona.

— Witamy, panie...

— Bzdury, droga ciociu, zostaw te tytuły! Jestem Gerd, rozumiesz?

— Dobrze, jak chcesz. A więc witaj, drogi Gerdzie! Myślałam, że przyjedziesz dopiero jutro.

— Tak napisałem, gdyż chciałem wam zrobić niespodziankę. Czy mi się udało?

— Bardzo!

— Pardzo! — potwierdził kowal. — Ależ, chłopcze, jak ty wyładniałeś i wyszlachetniałeś w tym czasie, kiedy cię nie widzieliśmy!

— Tak, — przyznała Barbara — można by cię schrupać!

— To schrup, droga ciociu!

Objął ją znowu i wcisnął mocny pocałunek na jej policzkach.

— Ale, — spytała — dlaczego przyjechałeś tak wcześniej?

— Przyjechałem nocnym pociągiem.

— Szedłeś przez ogród?

— Prosto przez parkan! — zaśmiał się.

— No i nie miałem racji, Parparo? — zawołał kowal z poważną miną.

— Tak. — odpowiedziała śmiejąc się — Przyznaję ci rację. Ale jak długo każemy naszemu gościowi stać w sieni?

Barbara otworzyła drzwi do izby i wpuściła Gerda do środka, potem pobiegła do kuchni, aby spełniać pierwsze obowiązki gościnności.

— A gdzie są czeladnicy? — wypytywał Gerd.

— Jeszcze śpią, ponieważ wczoraj pracowali do późna.

— Masz ich jeszcze wszystkich?

— Wszystkich.

— Gadatliwego Kazimierza, od którego przez cały dzień nic nie usłyszysz, jak tylko coś w tym jest!

— Tak.

— I tego Frycka ze świetnymi żartami, który chyba teraz trochę spowaźniał?

— Też.

— I tego Henryka, co tak pięknie umie kłamać?

— Tak, kłamię jak z nut, to prawda. Wywołujemy wilka z lasu, to pewnie zaraz przyjdzie.

Właśnie otworzyły się drzwi i trzech wymienieni ukazali się w progu.

— Co, pan porucznik? — zawołał Henryk — Czy to możliwe? Dzień dobry i witam! Co za niespodzianka! Myśleliśmy, że pan przyjedzie dopiero jutro.

Podał Gerdowi rękę.

— Coś w tym jest! — powiedział Kazimierz i podał mu również rękę. Także Fryc przywitał się, a potem spytał z przedsiębiorczą miną:

— Panie poruczniku, czy to prawda, że ma pan do czynienia również z armatami?

— Oczywiście!

— Świetnie! Czy artyleria nie jest najlepszą bronią?

— Być może.

— Nie tylko być może, ale z całą pewnością tak. Jednak jest różnica między artylerią morską, a polową.

— Jaka?

— To całkiem proste: artyleria morska jest na statku, a polowa na łądzie, łatwo to zrozumieć.

Fred śmiał się:

— Popatrz, jaki jesteś mądry!

— To prawda, ale to dopiero wstęp. Nasuwa się bowiem wniosek, że artyleria polowa musi umieć lepiej strzelać niż morska.

— Nie całkiem się z tym zgadzam.

— Nie? Okręt kołysze się, kto w takiej sytuacji potrafi celnie strzelać? Na łądzie, to co innego. Tu z odległości pięciu tysięcy kroków zestrzelił się człowiekowi fajkę z gęby.

— Oho!

— Oho? Pewnego razu podczas manewrów wyskakuje zając. Wtedy przybiegł do mnie szybko kapitan i pyta: — Henryku, czy odważysz się go trafić? — Zawsze, panie kapitanie. — Dostaniesz dwadzieścia groszy, ale skóra musi być cała. — Rozkaz, panie kapitanie! Celuję, pociągam za cyngiel, kula urywa mu dwie przednie nogi, tak że nie może biec dalej, kapitan każe go przynieść i zabić, a ja dostaję moje dwadzieścia groszy. Czy coś takiego jest możliwe na morzu, panie kapitanie?

— Nie sądzę — zaśmiał się Gerd.

— Nie? — wtrącił się Fryc, dawny terminator. — Dlaczego nie? Mogę udowodnić, że jest odwrotnie. Płynęliśmy z Ameryki przez Ocean Wielki aż do Australii. Nagle wyskoczyła przed nas stara zajęczyca, a ponieważ okręt płynął bardzo powoli, wziąłem armatę pod lewą pachę, kulę do prawej ręki i skoczyłem za bydlęciem. Gdy naładowałem w biegu, pociągnąłem i odstrzeliłem zwierzęciu dwa prawe biegi. To była naprawdę zajęczyca, a kiedy ją dobijałem, powiedziała: Fryc, przekaz pozdrowienia Henrykowi, jestem wdową po zającu, którego on wtedy zastrzelił!

Kazimierz pokiwał głową z namysłem.

— Coś w tym jest! — potwierdził.

Wszyscy roześmiali się, a Henryk zerwał się ze złością.

— Głupek!

Z tym czułym słowem i druzgocącym spojrzeniem rzuconym na Fryca opuścił pole swej klęski.

Zaraz pojawiła się pani Barbara, przynosząc poranną kawę, przy której wszyscy wymieniali nowinki. Kiedy zaspokoili już pierwszą ciekawość, Gerd zrobił tajemniczą minę.

— Stryjku, muszę ci powiedzieć, że właściwie nie mam zamiaru tu zostać.

— Tak, to dlaczego wopec tego tu przyjechałeś?

— Aby was zabrać. Pojedziecie ze mną do mego przybranego ojca, do Helbigsdor.

— My? A więc nie tylko ja, ale i moja Parpara? Ale po co, drogi pratanku?

— No cóż, tego sam nie wiem. Muszę wam mianowicie powiedzieć, że mój urlop jest bardzo niezwykły. Mój przybrany ojciec spowodował go, tak mi pisał, ale nie podał mi powodu. A równocześnie zażądał ode mnie, abym do was przyjechał i zabrał was, ponieważ obawia się, że na jego pisemne zaproszenie moglibyście znaleźć jakąś wymówkę. A więc pakujcie się? Po południu wjeżdżamy.

— Hola! Nie tak szypko, przecież najpierw muszę omówić sprawę z moją żoną.

— Tu nie ma czego omawiać. Major chce was widzieć, a wy macie być po prostu posłuszni. Zrozumiano?

— Rozkaz, panie poruczniku! Do stu piorunów! Widzę, że nauczyłeś się świetnie rozkazywać. Jak uważasz, moja kochana Parparo?

— A jak ty uważasz, drogi mężu?

— Czy możemy oprazić pana majora nie przyjmując jego zaproszenia?

— Nie, tego nie możemy uczynić, drogi Tomaszu! Więc pojedziemy.

— Tak, pojedziemy, pasta! Słyszałeś, drogi pratanku, co postanowiła rada rodziny. To musi być coś ważnego, skoro nas pan major wzywa do siebie. Parparo, zawiążuj topolek! Po południu wyruszamy!

* * *

To działo się w Helbigsdorfie. Od dnia aresztowania zbiegłych więźniów upłynęło dziesięć lat.

Major siedział w swoim pokoju i pracował. Włosy posiwiały, a sylwetka pochylila się trochę do przodu. Ale tak jak dawniej, tak i teraz otoczony był gęstymi kłębami tytoniu wydobywającego się z jego fajki.

Wtem rozległy się na korytarzu szybkie kroki i drzwi się otwarły. Ukazała się w nich kobieta w niebieskiej sukni. Na ramieniu niosła małego kotka. Jej długa, szczupła sylwetka pochylila się również do przodu, a i włosy też posiwiały.

— Dzień dobry, Emilu!

Odwzajemnił pozdrowienie i poprosił ruchem ręki, by usiadła.

— Ależ, drogi bracie! Twoja fajka, ta para i ten dym... fuj!

— Hm, to dla mnie najpiękniejsza mieszanka powietrza.

— Uduszę się w tym!

— Gdyby ci to szkodziło, to już dawno byłabyś u swych ojców, moja droga Frejo. Kto odwiedza mnie w moim pokoju, musi umieć się raczyć tą miłą mgiełką.

Znowu usłyszał kroki, po raz drugi otworzyły się drzwi i znowu weszła jakaś kobieta. Była mała i chuda, ubrana na zielono i niosła morską świnkę.

— Dzień dobry, bracie!

— Dzień dobry, droga Wanko! — odpowiedział.

— O rany? Moja mała Lili, my się tutaj chyba udusimy! Ten dym, ten niemiły zapach?

— Mnie jest mity! — mruzczał major.

— Ale moja słodka Liii nie może go znieść! Proszę, drogi Emilu, otwórz okna!

— Jedno jest już otwarte. Nie jest wskazane otwieranie kolejnych okien, gdyż wiem, że mając tak delikatne zdrowie łatwo się przeziębiasz.

Podczas tej rozmowy pojawiła się Zilla, trzecia siostra ze swą wiewiórką. Jej okrągłe kształty okrywała suknia w kolorze purpury.

— Dzień dobry! — wysapała.

— Dzień dobry, siostrze! Usiądź!

Usiadła i to tak ciężko, że krzesło aż zatrzeszczało.

— Och, ta straszna duszność!

— Temu winien jest tłuszcz! — powiedział z uśmiechem, major.

— Tłuszcz? O, Emilu znowu zaczynasz!

— Mylisz się, muszę ci powiedzieć, że znajduję się we wspaniałym nastroju.

— Ale tłuszcz, tłuszcz! Czemu wymawiasz takie brzydkie słowo? Tłuszczem nazywa się świnię i podobne potwory, ale tak mówić o mnie! Proszę cię! Poza tym moje obfite kształty nie są wcale tak przerażające i stwierdzam, że od pewnego czasu znacznie zmałyły. Jednak powietrze w twoim pokoju, jest nie do zniesienia!

— A ja uważam wręcz przeciwnie.

— Tak. Tobie i twojemu wspaniałemu zdrowiu nic nie zaszkodzi. Ale my trzy delikatne stworzenia, my się udusimy! Popatrz tylko na moją Mimi!

— Na twoją wiewiórkę? Och, ona czuje się całkiem dobrze!

— Całkiem dobrze? Emilu, ty' naprawdę jesteś barbarzyńcą! Czy nie widzisz, jak szybko moja Mimi oddycha?

— Moja Liii również! — zawołała Wanka.

— I moja Bibi! — dodała Freja.

— Dzieci nie doprowadzajcie mnie do szału! Jeżeli mój tytoń nie służy waszym zwierzętom, to nie przynóście ich ze sobą! Tylko z powodu tych stworzeń nie zrezygnuję z mojej fajki! No, a teraz proszę was o podanie powodu waszej porannej wizyty.

— Naszego powodu? Och, jest bardzo uzasadniony — zabrała głos Freja. — Przychodzimy się poskarżyć!

— Poskarżyć? — zdziwił się major. — Na kogo?

— Na Kunza! — bardzo zdecydowanie odpowiedziała Freja.

— Na tego jednookiego obłudnika! — zawołała zdenerwowana Wanka.

— Na tego zdrajcę i buntownika! — sapała Zilla.

Major śmiał się.

— Mój stary Kunz obłudnikiem, zdrajcą i buntownikiem? To chyba za dużo powiedziane! Poza tym nie wydaje mi się na miejscu, przypominanie przy tej sposobności o jego kalectwie. Stracił oko w służbie dla ojczyzny, walcząc przy moim boku. Co takiego popełnił, że się tu zbieracie, aby go wspólnie oskarżyć?

— On się nas wyparł! — stwierdziła Zilla.

— Zdradził! — złościła się Wanka.

— Znieważył! — uzupełniła Freja.

— W jakich okolicznościach?

— W rozmowie z panem von Uhle.

— Ach, z tym nowym sąsiadem?

— Tak, on jest taki grzeczny, zwłaszcza dla mnie.

— I taki delikatny, zwłaszcza dla mnie.

— I taki uprzejmy i pełen szacunku, zwłaszcza dla mnie.

— Wygląda na to, że pan von Uhle jest prawdziwym Feniksem.

— Jest nim. Spytałam go, czy się ożeni.

— Ja też go spytałam.

— Ja również.

Major wypuścił gęstą chmurkę dymu i odezwał się szczerze rozbawiony:

— Wyobrażam sobie, że nowy sąsiad bardzo szybko znalazł odpowiedź na to pytanie. Cóż powiedział?

— Że się ożeni! — odezwała się Freja promieniejąc. Pozostałe panie potwierdziły to, a Wanka wyjaśniła:

— Sprawia wrażenie, że preferuje delikatne, przyjemne formy. Freja wykonała nieprzychylny gest i sprzeciwiła się zdecydowanie:

— Pan von Uhle jest człowiekiem z charakterem. Postawna sylwetka jest mu chyba milsza. Zilla zaprzeczyła głową.

— Obydwie wypowiedzi są błędne. Jeszcze przedwczoraj powiedział mi, że kobieta tylko wtedy jest fascynująca, kiedy jej kształty — tworzą sympatyczną pełność. I tu ma rację! Ale nie to jest przedmiotem naszej rozmowy z tobą.

— No to mówcie! — nakazał major — Co wam uczynił Kunz?

— Właśnie nas obraził. Wszystkie trzy słyszałyśmy.

— Gdzie?

— W ogrodzie. W rozmowie z panem von Uhle. On złoży ci wizytę. Ponieważ jest jeszcze wczesna godzina, więc spaceruje po parku.

— Nie jest sam. — uzupełniła Wanka. — Jest z nim jeszcze jakiś pan, którego nie znamy, chociaż jego twarz ma znajome rysy.

— Cywil czy wojskowy?

— Cywil, ale ma wojskową postawę. Na pewno jest oficerem.

— Rozmawialiście z nimi?

— Nie, ale... ale my... ale my ich...

— Podśluchiwałyście? — spytał major.

— Ale tylko trochę i nie było to wcale zamierzone, siedzieli na ławce, a my stałyśmy z tyłu w krzakach.

— O czym rozmawiali?

— O różnych niestosownych rzeczach. Wtedy nadszedł Kunz, który właśnie podlewał kwiatki. Panowie go zatrzymali i ten obcy pytał go o ciebie i o nas.

— I wtedy Kunz was oczernił? Co powiedział?

— Nazwał nas tak, że nie możemy tego powtórzyć.

— Przykro mi. To nie powinnyście mi wcale zawracać głowy!

— Ale musimy ci to powiedzieć, żebyś go mógł ukarać!

— Jeśli mam go ukarać, to muszę koniecznie usłyszeć to słowo, które on wypowiedział.

— No dobrze! Przybysz spytał go mianowicie, czy siostry pana majora są młode, a wtedy Kunz nazwał nas starymi pannami.

— To okropne! — gniewał się Emil żartobliwym tonem.

— Okropne! — odezwała się Niebieska.

— Tak, okropne! — dąsała się Zielona.

— Przerażające! Musisz go ukarać! — dodała Purpurowa.

— Do diabła! — śmiał się brat. — Przecież powiedział prawdę i dlatego nie mogę go ukarać. Poza tym dziwię się bardzo, iż chcecie, abym się zajął tą sprawą, gdyż jeśli miałbym go za to ukarać, to muszę mu również powiedzieć, że podsłuchiwałyście jego i tych obu panów, a tym sposobem skompromitowałybyście się okropnie.

Akurat zapukano do drzwi i wszedł ten, o którym była mowa, ordynans Kunz. Nie było po nim poznać minionych lat, jego głos posiadał tę samą siłę, co dawniej, kiedy zameldował:

— Pan von Uhle i jakiś obcy.

— O Jezu! — zawołała Freja — Już przyszli! Jak najszybciej musimy stąd iść! Chodźcie, siostry!

Zniknęły. Major spojrzał badawczo na ordynansa.

— Wymówiłeś słowo „obcy” z osobliwym akcentem. Czy miało to jakieś szczególne znaczenie?

— Tak jest! Zrozumiano? Pan von Uhle nie podał mi nazwiska tego drugiego. Ale znam go bardzo dobrze. To „szalony hrabia”. Zrozumiano?

— Do diabła, to rzeczywiście zdumiewające! A czegoż on chce ode mnie? Powiedz, że oczekuję ich!

Kunz opuścił pokój i natychmiast weszli zapowiedziani goście. Jeden z nich był starszym mężczyzną, w którym już na pierwszy rzut oka można było rozpoznać właściciela ziemskiego. Drugi liczył ponad czterdzieści lat i wyglądał elegancko, ale i na zmęczonego. Ostre rysy twarzy zdradzały, iż żył szybciej, niż pozwalało na to jego zdrowie.

Major przywitał ich ukłonem. Ten odwzajemnił ukłon i spytał:

— Pan mnie zna, panie majorze?

— Mam zaszczyt, panie hrabio!

— Wobec tego nie trzeba mnie przedstawiać. Pozwoli pan, że usiądziemy! Pan von Uhle jest ze mną zaprzyjaźniony. Moja droga wiodła przez jego dobra, więc wstąpiłem do niego. Usłyszałem, że pan przebywa w Helbigsdorf, toteż postanowiłem pana odwiedzić, panie majorze.

— Doceniam ten zaszczyt, panie hrabio.

— Tym chętniej pospieszy pan, aby mi przedstawić członków rodziny. Byłbym bardzo rad, móc ich powitać.

— Pozwoli pan, panie hrabio, że wydam nieodzowne polecenia! Zadzwoił i pojawił się Kunz.

— Proszę wszystkie panie o przyjście do salonu.

— Dobrze! Czy pan major jeszcze coś rozkaże?

— Zamelduj moim siostróm, że mamy gości.

Odszedł. W korytarzu spotkał młodą kobietę, mającą zamiar wejść do majora. To była Magda, jego córka. Dawna towarzyska zabaw Gerda wyrosła na przepiękną pannę.

— Czy papa jest sam? — spytała ordynansa.

— Nie.

— Kto jest u niego?

— Pan von Uhle i jakiś obcy. Zrozumiano?

— Obcy? Znasz go?

— Bardzo dobrze. To „szalony hrabia”. Zrozumiano?

— Ach! — zdziwiła się. — Czego on tutaj chce w Helbigsdorf?

— Hm! Byłem w ogrodzie i zobaczyłem, jak nadchodzą. Natychmiast rozpoznałem hrabiego i stanąłem za krzakiem aby mnie nie widzieli. Wtedy usłyszałem, co ich sprowadza. Niby przypadkowo przeszedłem obok nich i akurat hrabia pytał, czy pani jest rzeczywiście taką czarującą młodą damą.

— Bardzo czarującą! — odpowiedział sąsiad.

— Czy jest z kimś związana? — wypytywał dalej hrabia.

— Nie sędzę — odpowiedział ten drugi.

— Jak to? Oni odważyli się rozmawiać na mój temat? Mów dalej!

— Słyszałem dokładnie, co ten hrabia jeszcze powiedział.

— Co?

— Powiedział: — Tym lepiej. Ta mała jest pewnie jeszcze niewinna. Pan mi obiecał, że się rozerwę, panie von Uhle i jestem przekonany, że osiągnę swój cel. Zamierzam pozostać tutaj kilka dni i świetnie się zabawić! — Tak wyraził się „szalony hrabia”.

— Dziękuję ci, Kunz! Czy oni będą naszymi gośćmi?

— Tak. Muszę to zameldować pani ciotkom i poprosić wszystkie panie do salonu.

— Przyjdę.

Odwróciła się, a Kunz poszedł do kuchni, gdzie znajdowały się trzy siostry majora.

— Czego on chce? — spytała Freja, kiedy wszedł.

— Przynoszę rozkaz od pana majora.

— Nam? Rozkaz? On chyba nie jest przy zdrowych zmysłach!

— Pan Helbig jest majorem, a co major powie, zawsze jest rozkazem. Zrozumiano? Więc on rozkazuje paniom natychmiast przybyć do salonu!

— Dlaczego?

— Chce przedstawić panie nieznanemu?

— Kim jest ten obcy człowiek?

— Wysokim oficerem, który krąży po kraju i szuka żony — odpowiedział ze złośliwym uśmiechem.

— Skąd to wiesz?

— Sam mi to powiedział. Spytał o panienki, o ich wiek.

— Och! I co mu odpowiedziałeś?

— Powiedziałem: Freja ma sto lat, Wanka dwieście, a Zilla trzysta. Zrozumiano?

— Bezwstydny.

Podniosła rękę, ale on już wyszedł, trzaskając za sobą drzwiami.

— Czy słyszał ktoś coś podobnego? — złościła się Niebieska. — To bezczelność! Ale chodźcie, pójdziemy do salonu!

Właśnie miały zamiar opuścić kuchnię, gdy drzwi jeszcze raz się otworzyły. Kunz wsunął głowę.

— Byłbym zapomniał! Obaj panowie zostają tu na obiad.

— O rany, co za praca! Kunzu, drogi Kunzu! Kim jest ten oficer? Jak się nazywa?

— To zakłęty książę!

— Rób wariata, z kogo chcesz, ale nie z nas, ty mądralo!

— Jak najserdeczniej dziękuję! Potem znowu będę do dyspozycji, zrozumiano?

Poszedł, a trzy kobiety udały się szeleszcząc do salonu, gdzie już siedziała przy oknie Magda.

— Dzień dobry, serduszko!

— Dzień dobry, dziecinko!

— Dzień dobry, mój skarbie!

Po tym, trzykrotnym pozdrowieniu wzięty Magdę do środka i ucałowały. Widać było, że wszystkie te trzy dziwne kobiety bardzo Magdę lubiły.

— Czekasz tutaj na tego obcego oficera? — spytała Freja.

— Czekam? Nie, droga ciociu. Papa sobie życzy, żebym była w salonie, więc przyszedłam.

— Czy wiesz, czego on chce?

— Nie.

— Ożenić się!

— Ach! A z kim, droga ciociu?

— To jeszcze nic pewnego. Może z ciocią Zillą.

— Albo z ciocią Wanką! — odpowiedziała Zilla.

— Albo z ciocią Freją! — zawołała Wanka.

— Albo z wami wszystkimi na raz! — zaśmiała się Magda. — Kto wam to powiedział, że on chce się żenić?

— Kunz.

— Tak? A czy powiedział wam, kim jest ten obcy?

— Nie.

— To posłuchajcie, to „szalony hrabia”, hrabia von Hohenegg!

— Szalony...

Zilla była tak zaskoczona, iż miała zamiar zapisać to słowo, ale utknęło jej w gardle, gdyż drzwi otworzyły się i wszedł major w towarzystwie gości. Hrabia został przedstawiony damom, starał się zrobić przyjemne wrażenie na Magdzie, co mu przychodziło z trudem.

* * *

W tym samym czasie toczył się do wsi Helbigsdorf otwarty wóz podróżny. Siedziały w nim trzy osoby. Wysoki, chudy ale nader silnie zbudowany mężczyzna, tęga kobieta z czerwonymi policzkami i młody mężczyzna, powożący końmi. Ten ostatni miał na sobie gustowny mundur podporucznika marynarki, a honorowa odznaka na piersi była dowodem na to, iż mimo swych młodych lat został już wyróżniony.

— Ależ jestem ciekaw, czy pan major pędzie w domu! — odezwał się ten długi.

— Na pewno, drogi stryju — odpowiedział oficer.

— A z jakim zamiarem się nosi, skoro wzywa do siebie mnie i moją Parparę. No, ale już wkrótce zopaczymy, jaka jest przyczyna tego zaproszenia.

— Czy tam jest już Helbigsdorf? — spytała kobieta.

— Tak, Parparo, to Helpigsdorf! — odpowiedział kowal — Ale nie pojedziemy do góry, do majątku, po major pisał do Gerda, że ma nas wysadzić w gospodzie. Tam poczekamy, aż po nas przyjdą.

Przybyli do wsi i wysiedli przed gospodą. Konie umieszczono w stajni. Mistrz kowalski wszedł ze swoją żoną do izby gościnnej, a Gerd wyruszył na zamek.

Mimo woli pojechał tym razem inną drogą. Przez łąki i przez park łączący ogród zamkowy z lasem. Jechał przez chwilę pod drzewami, kiedy usłyszał głosy: trzy kobiece i jeden męski. Dobrzeje znał, były to głosy ciotek i nowego sąsiada. Nie lubił tego pana von Uhle, stąd chciał uniknąć spotkania z nim. Skręcił w lewo, w stronę małej altanki, w której Magda chętnie przesiadywała. Ileż szczęśliwych godzin spędził tam u jej boku!

Kiedy dotarł do polany, skąd można było ujrzeć altanę, spostrzegł, że Magda właśnie tam była. Ale równocześnie zbliżał się do niej z drugiej strony jakiś mężczyzna. Gdy tylko go ujrzała, wstała, aby się oddalić. Jej szybkie ruchy wyglądały na ucieczkę. Dlatego Gerd cofnął się i ukryty za dębem chciał poznać przyczynę, z powodu której dziewczyna unikała spotkania z tym mężczyzną.

Ten zaś przyspieszył kroku i dopędził Magdę tam, gdzie przed chwilą stał Gerd. Podporucznik był bardzo zaskoczony. Znal tę twarz, widział ją już kiedyś i na zawsze wbiła się mu w pamięć,

— Pani ucieka przede mną, panienko? — spytał obcy, chwytając Magdę za rękę.

Wyrwała mu ją.

— Uciekam? — uśmiechnęła się dumnie. — Co pozwala panu tak przypuszczać?

— Pani szybki krok, jakim usiłowała się pani oddalić, gdy się zbliżałem.

— Pan wie, że ucieka się tylko przed wrogiem!

— Ach, więc pani widzi we mnie wroga?

— Tak!

— Wobec tego musiałem się jednak pomylić, ponieważ nie ma takiego drugiego człowieka, którego serce tak gorąco pragnie zostać pani przyjacielem, jak moje.

— Dziękuję panu. Mam już dosyć przyjaciół.

— Nigdy nie ma się ich za dużo.

— A jednak, mój panie, bo gdy ich liczba jest zbyt duża to może się zdarzyć, że zaczną być uciążliwi.

— Ach, panienko, to więcej niż szczerść, to jest naruszenie dobrych manier.

— Ba! Żegnam?

Chciała się od niego odwrócić, ale ten złapał ją za rękę.

— Tak łatwo mi panienka nie ucieknie!

— Hrabio! Proszę puścić moją rękę!

Groźnie wypowiedziała te słowa, a jej mała, prawa dłoń zacisnęła się gniewnie, podczas gdy on ścisnął jej lewą.

— Mam puścić tę rączkę? — śmiał się — Pani jest najpiękniejszym, najwspanialszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek spotkałem, a teraz, kiedy mam tego anioła przed sobą, to mam się dobrowolnie skazać na pozbawienie się jej bliskości? Za dużo pani wymaga.

— Po raz ostatni proszę, aby pan puścił mą rękę!

— Będę ją trzymał.

— No dobrze! Wobec tego, że nie chce pan inaczej... Błyskawicznie zamachnęła się prawą ręką i uderzyła go tak silnie w twarz, że zachwiał się i zwolnił lewą. Ale za moment zbliżył się do niej i objął ją.

— Ach, ty mały, słodki diabełku, zapłacisz mi za to!

Starła się uwolnić od niego, lecz była dużo słabsza. Już zbliżył wargi do pocałunku, gdy otrzymał cios w głowę, od którego zatoczył się na ziemię.

— Gerdzie! — zawołała dziewczyna, wyciągając ręce do wybawcy. — To ty?

— To ja, Magdo. Stałem za tym dębem i wszystko słyszałem.

Hrabia podniósł się. Płonął ze wstydu i wściekłości.

— Człowieku, jak śmiałeś! — krzyczał trzęsąc się.

— Panie, widzi pan, że jestem oficerem!

— Ja również!

— Trudno to poznać i po pana ubraniu i zachowaniu. Zachował się pan jak pospolity łotr.

— Chłopcze, zmiażdżę ci kości!

Chciał chwycić podporucznika, ale ten zrobił unik.

— Hrabio! Proszę się mieć na baczności! Marynarz chwyta inaczej, niż szczur lądowy.

— Żądam satysfakcji!

— Chyba nie ode mnie? Ja biję się tylko z ludźmi honoru.

— Jeszcze i to? To, masz!

Zamierzył się, ale Gerd już go dopadł i grzmotnął nim o ziemię, tak że hrabia nie mógł się ruszyć.

— Chodź, Magdo, on ma dosyć!

Spojrzała błyszczącymi oczami w piękną, spokojną twarz młodego mężczyzny.

— Gdzie jest papa? — spytał, gdy szli dalej.

— Chyba w swoim pokoju. W ostatnim czasie napisał bardzo dużo listów i chyba ukrywa jakieś tajemnice.

— Wiedziałaś, że mnie oczekuje?

— Tak. Dlatego wyjechałam konno już dzisiaj rano.

— Dziękuję ci. Czy niepokój nie dawał ci spokoju?

— Tak, chociaż wiedziałam, że możesz przyjechać dopiero za parę godzin.

— Widzę, że mam bardzo niecierpliwą siostrzyczkę! Czy pan von Uhle jest z ciotkami w ogrodzie?

— Spotkałeś go? Przywiózł ze sobą hrabiego.

— Czego ten człowiek tu szuka?

— Spytaj Kunza, on ci to powie!

— Dlaczego sama nie możesz mi tego powiedzieć?

— Ponieważ to dotyczy mnie.

Przystanął przerażony i spojrzał na nią.

— Ciebie?! Ach, nie, to przecież niemożliwe!

Spurpurowiała.

— Gerdzie, nie wiem, co masz na myśli.

— Myślę, Magdo, że powinnaś wyjechać.

— Wcale nie! Spytaj tylko Kunza! Możesz być spokojny.

Jego blada twarz znowu nabrała kolorów.

— A więc to była jedynie brutalna zaczepka? Ach, niech jeszcze raz spróbuje, wówczas ponownie spiorę tego faceta tylko, że mocniej!

Dotarli do zamku. Odprowadził Magdę do jej pokoju, a sam poszedł szukać majora. W koniarzu stał Kunz.

— Młody pan! — zawołał ucieszony podchodząc do niego. — Witamy na zamku Helbigsdorf, panie Gerdzie! Nie widziałem kiedy pan przyszedł.

— Szedłem przez park.

— Ach! Tak! Zauważył pan gości?

— Tak, pana von Uhle i szalonego hrabiego. Kunz, dlaczego on właściwie przyjechał tutaj?

Kunz zrelacjonował porucznikowi to, co podsłuchał. Gerd opowiedział mu o sprzeczce z hrabią, po czym spytał:

— Czy major jest u siebie?

— Tak.

Gerd wszedł do niego. Major powitał go jak syna.

— A więc jesteś. Gerdzie! Witam cię serdecznie! — podał mu rękę i przytulił do siebie.

— Poprosiłem o urlop, ponieważ napisałeś, żebym przyjechał — odezwał się marynarz.

— Ile masz wolnego?

— Mam zgodę na czas nieokreślony.

— To dobrze, będziesz tu potrzebny na dłużej.

- W jakim celu?
- Oczekuję jeszcze dzisiaj miłych ci gości.
- Kogo?
- Kilku znajomych. To ma być niespodzianka.
- Czy ten gość z ogrodu też się do nich zalicza?
- Nie. Przybycie hrabiego było i dla nas zaskoczeniem.
- Skąd się tu wziął na zamku?
- Skontaktował się z panem von Uhle i z nim się tutaj pojawił.
- Więc „szalony hrabia” jest twoim gościem?
- Tak.
- A ja go obraziłem.
- Ty? Jak?

Gerd opowiedział. Major zmarszczył czoło.

— Uderzyłeś wprawdzie trochę za mocno, ale przecież słusznie — odezwał się. — Niech się ten człowiek nie waży napastować Magdy, powołując się w dodatku na swój status! Tak się dzisiaj zachował, że nie zezwolę mu na ponowne pojawienie się tutaj. Udzielę mu nauczki, równie gorzkiej, jak twoja.

Zadzwoił i wszedł ordynans.

— Kunz, hrabia jest w parku. Poszukasz go i powiesz, że mnie dla niego nie ma!

Stary ordynans zaśmiał się całą gębą.

— Przekażę, panie majorze i z pewnością niczego nie zapomnę! Zrozumiano?

Poszedł. W ogrodzie spotkał hrabiego w towarzystwie trzech sióstr. Zagadnął go bez żadnego wstępu:

— Niech pan posłucha!

— Czego? — spytał hrabia, zwracając się w jego stronę bardzo zdziwiony tym pozbawionym szacunku sposobem wysławiania się.

— Mój pan, major Helbig, kazał przekazać, żeby się pan oddalił. Zrozumiano?

— Człowieku, jak śmiesz takim tonem mówić do... do mnie. Natychmiast poskarżę się panu majorowi.

— Proszę mówić trochę uprzejmiej, inaczej zostanie pan wydalony! Pan major rozkazał, aby pana nigdy więcej nie wpuścić, a jeżeli mimo to przekroczy pan próg koniarza, to usunę pana z zamku. Zrozumiano?

— Kunz! — zawołała Niebieska.

— Człowieku! — zakrzyczała Purpurowa.

— Nieuprzejmy! — jęknęła Zielona.

— Czy jestem nieuprzejmy, jeżeli dosłownie wykonuję polecenie pana majora po napadzie tego człowieka na panienkę Magdę i napastowaniu jej?

— Napastował Magdę? Jako nasz gość? Faj! — zawołała Zilla. Trzy siostry poczuły się dotknięte w swym najszlachetniejszym miejscu, w miłości do Magdy.

— Faj! — zawołała Wanka.

— Faj! — dołączyła się Freja, a wszystkie trzy odwróciły się, zostawiając hrabiego i podążyły za oddalającym się ordynansem.

— W jaki sposób ją napastował? — pytała Niebieska.

— Chciał jej coś dać.

— Co?

— Coś, czego wy wszystkie trzy nigdy nie otrzymałyście: całusa!

— Straszne! — zawołała Długa.

— Okropne! — uniosła się Czerwona.

— Wstrętne! — skarżyła się Zielona, załamując ręce.

— A udało mu się?

— Nie.

— Czy broniła się?

— Bardzo! Nasz Gerd stanął w jej obronie.

— Gerd? Przecież go nie ma!

— Pan porucznik przyjechał i znajduje się teraz u pana majora.

— To prawda? — ucieszyła się Freja. — W takim razie musimy go natychmiast przywitać. Chodźcie!

Jakiś czas potem z przeciwnej strony przyjechał na zamek wóz. Gdy zatrzymał się na dziedzińcu, wysiadło z niego czterech mężczyzn. Olbrzym Bill Sanford, Fryderyk von Gollwitz, kapitan Schubert i sternik Karayey. Jeden ze stajennych podbiegł do nich.

— Czy pan major jest w domu? — spytał Fred.

— Tak.

— Gdzie się należy zameldować?

— Przedpokój jest na pierwszym piętrze.

— Proszę wyprząść konie! Pozostaniemy tutaj.

Czterech gości weszło do zamku i natrafiło na Kunza.

— Czy możemy rozmawiać z panem majorem? — dowiadywał się Gollwitz.

— Spytam.

W tym momencie spostrzegł Balduina Schuberta.

— A, tata naszego Gerda? Witam jak najserdeczniej! Znowu otrzymał pan urlop? To się pan major ucieszy. Ale jakie nazwiska tych panów mam podać!

— Proszę powiedzieć po prostu, że oczekiwani goście przybyli.

Kunz wszedł do pokoju majora.

— Panie majorze, na korytarzu jest kapitan Schubert i trzech obcy mężczyźni. Nie podali nazwisk. Mam zameldować, że oczekiwani przybyli. Zrozumiano.

— Ach! Niech wejdą!

Czterej mężczyźni weszli do środka. Kapitan podszedł do Helbiga i mocno, po marynarSKU uściskał mu rękę. Potem przedstawił swoich towarzyszy. Po powitaniu major poprosił by usiedli. Teraz zwrócił się do Gollwitzta:

— Więc pan, jak mi pisał pan Schubert, przyjechał w sprawie brata. Co pan już ustalił?

— Znaleźliśmy jego ślad.

— Naprawdę?

— Tak. W Stanach Zjednoczonych spotkaliśmy jego służącego, a to, czego dowiedzieliśmy się od niego, pozwala nam przypuszczać, że Teodora, jeżeli jeszcze żyje, należy szukać nie w Ameryce, lecz w ojczyźnie.

— Więc pana brat wcale nie opuścił Europy?

— Nie.

— Dziwne! A gdzie widziano go po raz ostatni?

— Na zamku Himmelstein.

— Na zamku Himmelstein, u „szalonego hrabiego”?

— Tak. Czy zna pan właściciela?

— Jeszcze jak! Znam go jeszcze z dawnych czasów, a poza tym był tutaj jeszcze przed godziną.

— Czy wolno spytać, w jakiej sprawie tu przybył?

— Ależ tak! Sam właściwie nie wiem, w jakiej sprawie tu się pojawił. Jeden z moich sąsiadów go tu wprowadził.

— I nie ma go już tutaj?

— Nie. Przed godziną pokazałem mu drzwi.

— Pokazał mu pan drzwi? Więc obraził pana?

— Tak. Zachował się niestosownie względem mojej...

Major przerwał i zamyślił się na chwilę. Przez twarz przebiegł mu szelmowski uśmiech, po czym odezwał się:

— O, jest tutaj ktoś, kto panów najlepiej o tym poinformuje. Zadzwoił i rozkazał Kunzowi:

— Proszę poprosić pana porucznika.

Po kilku minutach w progu pokoju stanął Gerd. Major przybrał odświętną minę:

— Panie poruczniku, chciałbym panu przedstawić tych panów.

Na twarzy Gerda pojawiło się zdziwienie, gdy usłyszał jak służbowo potraktował go ojczym.

— Baron Fryderyk von Gollwitz, jego przyjaciel Bill Sanford, starszy bosman Karavey i...

Major nie mógł dokończyć prezentacji, ponieważ zaskoczony Gerd zwrócił się do Karaveya:

— Jak to? Pan nazywa się Karavey i jest pan starszym bosmanem? Czy wolno mi spytać na jakim statku?

Major uśmiechnął się zadowolony, wiedział, co teraz nastąpi.

— Dlaczegoż by nie? — odpowiedział Karavey. — Na „Tygrysie”.

Pan mnie zna?

— Często słyszałem pana nazwisko i chciałbym się pana o kogoś zapytać. Czy sternik na „Tygrysie” nazywa się Balduin Schubert?

— Tak.

— Jest pan jego przyjacielem?

— Tak.

— Znajduje się teraz na pokładzie?

— Nie.

— Nie? To gdzie jest?

— Stoi tutaj.

— Pan...! To pan? Ty... ty!

Rozwarł ramiona i chciał rzucić się na zdziwionego Schuberta, jednak zatrzymał się w pół drogi i zwrócił do majora:

— Teraz rozumiem, czemu chciałeś, abym wziął urlop. W końcu powinienem poznać mojego ojca.

— Tak — przytaknął Helbig, który miał wilgotne oczy. — Długo musiałeś czekać na tę radość. Schubert, ten młody człowiek jest pańskim synem. Niech pan tak nie stoi, jak słup soli, lecz go weźmie w końcu w ramiona! Naprzód marsz.

— Gerd!

Tylko to jedno słowo wydusił z siebie sternik. Stał dosłownie niczym sparaliżowany, w bezruchu i z szeroko otwartymi oczyma gapił się na tego młodego mężczyznę stojącego przed nim z wypiekami na twarzy i świecącymi oczyma.

— Tato, jestem przecież twoim synem! Uwierz w to!

— Ty... pan... ach! Och!

Oslupienie minęło i rzucił się na Gerda, który wziął go w swoje ramiona i ucałował serdecznie.

— Do stu piorunów! To ty? Naprawdę ty? Nie mogę wprost uwierzyć, że mam takiego syna. Taki wylizany i czyściutki jak krążownik pancerny.

Gdy serce już się trochę nacieszyło, Schubert odzyskał mowę:

— Masz urlop?

— Tak i to na czas nieokreślony.

— Och, porozmawiam z kapitanem, on poprosi księcia, żebyś mógł pływać na „Tygrysie”.

— Uczyń to, tato! Być z tobą to szczęście, a służyć na „Tygrysie”, to największy zaszczyt dla marynarza. Ale czy przywitałeś się już z mamą?

— Nie, nie było na to czasu. Jest chyba zdrowa i ma się dobrze?

— Tak, poczekaj chwilę, zaraz ją przyprowadzę. Pospieszył do kuchni, gdzie przebywała pani Hartmann.

— Mamo, zgadnij kto przyjechał?

— Skąd mam to wiedzieć?

— Tato! Wyobraź sobie, major wiedział, że on przyjedzie i dlatego poprosił, abym wziął urlop, żebym w końcu poznał mego ojca. Tak bardzo się cieszę! Mamo, pospiesz się, tato czeka na ciebie. A ja pobiegnę tymczasem do wsi. Stryjek i ciocia też muszą być tutaj.

Podczas gdy pani Hartmann bardzo zadowolona zdjęła fartuszek i udała się do pokoju majora, Gerd znajdował się już w drodze do wsi, po stryjka Teodora i ciotkę Barbarę.

Gdy po pewnym czasie trzy siostry majora otworzyły drzwi do pokoju brata, uderzyła w nie taka chmura dymu tytoniowego, że najchętniej rzuciłyby się do ucieczki. Ale ze środka tej ciemnej i gęstej chmury docierały do nich nadzwyczaj wesołe głosy, więc stały jak wryte.

— Straszne! Ten dym! Jak z komina! — jęczała Gruba.

— Nie do wytrzymania! Ach, ci mężczyźni! — stękała Długa.

— Co tu się dzieje? Musimy się dowiedzieć! — sapała Mała.

Babska ciekawość wzięła górę nad ich podrażnionymi zmysłami węchu i z prawdziwą pogardą śmierci rzuciły się w zadymioną ciemność, gdzie blisko siebie siedzieli szczęśliwi ludzie.

HRABIOWSKI PODPALACZ

W tym samym czasie dwóch mężczyzn podążało od strony zamku przez las, ścieżką prowadzącą do sąsiedniego majątku. Był to hrabia z panem von Uhle, który o wydarzeniach w parku nic nie wiedział, gdyż akurat wtedy przebywał w bibliotece Helbiga. Hrabia miał spuszczonego wzrok, jakby się nad czymś zastanawiał. Nie mogło to być jednak nic przyjemnego, gdyż jego czoło pokryte było ponurymi zmarszczkami, a dłońmi często poprawiał ze zdenerwowania koniuszki wąsów. Wkrótce zwrócił się do Uhle:

— Zna pan Helbigsdorf?

— Tak.

— Zna pan układy rodzinne majora?

— Sądzę, że tak!

— Czy major ma syna?

— Nie.

— Ale w parku spotkałem oficera marynarki, który był z córką majora na ty.

— To jego przybrany syn.

— Hm! Przybrany syn! Może spokrewniony z nim?

— Krążą różne plotki na ten temat. Mówią nawet, że to podrzutek i to mianowicie jakiegoś marynarza.

— Niemożliwe? Przybrany syn majora nieślubnym dzieckiem marynarza!

— Można w to uwierzyć, gdyż matka tego młodego człowieka jest ochmistrzynią majora.

— Ten facet ma rysy twarzy, które mi się poniekąd wydały znajome. Miałem wrażenie, że już kiedyś musiałem go spotkać. Skąd pochodzi ta kobieta?

— Major, tak mówią, poznał ją w Fallum.

— Fallum? Hm! Do pioruna! Jak się nazywa?

— Nazwają ją pani Hartmann.

— Hartmann?! A jak się nazywa jej syn?

— Gerd.

Hrabia pstryknął palcami.

— No, to już wiem! Ach! A więc to ty, mój chłopcze? Ja cię... Przerwano mu. Na skraju leśnej drogi, którą szli, siedział człowiek, który wstał, kiedy się zbliżali, i wyciągnął do nich swój stary kapelusz. Był to żebrak.

Pan von Uhle sięgnął do kieszeni i dał mu monetę, ale hrabia spojrzał na niego ostro.

— Kto ty jesteś?

— Jestem biednym marynarzem.

— Marynarzem? I chodzisz tu, po górach?

— Chcę się dostać do Süderlandii.

Ten mężczyzna wyglądał na zagłodzonego i wycieńczonego. Musiał być po chorobie lub jakiś innych ciężkich przejściach.

— Skąd przybywasz?

— Tam z dołu, znad morza.

— Przecież mogłeś popłynąć morzem do Süderlandii.

— Nikt mnie nie zabrał.

— Dlaczego?

— Nie miałem czym zapłacić.

— Nie mogłeś pracować jako marynarz?

— Byłem za słaby. Długo chorowałem.

— Nie masz przyjaciół ani krewnych?

— Idę właśnie, aby ich odwiedzić. Mieszkają tutaj, na zamku Helbigsdorf.

— Kto to taki?

— Ochmistrzyni majora.

— Jest z tobą spokrewniona?

— Tak, to moja żona.

— Ach! — zawołał hrabia. — Skąd pochodzisz?

— Z Fallum.

— Jak się nazywasz?

— Hartmann!

— Zgadza się! Panie von Uhle, przepraszam pana na chwilę! Za chwilę dołączę do pana, gdyż muszę z tym człowiekiem omówić pewną sprawę.

Uhle poszedł dalej, a hrabia zwrócił się do Hartmanna:

— Wiesz, dlaczego nie możesz zostać i dlaczego nikogo nie znalazłeś, kto by cię zabrał na statek?

— Ponieważ jestem za słaby.

— Nie, lecz dlatego, że wracasz z więzienia.

— Panie!

— Nie zaprzeczaj! Ale bądź spokojny! Nie robię ci wyrzutów. Czy zgadłem?

— Tak — odpowiedział po chwili wahania.

— Myślisz, że major, albo twoja żona będą cię utrzymywać?

— Mam taką nadzieję. Musi mnie przyjąć albo pojechać ze mną do Süderlandii. Tu w Norlandii nie znajdę pracy.

— Znasz mnie?

— Nie.

— Widzieliśmy się już kiedyś, w Fallum.

— Możliwe. Było tam dużo wczasowiczów, którzy wypływali moją łodzią na spacer.

— Płynąłem nie tylko z tobą, ale również z twoim synem.

— To tylko mój pasierb.

— Tak, jest synem marynarza. Kiedyś się nawet z nim starłem.

— Ach! — zawołał Hartmann.

— I dlatego musiałem stanąć przed sądem...

— Pan jest...

— I zostałem ukarany mimo mego stanu, który mnie właśnie powinien chronić przed takim traktowaniem.

— Panie, teraz już wiem, kim pan jest!

— Cicho! Tylko bez nazwisk! Ale chciałbym ci pomóc. Na zamku nie znajdziesz tego, czego szukasz.

— Prawdopodobnie nie.

— Jestem w takiej sytuacji, że mogę się tobą zająć.

— Panie, gdyby to było prawdą!

— To prawda. Sprowadzę cię kawałek i przed wsią poczekam na ciebie. Wrócisz do mnie i powiesz mi, jak wypadła twoja wizyta. Potem zobaczymy, co się da zrobić. Chcesz?

— O tak!

— Ale o mnie ani słowa!

— Ani słówka nie pisnę.

Poszli w kierunku wsi. Gdy ujrzeni zamek, hrabia zatrzymał się.

— To jest zamek Helbigsdorf. Dalej pójdziesz sam. Ja tutaj na ciebie zaczekam.

— Na pewno wrócę, panie.

— Gdybyś mnie tutaj nie zastał, to zagwizdaj. Być może, że będę się musiał ukryć.

Hartmann poszedł dalej. Przy wejściu na zamek spotkał służącego.

— Czy to zamek Helbigsdorf?

— Tak. Czego chce na zamku?

— To nie jego interes!

Przeszedł na dziedziniec zamkowy, obok osłupiałego służącego. Natychmiast skierował się ku wejściu, a ponieważ nikt się nie ukazał, podążył schodami w górę. Kunz wyszedł akurat z pokoju majora.

— Czego on chce?

— Chcę rozmawiać z ochmistrzynią.

— Panią Hartmann? Czego od niej chce?

— To obchodzi tylko mnie i ją.

— On jest gburem. Niech się stąd wynosi!

— Kto się tutaj kłóci? — odezwał się surowy głos. Gdy się obejrżeli, major stał tuż obok nich.

— Ten człowiek urządza widowisko, panie majorze! — odpowiedział Kunz.

— Czego chce?

— Szukam ochmistrzyni, panie majorze. — odpowiedział Hartmann — Chcę z nią rozmawiać! Jestem jej mężem.

— A więc on jest marynarz Hartmann, z Fallum?

— Tak.

— Zwolnili go?

— Jestem wolny.

— Niech idzie! Sam zaprowadzę go do żony.

Poszedł przodem do kuchni. Tam oprócz ochmistrzyni były jeszcze trzy siostry.

— Pani Hartmann, — powiedział major — dzisiaj jest dzień pełen niespodzianek. Ten człowiek chce rozmawiać z panią.

— Kto taki?

Odwróciła się w stronę obcego i pobladła.

— Znasz mnie? — spytał.

— Hartmann! — zawołała okropnie przerażona. — Wyszedeś z... z...

— Z więzienia! — uzupełnił szyderczo.

— I przychodzisz do mnie — ciągnęła ochmistrzyni.

— Do ciebie, ponieważ wiedziałem, że ty do mnie nie przyjdiesz. Nie przywitasz się ze swym mężem? Nie masz miejsca dla niego?

— Nie. Nigdy! — broniła się.

— Wierzę. Kiedy ja cierpiałem biedę, przymierałem głodem i siedziałem w mamrze, ty używałaś życia i całkowicie o mnie zapomniałaś. Ale jestem twoim mężem i należysz do mnie. Jeżeli nie masz tutaj dla mnie miejsca, to opuścisz ten dom i pójdziesz ze mną.

— Wygląda na to, że ona ma z nim iść — odezwał się Kunz, który wszedł z ciekawości do środka.

— To go nie interesuje, do diabła!

— Och! On jest gburem i z pewnością mi pozwoli, abym też nim był. Zrozumiano?

Major zwrócił się do swej ochmistrzyni:

— Pani Hartmann, czy chce pani znowu być z tym człowiekiem?

— Nigdy!

— On słyszy! — powiedział Helbig do Hartmanna.

— Tak, słyszę. Ale ona jeszcze się rozmyśli.

— On się w takim razie myli. Ona zostanie u mnie, a ja się postaram, abyście jak najszybciej dostali rozwód.

— Nigdy z niej nie zrezygnuję!

— On zostanie do tego zmuszony. Ale dla niego będzie lepiej, jeśli uczyni to dobrowolnie. Jeśli da się nakłonić do tego, to może zdecyduję się, aby uczynić coś dla poprawienia jego bytu.

— Nie potrzebuję nikogo, a już najmniej pana!

— Tak? Wobec tego może odejść!

— Nikt mnie nie może wyrzucić, dopóki moja żona jest tutaj!

— On słyszał, że żona nie chce go znać. Niech sobie idzie!

— A moje dzieci? Gdzie one są?

— Mają dobrą opiekę. On się wcześniej o nie nie martwił, a teraz jego tęsknota za nimi też nie będzie zbyt wielka.

— Ale chcę je zobaczyć. Mam do tego prawo!

— Nie ma ich tutaj.

— Mnie zostanie przyznana opieka nad nimi.

— O tym zadecyduje sąd. A teraz koniec!

— Żądam mojej żony! — wołał uparcie.

— Kunz!

— Panie majorze!

— Proszę usunąć tego człowieka za drzwi!

— Rozkaz, panie majorze! Chodź chłoptasiu! Zrozumiano?

Wziął Hartmanna za ramię, a kiedy ten zaczął stawiać opór, chwycił go za fraki i wyrzucił za drzwi. Kunz był silny, a Hartmann wręcz przeciwnie. Poleciał więc schodami w dół, i przez dziedziniec, gdzie służący pełniący straż odebrał go i wyrzucił za bramę.

W lesie natknął się Hartmann na hrabiego.

- Już z powrotem?
- Tak. Szybko poszło. Najpierw mnie nie chciano wpuścić, a potem szybko się mnie pozbyto.
- Co powiedziała twoja żona?
- Że nic o mnie nie chce słyszeć.
- Z kim jeszcze rozmawiałeś?
- Z majorem. Kazał mnie po prostu wyrzucić.
- To niezwykła życzliwość!
- Nawet nie zobaczyłem swoich dzieci!
- Pasierba też nie?
- Nie. A jest tutaj?
- Tak. Jest oficerem marynarki.
- Coś takiego! Ten człowiek który mnie wpędził do więzienia! Do stu piorunów, jemu to chciałbym przypiąć łatę!
- Tylko jemu? — spytał hrabia niecierpliwie.
- Jemu, majorowi... wszystkim tam.
- Mógłbyś to zrobić.
- A niby w jaki sposób?
- Hm! O takich sprawach trudno się rozmawia.
- Panie, potrafię milczeć.
- Chcesz być u mnie na służbie? Ale oczekuję jak największej wierności i dyskrecji. Za to dobrze płacę i umiem przymknąć oko na inne sprawy.
- Jako kto mam u pana pracować?
- Jako mój przedstawiciel.
- Niemożliwe!
- A jednak realne. Jestem znawcą ludzi i wiem, że mogę się tobą posłużyć. Nie przemęczysz się u mnie, a ja chronić cię będę przed zwykłymi zadaniami. Będziesz wypełniał tylko takie polecenia, o jakich nikt nie może wiedzieć. Chcesz?
- Tak, panie. Znajdzie pan we mnie człowieka oddanego, aż po grób i który zrobi wszystko, czego pan od niego zażąda.
- Także wówczas, gdy to będzie coś... coś... zabronionego?
- Również!
- Chcę cię najpierw wystawić na próbę. Muszę wiedzieć czy się nadajesz.
- Niech pan to zrobi. Zdam tę próbę.

— No to słuchaj! Pragnę spłatać temu majorowi małego figła. Chciałbym mianowicie coś zrobić, co wywoła w Helbigsdorfie porządne podenerwowanie i zamęt.

— Tylko to? Żadnej szkody?

— Może być i szkoda. Ale jaka?

— Moznaby mu wytruć stajnię.

— Ba!

— Albo podpalić zamek.

— No, to już byłoby coś.

— Czy mam to zrobić, panie?

— Tak!

— Dzisiejszej nocy?

— Tak. Ale to niebezpieczne!

— Wcale nie.

— Och! Na zamku mieszka wiele osób. Jeśli cię ktoś złapie, to dostaniesz za swoje.

— Nie złapią mnie. Może pan na mnie polegać.

— Ale nie chcę jakiegoś małego pożaru, rozumiesz? Cały zamek ze wszystkimi przybudówkami musi spłonąć. A to jest nie tylko niebezpieczne, ale i trudne do wykonania.

— Dlaczego?

— Trzebaby ogień podłożyć w różnych miejscach.

— I tak się stanie.

— Ale jak znajdziesz ku temu sposobność?

— To bardzo proste, panie. Najpierw podpali się we wsi jeden, czy dwa domy, a potem...

— Do wszystkich diabłów, widzę, że masz faktycznie głowę, jakiej potrzebuję.

— Jak będzie się palić we wsi, to wszyscy mieszkańcy zamku, przynajmniej mężczyźni, pobiegą na ratunek, a wtedy reszta będzie dziecinnie łatwa.

— No to dogadaliśmy się, od tej chwili jesteś u mnie na służbie. Ale, właśnie mi się nasunęło, że mógłbym przy tej okazji osiągnąć jeszcze jeden cel.

— Mówcie, panie!

— Helbig jest niesamowicie przywiązany do swej córki.

— Czy też ma spłonąć?

— Nie, nie ma spłonąć! Ale... można by się zabawić trochę w rycerza-rozbójnika, wiesz, tak jak to bywało w średniowieczu. Można by z nią pojechać konno na spacer.

— Więc pan uważa, że można by ją uprowadzić, żeby stary zaczął się o nią porządnie martwić?

— Czy jesteś gotów i w tym mi pomóc?

— Natychmiast!

— No dobrze! Mam własny powóz i wiernie oddanego woźnicę, więc jest nas trzech. Spróbujemy niepostrzeżenie schwytać dziewczynę i zaniesiemy ją do lasu. Wtedy powiem panu von Uhle, że wyjeżdżam — jestem jego gościem — i kiedy będziemy jechać przez las wsadzimy ją do powozu.

— A dokąd pojedziemy?

— Prosto do granicy.

— Na drugą stronę do Süderlandii?

— Tak, na zamek Himmelstein.

— Zatrzymają nas na granicy i przeszukają powóz.

— Ba! Mojego na pewno nie.

— Nawet wtedy nie, jeżeli będzie pan podróżować z człowiekiem w takim ubraniu? — mówiąc to wskazał na siebie.

Hrabia roześmiał się,

— Myślisz, że cię tak zostawię? Jeszcze dzisiaj musisz mieć inne ubranie. Do najbliższego miasta są dwie godziny. Jak się pospieszysz, do wieczora obrócisz. Tu masz pieniądze. Kup sobie co potrzebujesz, przede wszystkim broń palną.

Hrabia wyciągnął sakiewkę i dał mu pewną sumę. Hartmann spytał:

— Gdzie się spotkamy?

— W tym samym miejscu.

— Kiedy?

— O jedenastej wieczorem. Postaram się, aby mój powóz już stał w lesie.

Odszedł, a Hartmann powlókł się dalej.

* * *

Wieczorem tego samego dnia Magda była we wsi, aby odwiedzić chorą. Towarzyszył jej Gerd i teraz wracali razem na zamek. Było już późno, jednak poszli ścieżką przez park. Szli obok siebie milcząc. Było to wymowne milczenie, takie kiedy serce mówi, podczas gdy usta boją się określić uczucia słowami. Jego ręka ujęła mimo woli dłoń pięknej dziewczyny, a ona jej nie cofnęła. Wtem usłyszała jego głęboki oddech i zatrzymała się.

— O czym myślisz, Gerdzie? — spytała.

— O tobie i wielu rzeczach — odpowiedział.
— Czy nie możesz mi trochę o tym powiedzieć?
— To wszystko, Magdo. Resztę przecież wiesz.
— Nie wiem. Co masz na myśli — powiedziała cicho.
— Że znaczę tak mało...
— Mało? Ależ Gerdzie, co ty wygadujesz?
— Prawdę.
— Czy to mało być już w twoim wieku podporucznikiem marynarki!
— To nic w porównaniu z tym, kim ty jesteś. Położyła rękę na jego ramieniu i poprosiła:
— Powiedz mi wszystko, co ci leży na sercu!
— Sam jeszcze dobrze nie wiem. Ale gdy dzisiaj zobaczyłem tego hrabiego obok ciebie, wtedy poczułem, że mógłbym zmiażdżyć każdego, kto chciałby cię tak dotknąć, jak ten człowiek.

— Nikt się nie odważy.
— A jednak komuś kiedyś na to zezwolisz. Kiedyś kogoś takiego spotkasz, kogo...
— Kogo...? Mów dalej!
— Kogo... kogo pokochasz.

Z trudem mu przeszły te słowa. Magda milczała przez chwilę, potem odezwała się cicho:

— Czy byłbyś... zazdrosny, Gerdzie?
— Tak. — zwlekał z odpowiedzią — Chociaż nic by mnie do tego nie upoważniało.
— O, drogi Gerdzie, może jednak coś by cię upoważniało.
— Magdo? Co chcesz przez to powiedzieć?
— Czy brat nie może być o siostrę zazdrosny?
— Tak, ale w innym sensie niż ja to myślę.
— No to kto w takim razie ma to prawo?
— Wiesz przecież! — szeptał.
— I nie chcesz być tym kimś? — spytała niby żartobliwym tonem, ale słychać było, że drży.
— O, jak bardzo, jak bardzo chciałbym nim być. Niebo bym za to oddał! Ale wiem, że jesteś nie do zdobycia.

Z jej ust rozległ się głośny, srebrzysty śmiech i spytała:

— Nie do zdobycia? Nie zdobyłeś mnie? Czy nie chwyciłeś mnie już za rękę?
— Tak, chwyciłem i dalej ją trzymam. Ale na jak długo?
— Jak długo zechcesz, Gerdzie.
— Bezustannie i zawsze?

— Tak — wyszeptwała cicho.

— Więc przez całe życie?

— Jeśli zechcesz!

— Dziękuję ci kochana. Dla mnie rozkwitnie przy tobie tylko szczęście i dobro. Ty masz tak dużą pozycję, a ja prawie nic nie znaczę. Ale teraz, kiedy dałaś mi siebie na własność, czuję w sobie taką siłę, że mogę walczyć o ciebie z całym światem.

— To nie będzie konieczne, mój Gerdzie. Któż byłby nam przeciwny?

— Tato!

— On cię przecież kocha!

— Ale jego przychylność nie jest w stanie pokonać przeszkód, jakie niesie ze sobą pochodzenie.

— To już dawno należy do przeszłości.

— Nie! Zanim nie będzie jasności w moich układach rodzinnych, nie możemy się pobrać.

— No to poczekamy, kochany Gerdzie. Prawda?

— Tak. — zaśmiał się wesoło — Co nam innego pozostaje? Pochylił się i ucałował namiętnie jej czerwone wargi. Potem szli pod rękę na zamek.

Tam oczekiwano ich od już dłuższego czasu. Z powodu przybyłych dzisiaj gości, tyle było do opowiadania, że dopiero koło północy zamierzano się udać na spoczynek. Wtedy właśnie usłyszano z dołu, z dziedzińca głośne wołanie.

— Co to jest? — spytał major.

— Mój Boże, wołają „pali się” — lamentowała Freja.

Dwie pozostałe siostry krzyczały tak samo, ale nie słuchano ich. Freja osunęła się na swoje krzesło. Wanka leżała w prawym, a Zilla w lewym rogu sofy i wszystkie trzy zamknęły oczy. Wreszcie Freja podniosła powieki. Usłyszała głośne bieganie i nawoływanie na dziedzińcu zamkowym, wydała drugi okrzyk i ponownie zamknęła oczy. Teraz przyszła kolej na Wanę, aby się ocucić z omdlenia. Ujrawszy jasną łunę krzyknęła głośno i ponownie osunęła się na sofę. To była dla Zilli najlepsza sposobność, aby na moment przewyciężyć swoją słabość, jednak jasny blask ognia oszołomił ją ponownie.

— Straszne! — jęknęła Niebieska.

— Przerazające! — lamentowała Zielona.

— Okropne! — jęczała Purpurowa.

Freja pierwsza zebrała siły, aby podejść do okna.

— Spójrzcie na te płomienie! Jak dobrze, że pali się tylko we wsi, a nie na zamku.

— U kogo to może być?

— Zapytajmy!

Zbiegły na dziedziniec, przez którego bramę właśnie wyjechała sikawka. Nie było ani parobka ani służącej. Także major i wszyscy goście pospieżyli do wsi; dołączył do nich Kunz i nawet Magda, aby potrzebującym pomocy, dodać otuchy.

Pałiło się małe mieszkanie chałupnika. Widać było na pierwszy rzut oka, że nie da się go już uratować. Ale sąsiedzi byli w niebezpieczeństwie, a ponieważ nie można było liczyć jak na razie na pomoc mieszkańców okolicznych miejscowości, więc panował paniczny strach i podenerwowanie. Uspokoił się dopiero wówczas, kiedy major przejął prowadzenie akcji ratowniczej i słychać było daleko jego tubalny głos.

Właściciel palącego się domu miał niewielki dobytek i szybko został zabezpieczony. Zostawiono ogień w spokoju i troszczono się tylko o to, by nie zajęły się sąsiednie budynki.

Między zamkiem, a wsią przy drodze stała wysoka lipa. Powoli zbliżały się do niej trzy postaci, były to siostry majora.

— Nie mogę już dalej iść! — skarżyła się Długa.

— Moje nogi nie chcą mnie dalej nieść! — wzdychała Mała.

— Przewrócę się! — jęczała Gruba.

Wzrok miały skierowany w kierunku wsi i dlatego nie zauważyły, co się działo za nimi. Nagle rozległy się na pogorzelsku wzmożone okrzyki i trzy kobiety spostrzegły, że od wsi rzucono się ku górze, na drogę prowadzącą w stronę zamku.

— Co to jest? — spytała Frya.

— Oni uciekają! — odpowiedziała Wanka.

— Ale dlaczego mieliby uciekać? — odezwała się Zilla. — Musiało się coś wydarzyć tam na górze. Stale wołają „pali się”.

Odwróciły się i z przerażenia zemdlały. Cały zamek stał w płomieniach. Od budynków gospodarczych, jak i z głównego budynku, bity ku górze liczne płomienie, osiągające w krótkim czasie olbrzymią wysokość.

— Ktoś podłożył ogień! — zgrzytał major, który właśnie przebiegał pędem koło lipy.

— Ten pierwszy pożar miał nas tylko wywabić z zamku! Gdzie jest Magda? — wołał Gerd, który trzymał się boku majora.

— We wsi.

— A pana trzy siostry?

— Nie widziałeś ich koło lipy? Są bezpieczne. Chodź szybko, żebyśmy jeszcze zdążyli uratować moje papiery!

— I zwierzęta. Ale najpierw trzeba otworzyć stajnie!

Dzika pogoń minęła lipę. Nikt nie zważał na drugiego, każdy jak najszybciej chciał dotrzeć do zamku. Wszyscy mieszkańcy wsi, pędzili na pomoc, gdyż wiedzieli, że ich domostwa są bezpieczne. Jedni drugim przeszkadzali biec. I dlatego Magda znajdująca się na końcu grupy, postanowiła przejść przez łąki, odbiła więc na prawo.

Niedaleko drogi, za krzakami, stało dwóch mężczyzn. Był to hrabia z Hartmannem.

— Wszystko poszło nadspodziewanie dobrze! — zauważył Hohenegg.

— To była jednak ogromna praca. Nie mogłem przecież przewidzieć, że zostawię zamek bez ochrony, na dodatek z otwartymi bramami i drzwiami.

— Dużo zdołają uratować?

— Nie sądzę. Najpierw podpaliłem tylne pomieszczenia, żeby ogień był jak najpóźniej zauważony we wsi. Teraz płoną już budynki z przodu. Kto wie, czy można jeszcze dotrzeć do górnych komnat. Odkryłem w piwnicy trzy butle nafty, które rozlałem po korytarzu i podpaliłem, gdy już wszystko stało w ogniu.

— Dzielnie! To chyba i pieniądze majora pójdą też do diabła! Hartmann nie odpowiedział, lecz przejechał ręką po bocznej kieszeni.

Za dnia możnaby poznać, że była bardzo wypchana.

— To szczęście, — mówił dalej hrabia — że ogień oświetla drogę, tak że każdego możemy rozpoznać.

— Wie pan z pewnością, że dziewczyna pobiegła do wsi?

— Widziałem ją.

— Jak ją złapiemy?

— Nie tutaj, to pewne. Ale pójdziemy za nią i podczas zamieszania tam na górze znajdziemy odpowiedni moment, w którym uda nam się ją zwinąć.

Obok przepływała jeszcze ciągle fala krzyczących ludzi. Nagle spostrzegli kobiecą postać, która zboczyła z drogi i skręciła w ich kierunku.

— Kto to? — spytał hrabia.

— Jakaś kobieta.

— Musi koło nas przejść.

— Usuńmy się na bok, panie! Nie może nas zauważyć.

— A jednak powinna nas zauważyć! Czy wiesz, kto to jest?

— Ach, teraz można zauważyć rysy twarzy! Czy to nie nasza dama?

— Tak jest.

— Schwytamy ją?

— Rozumie się! Najpierw ją przepuścimy, potem ty ją złapiesz, a ja jej przymknę usta chustką. Uważaj, nadchodzi!

Przykucnęli za krzakiem. Magda szła niczego nie podejrzewając. Ale ledwie ich minęła, Hartmann ją złapał i rzucił na ziemię. Jej wołanie o pomoc zginęło w hałasie związanym z pożarem, następne próby nie były; już możliwe, gdyż hrabia wcisnął jej chustkę do ust. Teraz wyciągnął kilka silnych sznurków z kieszeni, aby ją związać. Hartmann mu przy tym pomagał.

— Nie za mocno! — nakazał mu Hohenegg. — Jest już nasza, gdyż jest nieprzytomna, a nawet, gdyby tak nie było, z kobietą można sobie poradzić.

— Tak! — odezwał się pomocnik. — Zrobione! Mam ją nieść?

— Tak. Chodź!

Hartmann podniósł zemdloną i szedł za swym panem, kroczącym na przełaj przez pola i łąki do lasu. Byli zmuszeni do zrobienia okrężnej drogi, gdyż płomień palącego się zamku rzucały taki blask na okolicę, iż w promieniu kwadransa można było dojrzeć każdą osobę.

Za zamkiem i po przeciwległej stronie wsi rozpościerał się las, początkowo na wąskiej przestrzeni, lecz potem wspinał się po zboczach opadającego tu stromo pasma górskiego, z którego grzbietu prowadziła do doliny droga, o licznych zakrętach. Piechur mógł wyjść na górę po wąskiej ścieżce, przecinającej każdy z tych zakrętów i tak samo, jak droga z obu stron porośniętej gęstymi krzakami.

* * *

Z drugiej strony przełęczy jechał powoli ku grzbietowi otwarty powóz zaprzęzony w dwa konie. Oprócz woźnicy znajdował się w nim tylko jeden jedyny podróżny, który otulony szerokim nieprzemakalnym płaszczem wygodnie oparł się na swym siedzeniu i zdawał się spać w tej pozycji. Czasem tylko, gdy koła uderzały o kamienie i wóz przez to szarpał, podnosił głowę, rozglądał się i znowu opuszczał. Nagle powóz stanął, a podróżny poderwał się.

— Co jest? — spytał.

— Jesteśmy na górze.

— Panie, niech pan pozwoli koniom trochę odsapnąć! Droga tu na górę była okropna.

— No dobrze! I tak jest już za późno, żeby budzić ludzi. Ty jesteś z tej okolicy?

— Tak, panie, ze Steinweiler.

— To, jak sobie dobrze przypominam, nie jest to daleko od Helbigsdorfu.

— Oczywiście, tylko pół godziny dalej. Właśnie w tym kierunku, gdzie widać blask nad drzewami.

Na tym wzniesieniu także był las z tak gęstym i potężnym drzewostanem, że nie można było dojrzeć doliny.

Dlatego też nie można było z tego miejsca zauważyć pożaru, ale nad wierzchołkami drzew ukazała się niezwykła jasność, jakby zaczynało świtać. Podróżny lustrował niebo.

— Hm! Jedziemy ze wschodu, a jest dopiero tuż po północy. Tam w dole musi być jakiś pożar.

— Na to wygląda, panie. Czy widzi pan tę czarną chmurę, unoszącą się tutaj, nad drzewami?

— Tak. Wygląda na czarną, ale jej dolny brzeg żarzy się jak złoto. Pali się. Gdzie to może być?

— Blask ognia w nocy zwykle wprowadza w błąd, ale kiedy dojedziemy do pierwszego zakrętu, będziemy mogli w całości oglądać dolinę. Mam jechać dalej?

— Oczywiście i to bardzo szybko.

Powóz dotarł wkrótce do miejsca, gdzie droga opadała w dół. Woźnica zatrzymał się mimo woli, wskazał biczem w dół i zawołał przerażony:

— Panie, widzi pan?

— Tak. Dwa pożary, mały i duży. Wielkie nieba, to zamek Helbigsdorf, a ten mniejszy pożar jest we wsi. Jedź! Szybko, galopem!

— Droga jest stroma, a moje konie są śmiertelnie zmęczone.

— No dobrze, wobec tego wysiądę i pójdę dalej pieszo. Znam tutaj niedaleko ścieżkę, przecinającą wszystkie zakręty. Ty jedź powoli na zamek, gdzie się potem spotkamy.

Zrzucił płaszcz i wysiadł. Obcy, wysoki mężczyzna musiał być dobrze obeznany w terenie, gdyż nie namyślając się ani chwili, cofnął się kawałek drogą. Kilkoma szybkimi krokami znalazł się u wylotu wspomnianej ścieżki, którą poszedł. Nie była szeroka, ale linia jaką tworzyła w lesie, ciągnęła się akurat naprzeciw płonącego zamku i płomienne oświetlały niemalże każdy krok, toteż schodzenie odbywało się bardzo szybko. W dole, gdzie ścieżka po raz ostatni przecinała drogę, mężczyzna zatrzymał się. Przed nim stał ukryty powóz, a obok niego przy otwartych drzwiach w wyczekującej pozycji woźnica. To wydało mu się dziwne.

— Dobry wieczór! — powiedział.

— Dobry wieczór — podziękował ten człowiek ponuro.

— Do kogo należy ten pojazd?

— Do mnie.

— Do ciebie? Na kogo czekasz?

— To nikogo nie obchodzi.

— Gbur! Wiesz, że wydajesz mi się podejrzanym?

— Ty mi też!

Obcy zaśmiał się.

— Chłopie, podobasz mi się. No to masz pamiątkę!

Po szybkim spojrzeniu do powozu, co go przekonało, że był pusty, zamierzył się i dał uprzejmemu siarczystemu policzek. Odszedł już daleko, zanim uderzony był w stanie pomyśleć o rewanżu za nieoczekiwany podarunek.

Droga do wsi wiła się serpentynami. Tajemniczy wędrowiec obrał prostą drogę do zamku poprzez zarośla i właśnie przebył połowę, gdy nagle odskoczył w bok. Omal nie zderzył się z jakimś człowiekiem, który nagle wyszedł zza krzaków. Za nim szedł jeszcze ktoś niosący na rękach jakiś ciężar.

— Stać! — rozkazał tajemniczym postaciom.

Wówczas ten pierwszy odwrócił się, wyrwał drugiemu ciężar z rąk i zawołał rozkazującym tonem:

— Załatw go!

Po tych słowach zniknął w zaroślach. Drugi podszedł ostro do obcego:

— Kim pan jest?

— To nie ma tu nic do rzeczy! Co niósł tamten człowiek?

— Wynoś się człowieku, i zostaw nas w spokoju! Chciał iść za swoim towarzyszem, ale ten go przytrzymał.

— Zaczekaj, mój przyjacielu! Tam się pali, a tutaj wy skradacie się z jakimś przedmiotem przez las. Ty pójdziesz ze mną na zamek!

— A ty pójdziesz do diabła!

— Z przyjemnością. Ale bez ciebie nie mogę się tam pojawić. Naprzód!

— Żałosne! Usuń się z drogi, chłopcze!

Chwycił obcego i chciał nim cisnąć o ziemię, ale widocznie przeliczył się ze swoją tężyzną, gdyż w tej samej chwili sam znalazł się na ziemi, a jego przeciwnik klęczał nad nim.

— Ależ ty jesteś prawdziwym Goliatem! — śmiał się. — Chodź tu, zwiążę ci trochę ręce, a w zamku obejrzymy cię lepiej!

Kiedy wyciągał chusteczkę, aby zrobić z niej pęta, musiał puścić jedną rękę Hartmanna. Ten sięgnął błyskawicznie do kieszeni, wyciągnął pistolet i nacisnął.

Jego przeciwnik miał zaledwie tyle czasu, aby odwrócić głowę w bok; kula przeleciała tuż obok niego.

— Ach, ty kąsas! Żmijo! Oddawaj tę zabawkę! — chwycił za broń, aby mu ją wydrzeć z ręki.

— Umrzesz psie! — zaryczał wściekły Hartmann.

Wyteżając się wykonał szybki ruch. Udało mu się naciągnąć drugi kurek, ale gdy dotknął spustu, nieznajomy skręcił mu pistolet w dół i padł strzał.

— Ach! — jęknął Hartmann — Trafiłem sam siebie!

— Dobrze ci tak, chłopcze!

Mówiący te słowa poczuł, że opór rannego maleje, z łatwością udało mu się związać mu ręce.

— Teraz pójdziesz ze mną! — rozkazał.

— Nie mogę! — zajęczał.

— Naprzód, wstawaj!

— Nie dam rady. Jestem trafiony w oko.

Jego głos jakby zanikał, a zwiotczałe członki opadły na ziemię.

— To jesteś zgubiony chłopie. Powiedz, kim jesteś i co tutaj robisz!

Zapytany jęczał:

— Niech pan mnie tu zostawi! Ja umieram.

— Mam cię tu zostawić? Żeby twój kompan stąd cię zabrał? Wykluczone!

Podniósł go jak dziecko i zarzucił na plecy. Hartmann nie bronił się. Obcy niósł go szybkim krokiem przez zarośla, na otwarte pole, gdzie wzrokiem ogarnął cały przerażający swymi rozmiarami pożar. Zdązał w jego kierunku.

Pierwszą grupę, jaką zobaczył, tworzyli Karavey i Balduin Schubert. Położył rannego u ich stóp i zwrócił się do dawnego Cygana.

— Proszę mi powiedzieć, dobry przyjacielu... — przerwał, ponieważ jego wzrok padł na oświetlone przez ogień rysy Cygana. — Karavey? Ty tutaj! Co za niespodzianka!

Także Karavey rozpoznał obcego.

— Katombo, chciałem powiedzieć... Nurwan Pasza, nie hrabia Hohenegg. Ty... pan... Czy to możliwe?

Rozwarł ramiona i chciał się na niego rzucić, ale chwilę później opuścił je zmieszany, gdyż zdał sobie sprawę z różnicy stanu. Przybyszowi nie uszło uwadze jego wahanie i powiedział serdecznie:

— Karavey, nie bądź głupcem! Nie jestem dla ciebie żaden hrabia Wilhelm Hohenegg, lecz ciągle jeszcze Katombo, twój przyjaciel i brat. Chodź w moje ramiona!

Po serdecznym powitaniu, w trakcie którego i zacnemu Schubertowi ciepło uściskał rękę, Katombo spytał:

— Co cię sprowadza w tę okolicę. Odwiedziłeś chyba Lilgę, naszą siostrę?

— Nie, jestem tu w innej sprawie. To jest jednak długa historia, której teraz nie mogę opowiedzieć. Ale dziwię się, że ciebie tu spotykam.

— Łatwo to wytłumaczyć. Z polecenia księcia Maksa załatwiałem pewną misję dyplomatyczną na dworze w Süderlandii, a w drodze powrotnej chciałem ujrzyć tę okolicę, którą kiedyś, kiedy nie byłem jeszcze Nurwanem Paszą i hrabią Hohenegg... no wiesz, Karavey, tak często przemierzałem. Przy tej sposobności chciałem też odwiedzić majora Helbiga. To wszystko.

— Przybywasz zupełnie nie w porę.

— Czy zamek pali się już długo?

— Pół godziny.

— Tak podłożono ogień. Pali się ze wszystkich stron.

— Czy są jakieś podejrzenia, kto może być sprawcą?

— Żadnych.

— Może on pomoże trochę naświetlić sprawę.

— Kto to jest?

— Spotkałem go po tamtej stronie, w krzakach. Był jeszcze jakiś drugi, ale mi umknął. Niósł coś ciężkiego.

Karavey pochylił się, aby obejrzyć pojmanego.

— Do pioruna, ten człowiek nie żyje!

— Nie żyje? — spytał Katombo spokojnie. — Możliwe, ale sam sobie jest winien.

— Jak to?

— Chciał do mnie strzelić. Pierwszy strzał był chybiony, drugim trafił siebie samego.

W tej samej chwili nadbiegł major z Gollwitzem i Sanfordem. Gdy zobaczył obcego, cofnął się o krok ze zdziwienia.

— Nurwan Pasza! Witam, ekscelencjo, chociaż nie mogę panu zaoferować dachu nad głową. Nie tylko mój dom, ale mój cały majątek pożerają płomienie. Wybacz pan, że w tym momencie nie mogę panu poświęcić uwagi tak, jakbym chciał. Pełen trwogi szukam mojej córki, nigdzie jej nie możemy znaleźć.

— Była na dole we wsi — odezwał się Karavey — i pewnie tam została. Strach działa paraliżująco na kobiety.

— To mnie w pewnym stopniu pociesza. Kto tutaj leży?

— Człowiek, którego spotkałem w zaroślach — odpowiedział Katombo.

— Jak się tutaj znalazł?

— Kiedy ujrzałem ogień i zacząłem biec, zostawiając mój powóz, wydał mi się podejrzany. Strzelał do mnie, a gdy się z nim mocowałem, strzelił sobie w oko. Nie żyje.

Major pochylił się.

— Hartmann! — zawołał zaskoczony.

— Pan go zna, panie majorze?

— Tak. To mąż mojej ochmistrzyni. Po opuszczeniu więzienia przyszedł do nas, ale musiał opuścić zamek. To on jest sprawcą, jak przypuszczam.

— Przeszukajmy go! — powiedział Gollwitz.

Uklęknął, i przeszukał kieszenie zmarłego. W bocznej kieszeni marynarki znalazł zawiniątko, które otworzył.

— Pieniądze! Banknoty! Panie majorze, proszę sprawdzić!

Helbig przeglądał pospiesznie asygnaty państwowe i banknoty.

— To moje pieniądze! — wołał. — Mam zwyczaj zaznaczać moim nazwiskiem róg każdej większej asygnaty kasowej. Proszę tu przeczytać! Także i ta kwota się zgadza. Ten człowiek był rzeczywiście sprawcą!

— Przynajmniej pana majątek się uratował! — stwierdził Fred.

— Jednak została zniszczona biblioteka i niejedno ważne pismo. Panie von Gollwitz, proszę pospieszyć do wsi, może uda się panu znaleźć Magdę. Obecność Gerda na pogorzeliisku jest jeszcze niezbędna.

Gollyvitz spełnił tę prośbę. Po drodze spotkał sikawki strażackie z wielu sąsiednich wsi, które nadjeżdżały z opóźnieniem. Płomienie tworzyły jeden potężny słup, sięgający chmur i pokrywający niebo gęstym, czarnym dymem. Osmalał zbliżających się do niego na odległość wielu kroków i oświetlał całą okolicę.

Gdy Fred dotarł do wsi, mieszkanie chałupnika było już kompletnie spalone. Tylko pojedyncze, małe ogniki lizały jeszcze mur wokół obejścia. Obydwa sąsiednie domy pozostały niezniszczone. Ponieważ nie mieli się już tutaj czego obawiać, większość mieszkańców wsi udała się na zamek. Tu było tylko kilka osób.

Fred pytał każdego napotkanego o zaginioną córkę majora, ale nikt nie potrafił udzielić mu informacji. Szedł od domu do domu, od majątku do majątku i zastawał tam starego dziada lub słabą staruszkę, których wypytywał, ale musiał wrócić z niczym.

Dopiero po opuszczeniu wsi natknął się na jedną kobietę wracającą z zamku, gdzie była razem z dziećmi.

— Stój, kobieto! Czy widziała pani może dzisiaj wieczorem wielmożną panienkę?

— Tak. Najpierw była we wsi, a potem pobiegła z nami na zamek, kiedy się zaczął palić.

— Jest pani tego pewna?

— Tak. Najpierw szła przede mną. Z powodu wielkiego tłoku skręciła potem w prawo, na łąki.

— Dziękuję!

Pospieszył dalej i zastał wszystkich mieszkańców zamku i ich gości w jednej grupie, gdyż stłumienie pożaru było niemożliwe.

— Znalazł pan? — spytał major.

— Gdyby tak było, nie wróciłbym bez niej.

— A więc zniknęła! Mój Boże, gdzież ona może być?

— Pańska córka wracała ze wsi do zamku i tam w dole przy krzakach poszła przez łąkę, co mi powiedziała pewna kobieta, która ją obserwowała.

— To w takim razie wszystkich wyprzedziła i weszła do wnętrza zamku.

— Magda się spaliła! — biadała Freja.

— Proszę się uspokoić! — poprosił Gerd — Kobieta nie potrafi iść tak szybko, jak ja z papą. A myśmy byli tutaj pierwsi, więc musielibyśmy ją zauważyć.

— Może po drodze zemdląca i gdzieś tam leży — odezwał się major. — Chodźcie jej szukać!

W tej samej chwili pojawił się woźnica Nurwana Paszy. Widać było, że krwawił.

— Co ci się stało? — spytał Pasza.

— Ugodził mnie nożem mężczyzna przejeżdżający krytym powozem obok mnie.

— Jak to się stało?

— W połowie wzniesienia, tam w górze, spotkałem powóz, a ponieważ droga była wąska i stroma, zszedłem z kozła, ten drugi furman też, aby przytrzymać konie. Właśnie, gdy go chciałem minąć, ktoś z tamtego powozu zawołał o pomoc.

— Niech to wszyscy diabli! — zawołał Gollwitz. — Co to był za głos? Męski czy kobiecy?

— Kobiecy. Myślę, że kobiecy. Ale nie mogłem tego rozróżnić, gdyż głos charczał, po czym ucichł. Usta wołającego zostały przytkane lub zakneblowane.

— Co uczyniłeś?

— Kazałem woźnicy zatrzymać się. Gdy nie posłuchał, chwyciłem go. Mocowaliśmy się. Ugodził mnie nożem w ramię, a potem otworzyły się drzwi powozu i wysiadł ten drugi, który mi zadał cios z tyłu, co mnie nieprzytomnego powaliło na ziemię. Kiedy się ocknąłem, ich już nie było.

— Jak długo leżałeś?

— Tego nie wiem. Wygląda na to, że trwało to długo.

Słuchający wpatrywali się w siebie.

— Natychmiast musimy jechać za nimi! — rozkazał major.

— Stójcie, nie róbmy niczego pochopnie! — poprosił Pasza. — W takich sprawach lepsze jest zachowanie zimnej krwi, niż podniecenie. Ciężar, który widziałem, mógł być ciałem ludzkim, ale taki czyn byłby w tym kraju czymś niesłychanym. Któż mógł porwać tę kobietę?

— Tak, kto? — spytał także Helbig.

— Zwykły człowiek w każdym razie nie. — odezwał się Pasza. — Czy ma pan w okolicy jakiegoś wroga, panie majorze?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Nikogo nie obraziłem.

— Ale ja tak. — wtrącił Gerd — Jednak taką zemstę uważam za niemożliwą. To nie mógł być on.

— Kto?

— „Szalony hrabia”.

Pasza aż podskoczył, słysząc te słowa.

— Czy „szalony hrabia” był tutaj?

— Tak dzisiaj.

— I pan go obraził?

— Tak. Wychłostałem go.

— Z jakiego powodu?

— Zachował się jak łotr w stosunku do Magdy, w parku.

— Na Boga, to prawdopodobnie on. — zawołał Pasza — Ale jak on się spotkał tutaj z tym zmarłym?

— Musiał go spotkać po drodze.

— Ale z przypadkowo poznanym człowiekiem nie omawia się tak niebezpiecznego planu.

— Mogli się znać jeszcze z dawnych czasów, z Fallum.

— A to co innego. Hrabia też chyba wiedział, że ten Hartmann siedział w więzieniu i widział w nim faceta, który mu posłużył za narzędzie.

— Natychmiast musimy za nim ruszyć w pogoń! — powtórzył major.

— Poczekajmy jeszcze kilka chwil! — prosił Gollwitz — Będzie lepiej, jeżeli nabierzemy co do tego pewności!

— No to nam ucieknie!

— Porywacz pańskiej córki tylko wówczas nam ucieknie, gdy będziemy działać zbyt gwałtownie. Proszę zdać się na mnie! Tam za wodą, na preriach Ameryki Północnej dogoniliśmy już niejednego faceta. Najpierw musimy się przekonać, czy się nie mylimy. Ta młoda kobieta może przecież leżeć tam w dole.

— W takim razie musimy szybko szukać! — zawołał major i chciał się oddalić.

— Stać! — nakazał Gollwitz. — Nie możemy zatrzeć śladów Wszystkich proszę o pozostanie tutaj. Tylko Bill Sanford będzie mi towarzyszyć. On zna się na śladach. Uratował pan konie?

— Tak. Także prawie całe bydło jest zabezpieczone.

— To proszę nam przygotować dwa konie. Niebawem wrócimy.

Dwaj jeźdźcy prerii poszli. Kroczyli w dół ku wsi drogą, której pobocze wyraźnie obserwowali. Jasność jaką ogień roztaczał, umożliwiła im rozpoznanie nawet najmniejszego przedmiotu. Fred zatrzymał się naprzeciwko zarośli.

— To tutaj! — odezwał się, wskazując na podeptaną trawę. Pochylili się ku ziemi, aby zbadać ślady.

— Mała damska stopa — stwierdził Bill. — To właściwy trop prowadzi tu na prawo, zupełnie tak, jak powiedziała ta kobieta. Chodź!

Szli powoli dalej, Fred przodem. Gdy minęli krzaki, przystanął.

— Do wszystkich diabłów, tutaj są jeszcze inne stopy! Trawa jest dosłownie stratowana.

— Ilu osób?

— Zobaczymy!

— Dwóch mężczyzn! — zdecydował Sanford. — Tutaj za tym krzakiem stali i czekali.

— A tędy z prawej strony zbliżali się ukradkiem — przytaknął Fred.

— Zbadamy, skąd przyszli? — spytał Bili.

— Nie. To byłoby bezcelowe. Musimy tylko tropić te ślady, które stąd dalej prowadzą. Popatrz, tutaj ci dwaj napadli na nią, a tutaj urywa się trop małej stopy.

— Niesiono ją.

— Tak, i teraz już nie wątpię, że są to dwaj mężczyźni, których spotkał Pasza. Chodź dalej! Z łatwością stąpali śladami, aż do tego miejsca, gdzie Pasza natknął się na porywaczy.

— Stój! — powiedział Fred. — Dalsza strata czasu nie jest wskazana. To oni. Wracajmy na zamek!

Po dziesięciu minutach od chwili odejścia byli ponownie na zamku. Helbig wyszedł im kawałek naprzeciw.

— No? — spytał z napięciem i trwogą.

— Proszę się nie przerazić, panie majorze — odpowiedział Gollwitz. — Pańska córka została rzeczywiście porwana.

— Wobec tego ścigajmy ich!

Chciał się rzucić na konia, ale Fred mu w tym przeszkodził.

— Panie majorze, proszę, niech pan tu jeszcze pozostanie? Musimy się zastanowić.

— Do diabła z pana zastanawianiem się! Ten facet nam tymczasem ucieknie!

— Nie ucieknie nam. Ale powóz będzie ścigać tylko dwóch mężczyzn, a pan pozostanie tutaj!

— Ja? Dlaczegoż to?

— Pan jest tutaj, na pogorzelsku bardziej potrzebny, aniżeli ktokolwiek inny.

— Mam swego zastępcę.

— Być może. Ale żeby szukać pana córki, musimy się podzielić, a będzie nam potrzebny ktoś będący łącznikiem, przez kogo będziemy się mogli porozumiewać.

— Podzielić? Po co?

— Dotychczas wiemy tylko, że panienska znajduje się w rękach jakiegoś mężczyzny, ale kim jest ten człowiek, tego nie wiemy.

— To jest hrabia!

— Tego się tylko domyślamy, ale nie możemy, przysiąc. Jak daleko jest stąd do granicy?

— Szybкими końmi trzy godziny.

— Jak się nazywa miejscowość przygraniczna?

— Wiesenstein.

— Czy droga, którą Pasza przybył, prowadzi tamtędy?

— Tak, o ile po godzinie drogi stąd, na rozwidleniu, pójdzie się w prawo.

— No dobrze, to proszę wysłuchać mego planu, który nas z pewnością zaprowadzi do celu! Jeżeli rzeczywiście hrabia jest porywaczem, to będzie się starał jak najszybciej dotrzeć do granicy. Więc dwóch mężczyzn pojedzie za nim do...

— Ja to zrobię — przerwał mu Helbig.

— Nie! Pan pozostanie tutaj! Do tego pościgu nadają się ludzie znający się na śladach i tropach. Sam się tym zajmę, a mój przyjaciel Sanford będzie mi towarzyszyć.

— Nie znacie tutejszych dróg.

— To nie ma znaczenia. Na preriach wcale nie ma dróg, a mimo to zawsze trafialiśmy. Pozostaję przy tym, że ja i Bill jedziemy! Ktoś pójdzie tymczasem do pana von Uhle i dowie się o okoliczności, w jakich go hrabia opuścił. Może się tam przecież jeszcze znajdować. O rezultacie tej wizyty powiadomi mnie pan telegraficznie do Wiesenstein.

— Na jaki adres?

— Sanford — poste restante. Ale proszę zredagować telegram ostrożnie! Czy stąd prowadzą jakieś ścieżki do granicy?

— Tak.

— Musimy się ich trzymać. Ale kto zna te kręte ścieżki?

— Ja — zgłosił się Karavey.

— Ja — odpowiedział Nurwan Pasza równocześnie.

— Pan, panie hrabio? — spytał Fred, w skrytości ducha zadowolony, ponieważ dużo słyszał o jego energii. — Chyba nie będzie chciał, wziąć udziału w pościgu?

— Dlaczegoż by nie? Ani mi w głowie rozstawać się z moim przyjacielem Karaveyem, którego całe lata nie widziałem. A jeśli się okaże, że za tym kryje się hrabia, będę musiał z nim poważnie porozmawiać. Nosi to samo nazwisko co ja, więc nie może mi być obojętne, jeśli ktoś stale przynosi temu nazwisku hańbę.

— Ale czy dla pana po długiej podróży nie będzie to za dużo, jeśli...

— Wcale nie. Wprost przeciwnie, cieszę się na ten marsz. Czy chce pan nam może powiedzieć, jak się mamy zachować?

— Nie. Będziecie się musieli dostosować do okoliczności. Czy dużo czasu potrzebują panowie na przygotowania?

— Natychmiast wyruszamy — objaśnił Katombo.

— Ale...

— Już dobrze. Proszę się o mnie nie martwić! Odszedł dużymi krokami, a Karavey podążył za nim.

— Potężny mężczyzna! — odezwał się Fred z uznaniem. — Teraz potrzebuję jeszcze dwóch.

— Po co? — spytał major.

— Hrabia mianowicie, jeżeli to rzeczywiście on, ma bądź co bądź znaczną przewagę. Przynajmniej godzinę. Więc jest możliwe, że nie dogonimy go przed granicą. Czy pan porucznik ma długi urlop?

— Jak długo zechcę.

— Niech się uda ze swoim ojcem jak najkrótszą drogą do Himmelstein i dokładnie obserwuje zamek. Jeśli hrabia nam ucieknie, to na pewno tam. Więc pan, panie majorze, zostaje tutaj, aby nam przekazywać ewentualne wiadomości, dopiero wówczas pan wyruszy, kiedy pana zawezwiemy. Żegnamy!

Przyprowadzono oba konie. Fred dosiadł jednego, a Sanford uczynił to samo. Po chwili obaj jeźdźcy zniknęli.

Podenerwowana reszta towarzystwa została.

— Kto odwiedzi pana von Uhle? — spytał Gerd.

— Ja sam. — powiedział major — Ty i twój ojciec możecie mi towarzyszyć, ponieważ droga, którą macie jechać, prowadzi właśnie tamtędy i w ten sposób unikniemy zbędnej straty czasu.

— Chcecie nas zostawić? — westchnęła Freja.

— Kunz przecież zostaje.

— Kunz? On nie jest opiekunem kobiet.

— Myśli pani, że ją pożrę? — spytał ordynans.

— No słyszysz! — jęczała Zilla.

— To okrutnik! — skarżyła się Wanka.

— On nas zadreńczy na śmierć! — narzekała Freja.

— Idźcie do wsi, do pani pastorowej! — zdecydował major. — Tam będziecie bezpieczne i możecie na mnie poczekać. Tu już nikt niczego więcej nie zrobi. Wszyscy jesteśmy zbyt tacy, ogień musi się spokojnie dopalić.

Przez godzinę droga prowadziła przez las, potem opadała w głęboką dolinę, gdzie znajdowała się posiadłość pana von Uhle. Na skutek tego odosobnienia nikt tutaj nie zauważył ognia. Dzień zaczął świtać, ale wszyscy jeszcze spali głębokim snem, tak że przybyli musieli pukać.

Zarządca wstał i gdy rozpoznał majora, otworzył.

— Pan von Uhle jeszcze śpi? — spytał.

— Tak.

— Proszę go obudzić!

— Natychmiast? Proszę wejść do salonu, panie majorze!

Major wszedł i zaraz pojawił się pan von Uhle, zdziwiony tą niespodziewaną wizytą.

— Proszę wybaczyć, że przeszkadzamy — rozpoczął major po krótkim powitaniu. — Czy hrabia Hohenegg już odjechał?

— Tak. Odjechał swoim powozem.

— Był pan z nim u mnie. Czy wrócił tutaj w pana towarzystwie?

— Nie. Szliśmy kawałek razem. Potem spotkaliśmy jakiegoś żebraka, z którym się chwilę zatrzymał.

— O której przyszedł?

— Mniej więcej po trzech godzinach.

— Z tym żebrakiem?

— Bez niego.

— Proszę nam opisać tego włóczęgę!

— Mógł mieć z pięćdziesiąt lat i wyglądał na zmęczonego. Ubrany był w szare spodnie, potarganą czarną marynarkę. Na głowie miał brązową czapkę z szerokim daszkiem. Jego twarz...

— Wystarczy. Zgadza się.

— Co?

— Ten człowiek podpalił mój zamek, a wcześniej mieszkanie jednego chałupnika w Helbigsdorfie.

— Jestem przerażony. Ale pana obecność mówi mi, że niebezpieczeństwo już minęło.

— Moja obecność świadczy o tym, że wszystko stracone.

— Na miłość Boską, panie majorze, co to ma znaczyć?

— Że mój zamek się jeszcze pali. Nie uratowałem niczego oprócz bydła.

— Pozwoli pan, że natychmiast każę zaprzęgać!

— Proszę to uczynić, ale postarać się o dwa powozy; jeden dla siebie i dla mnie, drugi dla tych panów, którzy muszą pojechać w góry.

— Czy są jakieś ofiary w ludziach?

— Nie. Ale moja córka zniknęła.

— Ach? — Uhle przeraził się. — Bez śladu?

— Nie. Jesteśmy na jej tropie.

— Dokąd prowadzi?

— Tam, dokąd udają się ci panowie.

— Zabiorę ze sobą kilku parobków! — powiedział właściciel majątku.

— Proszę i to uczynić! Wprawdzie nie można już niczego uratować, ale pomoc nam się przyda.

Uhle opuścił pokój.

— To był hrabia! — odezwał się major.

— Bez wątpienia! — zawołał Gerd. — Papo, chciałbym, żeby nie spotkali hrabiego na granicy.

— Dlaczego?

— Żeby mi upadł w ręce na zamku Himmelstein. Zmiażdżę tego hultaja.

— Pragnę mieć moje dziecko tak szybko, jak to tylko możliwe. Pomyśl, jak Magda cierpi w towarzystwie tego drania!

— Biada mu, kiedy go spotkam.

— Opanuj się, mój synu! Czynię to też jako ojciec, chociaż gniew chciałby mną zawładnąć.

Już po kilku minutach wyjechały z majątku, w przeciwnym kierunku dwa powozy, jeden w góry, drugi do Helbigsdorfu. Po przybyciu na miejsce, major zastał doszczętnie spalony zamek, tylko mur się ostał, ale stale jeszcze unosiły się płomienie, ponieważ wielka ilość powalonego drewna była dla nich przebogata strawą. Siostry Helbiga znajdowały się u pastora, ale gruba pani Barbara krzątała się dzielnie u boku kowala, który z zarządcą i Kunzem nadzorował ludzi, męczących się, aby tu i tam wyrwać żarłocznemu ogniewi jakiś drobiazg.

Już wczesnym przedpołudniem nadeszła z tutejszej małej stacji telegraficznej wiadomość, o następującej treści:

Skręcili nie do Wiesenstein, lecz w lewo. Jesteśmy na tropie! Wkrótce dalsze wiadomości.

Sanford.

ŚMIERĆ LILGI

Bardzo wysoko w górach, tuż nad granicą, w środku głębokiego lasu i w bok od drogi ciągnącej się wzdłuż granicy, leżała duża hala, na której stał mały domek zamieszkiwany przez starego Tirbana.

Przed domkiem, na wiązce chrustu, siedziała ludzka postać, robiąca niesamowite wrażenie. Ubrana była w jaskrawo czerwoną spódnicę, starą, brudną koszulę, a na głowie miała turban zrobiony z żółtej chusty. Nagie ramiona i nogi pozostawały bez okrycia, słońce opaliło je na brązowo. Jej rysy, od czasu, kiedy spotkaliśmy ją przed dziesięciu laty na górskiej drodze, postarzały się i wydawały się tak ostre, niczym wycięte nożem. Kobieta miała zamknięte oczy, ale nieustająca gra min zdradzała, że jej dusza stale pracuje.

Wtem wyszedł z chaty jakiś mężczyzna, podpierający się laską. Był bardzo niski i jeszcze chudszy od kobiety. Miał malutkie, głęboko osadzone oczy, podbródek mocno zakrzywiony ku górze, a nos tak zakrzywiony ku dołowi, że niemalże dotykały się. Błądził wzrokiem po polanie, a potem spojrzał na kobietę.

— Lilga! — zabrzmiało głucho z jego bezzębnych ust. Nie odpowiedziała.

— Lilga!

Także i teraz milczała. Oczy miała nadal zamknięte, ale powolny ruch jej ręki oznaczał, że usłyszała swe imię.

— Lilga, ja idę — powiedział po raz trzeci.

Podniosła głowę trochę w górę.

— Idziesz? Wszystko odchodzi: słońce, gwiazdy, lata, dni, godziny, kwiaty i ludzie. Tak, idź, Tirbanie, ja też odejdę.

— Chcesz iść ze mną?

— Z tobą? Nie. Mój czas jeszcze nie nadszedł. Dopiero wtedy będę mogła iść, kiedy go jeszcze raz zobaczę.

— Ja tak nie uważam. Idziesz ze mną do lasu?

— A co miałabym robić w lesie, jeśli nie mam tam tego, kogo oczekuję?

— Szukać ziół, Lilgo.

— Ziół? Po co? Żeby leczyć chorych? A co im to pomoże? I tak muszą umrzeć, wcześniej albo później.

— Również zebranie jest w lesie...

Na krótką chwilę podniosła teraz powieki.

— Zebranie? Kogo?

— Twoich. Ty jesteś przecież królową, a dzisiaj jest piątek!

— Moich? Gdzie oni są? Poumierali i nie potrzebują mnie. A ten, który mnie potrzebuje, jest daleko na morzu. Może pochłonęły go fale — odszedł.

Wtem rozchylił się krzak naprzeciwko nich. Dwóch mężczyzn weszło na polanę i kroczyli w stronę domu. Pierwszy z nich zatrzymał się i spojrzał ostro na dwie postacie przy chacie. Teraz zbliżył się szybkimi krokami.

— Lilga! — zawołał, wyciągając ręce.

Podskoczyła gwałtownie w górę. Jej oczy otworzyły się szeroko, a głos zabrzmiał radośnie:

— Karavey, bracie!

Chwilę później padli sobie w ramiona, a radość spotkania tak osłabiła Lilgę, że musiał ją z powrotem posadzić na wiązce chrustu.

— On jest tutaj! — wyszeptała. — Teraz mogę odejść, jak gwiazdy, jak godziny i jak kwiaty.

— Bądź silna, Lilgo — prosił ją. — Spójrz na mnie!

Patrzyła długo na niego świecącymi oczyma. Jej rysy złagodniały, a promieniejąca radością twarz stała się po prostu piękna.

— Lilgo, czy nie chcesz przywitać się także z tym panem, który przybył tu ze mną?

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Karavey nie był sam. Uwolniła się z jego ramion i podniosła głowę. Przed nią stał okazały mężczyzna z czarną brodą i wąsami, w których tylko gdzieś połykiwały srebrne włosy. Poznała go natychmiast.

— Katombo! Ty też tu jesteś? Także ty! Och co za radość na sam koniec!

Hrabia serdecznie uściśnął jej ręce i spojrzał głęboko wzruszony na to niegdyś tak piękne oblicze, na którym lata zapisały się tak ostrym, bezlitosnym śladem. Jak on kiedyś kochał tę istotę! I jakże ona go w tej miłości zawiodła! Ale także jak strasznie została za to ukarana?

— Lilgo, nie mów tak! — prosił, a jego głos brzmiał niesłychanie miękko. — Będiesz jeszcze żyć wiele lat.

— Tak, Lilgo! — wtrącił się Karavey. — Chodź ze mną i dziel moje radości? Jestem bogaty i chcę ci upiększyć schyłek życia!

Pomału zaprzeczyła głową.

— Nie uczynię tego. Lilga nie opuści lasu i będzie spoczywać tu, gdzie żyła. Prosiłam boginię, aby mi pozwoliła poczekać na ciebie. Dzisiaj przybyłeś i dzisiaj ona mnie do siebie powoła. Podaj mi rękę, odchodzę.

— O panie! — szlochał Tirban. — Porozmawiaj z moją panią! Od dzisiaj jest jakaś inna. Mówi tylko o odejściu i jakoś dziwnie przemawia.

— Lilgo, musisz przy mnie pozostać. Nie możesz mnie opuścić. Potrzebuję cię.

— Mnie? Co mam uczynić?

— Masz rozkazać swoim ludziom, aby nam pomogli.

— Chcesz pomocy? Co się stało?

— Szukamy „szalonego hrabiego”. Teraz zaczęła słuchać z uwagą.

— Jego? Gdzie był? Co zrobił?

— Był w Helbigsdorfie i podpalił zamek, aby uprowadzić córkę majora.

— Uprowadzić? Ją? Tę gołąbeczkę? On, ten sęp? Udało mu się?

— Tak. Uciekł z nią powozem. Sądziliśmy, że przekroczy granicę w Wiesenstein i wysłaliśmy za nim dwóch dzielnych mężczyzn, ale ja z Katombo pospieszyłem do ciebie, żebyś kazała obsadzić też inne drogi.

W oczach Lilgi pojawiła się iskierka i wyprostowała się, jak za dawnych czasów. Nagły przyływ siły odmłodził ją o dwadzieścia lat.

— Chodźcie! Szybko!

Zdecydowanym krokiem przemierzała polanę, oni szli za nią. Weszła w las, nie zważając na konary i gałęzie, które były ją po twarzy, aż dotarli do wąskiego jaru, w którym siedziało dwunastu mężczyzn, mających cygańskie rysy. Na jej widok podnieśli się.

— Wy, mężowie Boinjarów, czy macie przy sobie broń? — spytała.

— Tak.

— To chodźcie za mną! Będzie wielkie polowanie.

Skierowała się znowu do lasu, a pozostali kroczyli za nią. Nie było w niej ani śladu uprzedniego zmęczenia.

Raźnym krokiem szła przeszło kwadrans, aż dotarli do miejsca, gdzie nizinna ścieżka rozwidlała się. Tutaj zwolniła kroku i zwróciła się do Karaveya.

— Jeżeli nie przejeżdżał przez Wiesenstein, to musi przejechać tędy — odezwała się. — Obstawimy...

Przerwała, gdyż w tej samej chwili dał się słyszeć turkot szybkich kół i zaraz potem ukazał się powóz zaprzęzony w dwa konie. Jeden z Cyganów wychylił się trochę przez nieostrożność, a woźnica zauważył go, odwrócił i zapukał w przednie okno powozu. Natychmiast otworzyły się drzwi z jednej strony i ukazała się głowa, która przenikliwym spojrzeniem lustrowała okolicę.

— Ach, Lilga! — zamruczał, a potem dodał półgłosem — Woźnica, napad! Jechać szybko, jak się zbliżą!

To był hrabia. Przed nim siedziała Magda. Ręce miała związane, a usta zakneblowane chustką, tak że nie mogła wołać. Ale gdy usłyszała słowa hrabiego, oczy jej zaświeciły radosną nadzieją. Zauważył to i uśmiechnął się szyderczo.

— Nie martw się, skarbie! — odezwał się. — Nie przeszkodzą nam w naszej słodkiej schadzce, gwarantuję ci to.

Wyciągnął z kieszeni dwustrzałowy pistolet. Był to najwyższy czas, ponieważ właśnie Lilga pojawiła się między drzewami, a za nią Cyganie z Karaveyem i Katombo. Nie wiedzieli, czy mają przed sobą właściwy powóz, ale ona podeszła do przodu i podniosła kij.

— Stać! — rozkazała.

Ten uderzył konie. Ze wszystkich sił pociągnęły do przodu. W tej samej chwili padły z otwartych drzwi powozu dwa strzały. Lilga i jeden z Cyganów padli na ziemię, a powóz pognął z taką szybkością, że trudno byłoby go dogonić.

W ogóle zresztą nie myślano o tym, ponieważ wszyscy pochylili się nad Lilgą, którą kula trafiła w pierś. Cyganowi kula tylko zraniła nogę. Karavey i Katombo klęczeli obok niej, aby zbadać obrażenie. Miała zamknięte oczy i nie poruszała się. Jakby już nie żyła.

— Lilga! — zawołał jej brat. — Odezwij się! Ty żyjesz jeszcze!

Oczy miała w dalszym ciągu zamknięte, ale odpowiedziała:

— To był on.

Jej głos brzmiał cicho, jakby gasł.

— Kto? Hrabia? Rozpoznałaś go?

— Tak.

— Odpokutuje to!

Nagle oparła rękę o ziemię i próbowała się podnieść. To jej się nie udało. Ponownie osunęła się, ale z jej na wpół zamkniętych oczu wydobywała się żądza zemsty.

— Tak, Karavey, krew za krew! On zabił ostatnią królową Boinjarów. Niech umrze po dwakroć i po trzykroć. Uciekł, ale ty go znajdziesz.

— Tak, Lilgo, znajdę go, przyrzekam.

Otworzyła oczy i nie mówiąc ani słowa wpatrywała się długo w obie twarze pochylone nad nią. Potem wyszeptwała:

— Karavey jest przy mnie... i także Katombo... obaj mężczyźni, których najbardziej kochałam... o, jakże łatwo jest umierać... odchodzę... jak gwiazda... jak kwiat. Bhowannie mnie woła... żegnajcie!

— Lilgo, nie wolno ci umrzeć, ty musisz żyć!

— Odchodzę! Pochowajcie mnie w lesie, pod skałami i jodłami. Tonę i znikam, jak nasz naród, bez ojczyzny, w poszumie wiatru. Żegnajcie... żegnajcie...

Jej członki wyprężyły się. Jeszcze raz otworzyła oczy na oścież, aby zgaszonym wzrokiem wessać ciemną zieleń jodeł i na zawsze zamknęła oczy. Jej brat rzucił się na nią. Jego ciało drgało z bólu, jaki go przeszywał, ale nie powiedział ani słowa. Reszta stała w milczeniu obok niego.

Wtem rozległy się szybkie kroki. Przybyli dwaj mężczyźni z rozpalonymi twarzami.

— Gollwitz? — zawołał Katombo zdziwiony — Gollwitz i Sanford! Karavey podniósł się. Na jego twarzy malowała się żelazna stanowczość.

— Hola! — zawołał Sanford. — Spotykamy się tutaj!

— Spójrzcie! Tu leży Lilga! — powiedział Katombo poważnie.

Obaj podeszli bliżej.

— Morderstwo! Kto to jest?

— Siostra naszego przyjaciela Karaveya. Zastrzelił ją hrabia.

— Do stu piorunów! On tędy przejeżdżał? Więc jednak nie myliliśmy się?

— To był on.

— Kiedy?

— Przed kilkoma minutami.

— Do stu diabłów! Deptaliśmy mu twardo po piętach.

— Gdzie macie konie?

— Jeden okulał. Zostawiliśmy je we wsi, gdyż bardziej nam przeszkadzały, niż pomagały. Szliśmy po śladach hrabiego i często musieliśmy iść przez las, by ściąć zakręty drogi, którą on jechał. Bez koni było nam łatwiej. Jak daleko jest stąd do granicy?

— Kwadrans! — odpowiedział Tirban.

— No to się nam wymknął!

— To prawda! — zabrał głos Karavey. — Ale tylko na krótko. Niebawem go złapiemy.

— Tak. Złapiemy go. Ale wy chyba nie chcecie iść z nami?

— Nie. Musimy zostać z siostrą.

— To oczywiste. Czy chcecie ją pochować

— Tak. Tutaj w lesie. To było jej ostatnie życzenie.

— Więc zostańcie, a dogonicie nas, kiedy będziecie mogli. Potrzebujemy was. Ale co pan zamierza robić, panie hrabio?

— Pójdę z wami. Ponieważ jako Hohenegg czuję się zobowiązany pomóc w złapaniu sprawcy, który nosi to samo nazwisko.

— Dziękuję panu, panie hrabio. Pana postawa przynosi nam zaszczyt. Lecz nie możemy tu dłużej przebywać, jeżeli nie chcemy stracić z oczu „szalonego hrabiego”. Czy jest pan gotów, towarzyszyć nam teraz?

— Jestem gotów, Proszę tylko pozwolić mi się pożegnać z Karaveyem i zmarłą, która kiedyś w moim życiu odegrała olbrzymią rolę!

Niebawem trzech mężczyźni podążali drogą dalej. Cyganie pozostali.

— Dokąd zaniesiemy zwłoki? — spytał Karavey.

— Do mojej chaty — odpowiedział borowy. — Tam już od dawna ma swoją trumnę.

— To pewnie w sprawie śmierci i pogrzebu wydała jakieś dyspozycje?

— Chciała zostać pochowana w jarze, dokąd nas dzisiaj zaprowadziła.

— Zrobię jej nagrobek z bloków skalnych i zasadzę na nim ciemne jodły. Ale zwłoki jej mordercy powinny się znaleźć tam, gdzie ich nikt nie odszuka. Bhowannie jest boginią zemsty. Ona mi pomoże.

Mężczyźni sporządzili nosze, na których położyli zwłoki.

Milczący pochód ruszył w kierunku leśnej chaty, przed której drzwiami Lilga jeszcze dzisiaj rano powiedziała:

Odejdą, jak słońce, jak gwiazdy, jak dni i jak godziny!

BICZ BOŻY

Trzech energicznych mężczyzn szło przed siebie, między potężnymi skałami kamienistą ścieżką górską, która prowadziła w pobliże zamku Himmelstein, a pół godziny za nim łączyła się z właściwą drogą, która wiodła przez przełęcz.

Droga była wąska i kiepska. Tylko w kilku miejscach, gdzie znajdowała się cienka warstwa ziemi, były zauważalne ślady kół, z których można było wnioskować, że tą drogą czasami jeździły wozy konne.

Było już południe, ale tutaj, między pełnymi szczelin ścianami, sięgającymi chyba wyżej niż tysiąc metrów, panował mrok. Widoczny był tylko wąski pas nieba, który z dołu, wydawał się być niewiele szerszy od linijki.

— *Heavens!* — zawołał zdziwiony ten większy z trzech wędrowców, przewyższający swych postawnych towarzyszy. — Odnoszę wrażenie, że znajdujemy się w jakimś północno — amerykańskim kanionie. I chyba bym się wcale nie zdziwił, gdyby z jakiegoś kąta wyszedł Indianin w pełnym rynsztunku wojennym. Złudzenie byłoby całkowite, gdyby nie brakowało wody. Odczuwa się brak rzeki, albo przynajmniej potoku. Też tak uważasz, Fred?

— Masz rację, stary Billu, — przytaknął zagadnięty — można się tu rzeczywiście czuć, jakby się było na Dzikim Zachodzie.

— Niech panowie poczekają jeszcze tylko pięć minut, — odezwał się trzeci, w którym Czytelnik bez trudu rozpoznał Nurwana Paszę — a życzenie się spełni. Zaraz będziemy w piekielnym wąwozie, skąd rwący potok wpada do tej doliny. Będą panowie mieli to, czego im brakuje.

— Piekielny wąwóz? — spytał zdziwiony Fred. — Znam tę nazwę. To wąwóz, w którym miał się odbyć pojedynek między moim bratem, a „szalonym hrabią”.

— Szkoda, że nie mamy czasu. Chętnie pokazałbym panom to miejsce.

— Pan się tutaj dobrze orientuje, panie hrabio?

— Och, — uśmiechnął się Katombo — w młodości dużo czasu spędzałem w tych górach.

— Dziwię się, że „szalony hrabia” zdecydował się na tak okropny krok.

— A mnie to nie dziwi. Ten gagatek, mój bratanek wybrał go, aby go nikt nie przyłapał.

— Tak i ja myślę. — powiedział Fred — Ale proszę spojrzeć zdaje się, że jesteśmy już w miejscu, o którym właśnie rozmawialiśmy. Tu, po prawej stronie, otwiera się wąwóz, a tutaj, Bill, masz też swoją Mississipi, o której... *behold!* Co tam jest?

Przerwał, gdyż jego wzrok utknął w ziemi, pokrytej w tym miejscu gęstą trawą, za przyczyną pobliskiego potoku, wpadającego z szumem z wąwozu do kanionu.

— Bill, chodź tutaj i oglądnij te ślady!

Sanford posłuchał swego przyjaciela i podszedł bliżej. Odciski w ziemi były tak wyraźne, iż badanie ich nie zajęło sporo czasu.

— Panie hrabio, pana bratanek wysiadł tutaj i nie pojechał dalej. — zdecydował Fred.

— Niemożliwe! Widać przecież, że ślady powozu prowadzą dalej.

— Ma pan całkowitą rację. Ale od tego miejsca hrabia nie siedział już więcej w wozie.

— Jak pan na to wpadł?

— To proste. Powóz się tutaj zatrzymał. To można wywnioskować po śladach kopyt, które wyraźnie odcisnęły się w miękkiej ziemi. Ale proszę podejść tu z boku! Czy widzi pan odciski dwóch męskich butów z cholewami? One są dokładnie w tym miejscu, gdzie musiały się znajdować drzwiczki powozu, a wbiły się tak głęboko, ponieważ powóz był znacznie obciążony. Czy podejrzewa pan, czemu?

— Ma pan oczywiście na myśli Magdę, córkę majora. Sam zadaję sobie pytanie, dokąd on mógł się z nią udać.

— Ja również, ale odnajdziemy go! Wygląda na to, że pana bratanek nie ma pojęcia, iż mogą go zdradzić ślady stóp.

— Gdyby wiedział, że pojedą za nim dwaj jeźdźcy prerii, którzy i tropy komara odnajdą, bardziej uważałby na siebie — zażartował Katombo.

— No, nie takie to trudne zadanie, jakie stoi przed nami. — zaśmiał się Fred. — Posłuchamy, co Bill nam powie. Chyba coś znalazł.

Sanford oddalił się tymczasem w kierunku wejścia do wąwozu i wpatrywał w ziemię. Tam zatrzymał się i pochylił. Potem wyprostował się, poszedł jeszcze kawałek dalej, po czym zawrócił.

— Ten facet wszedł do wąwozu. Tam odkryłem jego ślad.

— Ależ to po prostu niemożliwe! — sprzeciwił się Katombo. — Co on by tam robił? Stamtąd nie ma przecież wyjścia.

— To już pan musi to wiedzieć lepiej ode mnie. — odezwał się Bill spokojnie. — Ale dam się z miejsca powiesić, jeżeli się mylę. Proszę spojrzeć, tutaj... i tutaj... i tutaj! Ten sam męski but, co przedtem. Nasz mężczyzna musi być jeszcze w wąwozie, albowiem ślad prowadzi w głąb, ale nie z powrotem.

— Panie hrabio! — zwrócił się Fred do Nurwana Paszy — Jak daleko jest stąd, poprzez ten wąwóz do zamku?

— W linii prostej kwadrans.

— I mówi pan, że wąwóz jest bez wyjścia? Wygląda na to, że pana bratanek wie jednak o istnieniu jakiegoś wyjścia, inaczej wpadłby w pułapkę.

— Ja nie znam żadnego.

— A można się wspinać po śladach?

— To zupełnie wykluczone, ściany są tak spadziste, że nawet osoba najbardziej doświadczona mogłaby jedynie spróbować.

— No, zobaczymy. Jeżeli sprawa tak się przedstawia, jak pan mówi, to „szalony hrabia” wpadnie nam prosto w ręce. Naprzód! Za nim, do wąwozu!

Katombo kiwał wprawdzie głową z niedowierzaniem, że jego bratanek mógł obrać taką drogę, jednak bez dalszego sprzeciwu podążył za nimi. Było tak, jak powiedział: łupkowe ściany wznosiły się po obu stronach strumienia, wzdłuż którego wiodła wąska ścieżka, tak raptownie w górę, że szaleństwem byłaby jakakolwiek myśl, by się na nie wspinać. Tym bardziej zagadkowe wydawały im się początkowo widoczne jeszcze ślady, które potem jednak zniknęły. Na kamienistym podłożu nie odbijały się żadne odciski.

Ścieżka prowadziła najpierw łagodnie, ale stale pod górę i człowiek nie cierpiący na zawroty głowy mógł nią spokojnie wędrować. Głęboko w dole potok szumiał swą dziką pieśń, a wysoko w górze ściany zdawały się dotykać. Czasem nachylały się ku sobie w ten sposób, iż ci trzej mieli wrażenie, że maszerują we wnętrzu ziemi. To, co ich otaczało było straszne, a zarazem romantyczne. Tego wrażenia nie mogli się pozbyć.

— Teraz rozumiem, — powiedział Fred — dlaczego ten wąwóz określają mianem „piekielny”. Tutaj naprawdę jest strasznie. Nie zdziwiłbym się wcale, gdybym zobaczył diabły lub demony, przemykające w mrocznej gmatwaninie skał i odłamków.

— Proszę przyjść tu kiedyś o zmroku. — powiedział hrabia — Wówczas jest jeszcze straszniej, kiedy tam w górze okna błyszczą jak złoto, a nad zamkiem unosi się korona z promieni. Wtedy człowiekowi rzeczywiście wydaje się, że z głębokiego piekła spogląda w górę, prosto w środek wspinałego nieba.

— Czy widać stąd zamek?

— Stąd jeszcze nie, dopiero tam dalej w przedzie, gdzie się kończy ścieżka. Będziemy tam za pięć minut.

Jeszcze nie upłynął podany czas, jak ściany cofnęły się i droga dochodziła do małego, płytkiego zbiornika, o średnicy może stu kroków. Zbiornik ten nie miał brzegów. Czarne ściany bezpośrednio z wody wznosiły się na wysokość dobrych stu pięćdziesięciu metrów i nadawały jej powierzchni bardzo ciemnego, prawie czarnego zabarwienia. Na lewo w górze, z zawrotnej

wysokości, spoglądały w dół mury zamku Himmelstein, a w tyle potok spadał w przepaść swymi licznymi huczącymi kaskadami, z których ta ostatnia, najniższa, była równocześnie najwyższą i najszerszą.

Całość sprawiała tak okropnie ponure wrażenie, że Fred, który nie mógł się powstrzymać, zawołał:

— Na Boga, toż to jak z „Piekle” Dantego! Tak, dokładnie tak wyobrażam sobie smolne jezioro, w którym sprzedajni karani są wiecznie za swe grzechy, a ten zamek, tam na górze, widziany stąd, nie powinien się nazywać Himmelstein, „Niebieski Kamień” lecz Hollenstein, „Piekielny Kamień”, gdyż naprawdę wygląda tak, jakby zamieszkiwał go książę piekła, w celu doglądania dusz znajdujących się w tym jeziorze.

— Ach, co tam, smolne jezioro! — mruczał Bill, który nie miał pojęcia o Dantem. — Powiedz mi lepiej, gdzie zniknął szalony hrabia!

Te prozaiczne słowa przyjaciela pozwoliły Fredowi wrócić do rzeczywistości. Badawczo powiódł wzrokiem dokoła i zauważył zdziwiony:

— No rzeczywiście! Dokąd on mógł pójść? Wprost możnaby przypuszczać, że to jakaś nieczysta sprawka.

— A czy nie mówiłem od razu, że nie mógł wybrać tej drogi? — spytał Katombo. — Jakby miał dostać się stąd na zamek? No, chyba że miał balon do dyspozycji?

— Albo diabeł, o którym mówił Fred, użył mu swych skrzydeł — mruczał gniewnie Bili. Gollwitz kiwał bezradnie głową.

— Sam byłbym skłonny uwierzyć, że się mylimy. Ale te ślady! Były tak widoczne w trawie, jak litery w Biblii.

— Zawsze uważałem się za *westmana* i to wcale nie najgorszego, — powiedział Bill — a teraz tak nas wystrychnięto na dudka. *Greenhorn*, po raz pierwszy trafiający na ślad, nie byłby bardziej bezradny, niż my.

— Nie bądźcie z tego powodu zagniewani! — uspokajał Katombo — Ta pierwsza próba nie powiodła się, musimy zabrać się za to inaczej. Udam się teraz na zamek i przeprowadzę poważną rozmowę z moim bratankiem. Musi mnie wysłuchać.

— Pan chce tam iść? — spytał Fred — Jak długo musi się pan wspinać na zamek?

— Dobrą godzinę.

— To mógłby pan, licząc od tej chwili, wrócić gdzieś za trzy godziny?

— Z pewnością. Ale czy panowie nie zechcą mi towarzyszyć?

— Zostają tutaj. — oświadczył zdecydowanie Fred — Mam przeczucie, że gdzieś tutaj musi znajdować się ukryte dojście do zamku.

— A ja nie ruszam się w ogóle z tego miejsca. — upierał się Bill — Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem bardziej wyraźnych śladów i muszę koniecznie zgłębić tę tajemnicę. Ale proszę nic nie mówić bratankowi, że nie jest pan sam!

— Proszę się nie obawiać. Wiem, jak mam się zachować. Mam nadzieję, że nie będą się panowie nudzić podczas mojej nieobecności.

Po tych słowach Nurwan Pasza powrócił na drogę, która doprowadziła ich do jeziora. A obaj przyjaciele usiedli i wyciągnęli swój prowiant, bowiem po długim marszu bardzo zgłodnieli.

* * *

W wielkim narożnym pokoju zamku Himmelstein siedział, odpoczywając wygodnie w fotelu, „szalony hrabia”. Zdążył już zmienić ubranie podróżne na domowy strój. Obok niego na krześle stały resztki obfitego obiadu, którym się raczył. Sądząc po minie, był w wyśmienitym humorze. Czasem wybuchał głośnym śmiechem, szczerze ubawiony. W końcu nacisnął dzwonek.

Wchodzącemu służącemu kazał wynieść potrawy i zawołać kamerdynera. Po kilku minutach wszedł Geissler.

— No, stary przyjacielu, czy wypoczęliście już po trudach podróży? Prawda, że podróż, choć z kilkoma przeszkodami, była urocza? Ale co się z wami dzieje? Nie jesteście chyba w szczególnie dobrym nastroju.

— Oczywiście ma pan rację, łaskawy panie! Czuję się bardzo nieswojo. A jeżeli cała historia wyjdzie na jaw? Nie powinien pan wtajemniczać w to wszystko tego więźnia!

— Bzdury! — zaśmiał się hrabia — Zbyt się boicie. Geissler. A któżby mógłby nam coś zarzucić? Nawet gdyby tego Hartmanna złapano, wcale nam to nie zaszkodzi. Wszystkiemu zaprzeczymy. Najważniejsze, że udało nam się bez świadków przywieźć tę dziewczynę na zamek. To dobrze, że mój ojciec kazał wtedy uruchomić to stare, zupełnie zapomniane urządzenie.

— No tak, panie, ale tym razem było tego, jak na jeden raz za dużo. Pożar, uprowadzenie, zajście z Cyganami, cios, jaki zadałem obcemu woźnicy w ramię, to wszystko...

— Przestańcie, Geissler! Jesteście starym pechowcem, a dzisiaj naprawdę nieznośnym. Ja się ani w połowie tak nie martwię, jak wy. Powiedzcie mi lepiej, czy wasza żona przygotowała już te dwa pokoiki w wieży?

— Na rozkaz, panie hrabio, wszystko jest w porządku.

— A dziewczyna?

— Płacze, lamentuje i stale wzywa ojca i jakiegoś Gerda.

— No, wyobrażam sobie — szydził hrabia. — Ale to tylko tak na początku. Z czasem obłaskawimy tę laleczkę.

— A jak nie będzie posłuszna?

— Wtedy pójdzie do lochu.

— Proszę wybaczyć łaskawy panie, to będzie niemożliwe.

— Dlaczego nie?

— Jest tylko jedna kamienna komórka, i niestety zajęta. Ostatni więzień jeszcze nie umarł.

— Jeszcze nie! Wygląda na to, że żyje mu się wspaniale!

— Co to, to nie. Ale był bardzo zdrowy, a ja nie chcę mieć morderstwa na sumieniu.

Hrabia zaśmiał się złośliwie.

— Tak, wiem, że macie wyjątkowo delikatne sumienie. A teraz już idźcie! Nie chcę psuć sobie humoru waszą skwaszoną miną.

Ledwo drzwi zamknęły się za kamerdynerem, gdy wszedł ponownie i wręczył hrabiemu wizytówkę.

Wilhelm hrabia von Hehenegg. Hohenegg! Kto jeszcze poza mną nosi to nazwisko? Prawda, to przecież ten wspaniały kapitan korsarzy, który zniweczył plany mego ojca i pozbawił mnie ojcowskiego dziedzictwa. Ale czegoż on może chcieć ode mnie?

— Geissler, niech ten pan wejdzie! Nie mogę go oddalić. Kamerdyner odszedł, a chwilę później pojawił się zameldowany. Po przywitaniu, które wcale nie było tak serdeczne, jakiego by się można było spodziewać między bliskimi krewnymi, którzy się długo nie widzieli, pan domu wskazał zapraszającym ruchem ręki na krzesło. Gość udawał jednak, że tego zaproszenia nie zauważył i stał.

— Co sprowadza mego stryja i daje mi radość powitania go? Minęło, jak sądzę, pół wieku, kiedy się ostatnio spotkaliśmy.

Nurwan Pasza popatrzył na niego z powagą.

— Mówi pan poważnie? Zdaje mi się, że widzieliśmy się zupełnie niedawno.

— Niedawno? Pan się myli.

— Możliwe, że mnie pan nie poznał. To było wczoraj w lesie, na kilka godzin przed północą, gdy pan niósł na rękach spory ciężar.

„Szalony hrabia” przeraził się, ale starał się ukryć swe poruszenie. Udało mu się nawet uśmiechnąć.

— Pan wie, że to co pan mówi, nie pochlebia mi. Zdaje się pomylił pan jakiegoś tragarza z moją osobą.

— Ale wyjątkowo mogłoby się i tak zdarzyć, iż hrabia poniża się do tego, żeby być tragarzem.

— Nie rozumiem pana, drogi stryju.

— Proszę, niech pan nie bawi się ze mną w teatr! Bardzo dobrze mnie pan rozumie. Chyba pan nie zaprzeczy, iż wie, co wydarzyło się wczoraj w majątku majora Helbiga?

— Skądże mam to wiedzieć? Podczas mej krótkiej wizyty u majora, niespełna godzinnej, nie wydarzyło się nic szczególnego.

— Ale za to po pana odejściu.

— Możliwe, ale co mnie to obchodzi?

— Więcej, niż chce pan to przyznać. Dzisiejszej nocy posiadłość majora spłonęła całkowicie.

— Na Boga, co też pan mówi? Nie może być!

— I podczas pożaru jakiś łotr uprowadził córkę majora. Nowożytny rycerz-rozbójnik zachowywał się tak, jakby nie posiadał się ze zdumienia.

— To nie do pomyślenia? Że też takie rzeczy jeszcze dzisiaj mają miejsce!

— Czasami, jak pan widzi! Ponieważ znajdowałem się akurat w tej okolicy, chciałem odwiedzić majora i zastałem go z rozdartym sercem z powodu zniknięcia córki. Jest moim przyjacielem i dlatego udałem się natychmiast w drogę, by ścigać porywacza. No i ślady zaprowadziły mnie na zamek Himmelstein.

— Na zamek Himmelstein? — spytał hrabia, jękając się — Co pan ma na myśli?

— Tak sobie myślę, że ukrywa pan tutaj tę dziewczynę.

— Panie! Jak pan śmie!

— Proszę się nie unosić! Dokładnie wiem, czego się można po panu spodziewać. Pytam pana, czy wyda pan tę dziewczynę dobrowolnie, czy też nie?

— Nie pojmuję, jakim prawem zwraca się pan do mnie z tym pytaniem. Dziewczyny tutaj nie ma.

— Ba, proszę się nie wysilać! Niech się pan opamięta! Proszę uwolnić dziewczynę, w takim przypadku byłbym gotów o wszystkim zapomnieć i postarać się o to, by pana nie nagabywano. Jeżeli nie, zwrócę się o pomoc do policji.

— To dziwne, wasza dostojność, że pan, chociaż Hohenegg, wstępuje przeciwko mnie i grozi policją. Co pana do tego upoważnia?

— Pan się jeszcze pyta? Właśnie dlatego, że jestem Hohenegg, nie mogę się ze spokojem przypatrywać, jak pan to nazwisko okrywa hańbą. Więc wzbrania się pan wydać tę dziewczynę?

— Nie wzbraniam się. Jednak ostro protestuję przeciwko łączeniu mojej osoby z tym zajściem, z którym nie mam nic wspólnego. Gotów jestem oprowadzić pana po zamku, by wyprowadzić pana z błędu.

— Ba! — Katombo machnął ręką lekceważąco — Zdaję sobie sprawę, że ten zamek kryje pewne tajemnice, o których istnieniu wiedzą tylko wtajemniczeni. Pan będzie się wystrzegał pokazania mi ich.

— Na zamku Himmelstein nie ma żadnych tajemnic.

— Tym lepiej dla pana!

— Kończmy już tę rozmowę! Nie pozwolę, by przesłuchiowano mnie, jak przestępcę!

— No dobrze! Właściwie powinienem był wiedzieć, że moja wizyta nie przyniesie rezultatu. Odchodzę, ale pozwalam sobie przypomnieć, że pana obecność w Süderlandii jest jedynie tolerowana. Wystarczy jedno moje słowo, a zostanie pan z tego kraju wydalony.

— Panie, pan chyba zwariował, inaczej nie rozmawiałby pan ze mną takim tonem. Wypraszam to sobie w moim domu i tylko względem nazwisko Hohenegg, o którym pan sądzi, że tylko dla pana jest święte, powstrzymuje mnie od tego, by pana traktować tak, jak pan na to zasługuje.

— A jak pan chce mnie traktować? — uśmiechnął się Pasza z wyższością. — Czy chce pan spowodować może moje zniknięcie, jak przed siedmiu laty młodego barona Teodora von Gollwitz?

Ten drugi wzdrygnął się.

— Gollwitz? Nie rozumiem, o czym pan mówi.

— Niech pan się nad tym zastanowi. Wtedy mnie pan zrozumie. Już zaczynają deptać panu po piętach. Żegnam!

Nie czekając na odpowiedź, Katombo opuścił pokój i zszedł w dół po wyłożonych dywanami kamiennych schodach. Opuściwszy pałac, skierował się na południe, a po dziesięciu minutach dotarł do lasu, ciągnącego się po obu stronach drogi.

Był oddalony może ze dwadzieścia kroków od pierwszych drzew, gdy z cienia wyszło dwóch mężczyzn, jakby czekających na niego.

— Pan hrabia już z powrotem? — spytał starszy z nich, w których rozpoznajemy Schuberta i jego syna Gerda. Wysłano ich, by obserwowali zamek. — Szybko poszło. Udało się?

— Nie. Wyparł się wszystkiego.

— A nie mówiłem, gdyśmy się tutaj przed pół godziną spotkali? Ten hultaj to szczwany lis.

— Ale co teraz? — spytał Gerd, z trudem opanowujący swą niecierpliwość. — Chyba nie będziemy czekać, aż policja weźmie sprawę w swoje ręce? Do tego czasu może ją zniszczyć, może nawet nie żyć.

— Ja też jestem tego zdania — ojciec przyznał mu rację. — Proponuję, abyśmy podnieśli kotwicę, postawili żagle i podpłynęli pod piracki statek Himmelstein. Ustawimy się pokład w pokład i wszystko, co znajdziemy, przyczepimy do fokreji, zgodnie z uczciwym marynarskim obyczajem. I tak będzie!

Katombo zaśmiał się.

— Tak szybko, jak pan myśli, nie da się tego przeprowadzić. Nie wolno nam niczego przedsięwziąć bez powiadomienia innych. Najlepiej będzie, jak odszukamy Gollwitza i Sanforda w piekielnym wąwozie.

— Wszyscy trzej?

— Tak.

— A jak ten łotr oddali się tymczasem z dziewczyną? Czy nie lepiej, aby ktoś z nas stanął na straży?

— To zbyteczne. Porywacz nie będzie chciał opuścić zamku, gdzie jego łup jest najbezpieczniejszy.

— Może ma pan rację. No to ruszajmy?

Szybkim krokiem dotarli już po trzech kwadransach do tego miejsca w piekielnym wąwozie, gdzie czekali obaj jeźdźcy prerii.

— Nareszcie! — zawołał Fred, gdy zobaczył Katombo. — Szybciej pan wrócił, niż przypuszczaliśmy. I ci dwaj panowie też przyszli? Dobrze, że jesteśmy razem i możemy wspólnie zająć się sprawą. Czy załatwił pan coś, panie hrabio?

— Nie. Wszystkiego się wypiera.

— *Well*, można się było tego spodziewać. A pan, panie kapitanie? Jakie pan poczynił obserwacje?

— Obserwacje? Żadnych. Zakotwiczyliśmy się przed południem w pobliżu zamku, ale nie widzieliśmy nic, oprócz pustego powozu, wjeżdżającego na górę, a potem na dziedziniec zamku.

— Pusty powóz? Oczywiście! Hrabia nie wjechał na zamek od przodu, lecz wysiadł wcześniej i zabezpieczył swój łup gdzieś z tyłu.

— Z tyłu? Ale gdzie?

— Tutaj!

— Nie da się pan jednak odwieść od tego, że on tutaj musiał być? — spytał Katombo.

— Nie! Teraz jestem jeszcze bardziej pewny, niż przedtem. Nie próżnowaliśmy po pana odejściu.

— Tak? A czym się panowie zajmowali?

— Rozmyślaliśmy i odkryliśmy tajemne wejście do zamku.

To nieoczekiwane oświadczenie wprawiło pozostałych w bezgraniczne zdumienie. Rozległy się okrzyki zaskoczenia, co Fred zakończył wyjaśniając:

— Powiedziałem, że odkryliśmy tajemne przejście. Powiniennem się był raczej wyrazić nie widzieliśmy go wprawdzie, jednak wiemy, gdzie się znajduje, gdzie musi się znajdować.

— Ale gdzie? Nie ma tu żadnego miejsca w ścianie, którego nie możnaby stąd zobaczyć. Nie widać żadnej luki.

— Prawda? — uśmiechnął się Fred, któremu to bardzo pochlebiało — A jednak to bardzo proste. Jest takie miejsce, które umyka naszemu wzrokowi, tylko jedno jedyne.

— Które ma pan na myśli? — dopytywał się Katombo z zaciekawieniem. — Właściwie tylko jedno miejsce wchodzi w rachubę, ale znajduje się poza naszym podejrzeniem; mianowicie ta część ściany, którą przykrywa wodospad.

— Właśnie o tym myślę. — „stwierdził Fred z wielką stanowczością — Bill też jest o tym przekonany.

— Ale to przecież niemożliwe.

— W jaki sposób mój bratanek mógłby przedostać się z tą dziewczyną przez wodospad?

— To nie nasz problem, lecz jego. A co wtedy, jeśli jest jakieś urządzenie, mogące zatrzymać wodospad? A jeśli tam, po drugiej stronie wodospadu ukryta jest łódka? Wtedy rozwiązalibyśmy zagadkę w bardzo prosty sposób. Wtajemniczony w całą sprawę woźnica pojechał przodem, zatrzymał wodospad i przewiózł hrabiego oraz Magdę łódką, tak że nawet ich nie zmoczyło.

— Ale to wszystko brzmi zupełnie nieprawdopodobnie.

— Och nic nie szkodzi. To co wydaje się być nieprawdopodobne, jest w tym przypadku jedyną możliwością i dlatego jest słuszne.

Katombo pokiwał głową.

— Wy, jeźdźcy prerii, jesteście szczególnymi ludźmi. Z jednego ździebełka trawy ułożycie całą poetycką opowieść i żądacie, żeby wam w to uwierzyć.

— Nie sprzecajmy się! — odezwał się Fred. — Niebawem zobaczymy, który z nas ma rację. Czy któryś z panów ma może przy sobie świeczkę lub coś podobnego?

Po chwili szukania Balduin Schubert pokazał kawałek łożu.

— To wystarczy. Zapalki mam. Najważniejsze, żeby ich nie zamoczyć.

— Co pan zamierza? — zdziwił się Katombo. — Chyba nie chce pan przepłynąć na drugą stronę?

— Dlaczego nie? — zaśmiał się Fred — Muszę panu przecież udowodnić, że moje i Billa przypuszczenia są słuszne.

— Ależ w tej lodowatej wodzie może pan zginąć!

— Ba! Rzeki w górach Dzikiego Zachodu, przez które przepływałem, też nie były podgrzewane.

Mówiąc te słowa zdjął marynarkę i przekazał ją Billowi. Ale teraz wmieszał się w to kapitan.

— Stop, drogi panie Gollwitz! Do tej nitki, którą pan rozwijał, nie powiedziałem dotąd ani słowa. Ale jestem zdania, że pływanie, to moja specjalność. Niech pan włoży z powrotem tę marynarkę i da mi łoż oraz zapalki! Popłynę za pana i zbadam sprawę.

Na to nie chciał zgodzić się z kolei Fred. Rozegrała się mała potyczka słowna, z której zwycięsko wyszedł Schubert.

Dlatego też zdjął marynarkę i wszystko, co było zbyteczne. Kawałek łożu i zapalki owinął starannie chusteczką do nosa i ukrył pod kapeluszem, który wcisnął głęboko na czoło. Potem wszedł do wody, sięgającej mu na razie po kolana.

Reszta śledziła jego ruchy ze zrozumiałym napięciem. Dalej, coraz dalej, kapitan posuwał się na środek coraz to głębszego basenu, aż woda sięgała mu do ramion. Potem rozwarł ramiona do pływania i skierował się w stronę wodospadu, lecz nie na jego środek, tylko ku brzegowi.

— Hm, ten człowiek jest przebiegły — zauważył Fred z satysfakcją. — Podchodzi do wodospadu w jego najślabszym miejscu, mianowicie od brzegu.

— Sądzi pan, że tam się znajduje dojscie? — spytał Gerd

— Chyba nie, raczej bardziej w stronę środka. Ale przypuszczam, że będzie chciał wykorzystać wolną przestrzeń między wodospadem, a ścianą.

— A skąd pan wie, że taka istnieje? Stąd przecież nic takiego nie widać.

— Z powodu odległości. Ale jakaś wolna przestrzeń musi tam być. Musi wziąć pan pod uwagę siłę, z jaką woda spada z tak olbrzymiej wysokości. To jasne, że woda nie spływa pionowo po ścianie, lecz jest odrzucana mniejszym lub większym łukiem, chociaż tego się nie dostrzega. Spójrz, teraz pański ojciec dotarł do brzegu, a teraz... teraz zniknął.

Tak, kapitana nie było widać. Zauważyli jeszcze, że szybkim ruchem nasunął na czoło kapelusz, który mu się chyba trochę przesunął, potem zanurzył się i zniknął.

Jeśli przypuszczenia jeźdźców miałyby się okazać niesłuszne, to za chwilę powinien się być pojawić ponownie przed wodospadem. Ale nic takiego nie nastąpiło. Był to dobry znak, pod

warunkiem, że nie przytrafiło mu się żadne nieszczęście. Stali zniecierpliwieni na brzegu i spoglądali milcząco na to miejsce, w którym zniknął. Tak minęło pięć minut i jeszcze pięć, a Schuberta nie było widać. Już zaczęli odczuwać niepokój, a jego syn nie potrafił nawet tego ukryć. I znowu minęło pięć minut milczenia z zapartym tchem, aż tu nagle Gerd zawołał:

— Wodospad, wodospad! Patrzcie, on znika!

Tak, wodospad naprawdę zniknął. Najpierw najwyższy próg, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różki zdawał się zanikać. Potem, ale już wolniej, zanikały kolejne progi. Huczenie słabło, aż w końcu ustało zupełnie. Po dwóch minutach już tylko sączyła się woda tam, gdzie jeszcze przed chwilą szeroki mur wodny pokrywał ściany. W dole, przy powierzchni wody, można było dostrzec, choć niezbyt wyraźnie, szczelinę, na którą skierowane były zaciekawione i pełne napięcia oczy wszystkich.

— To przecież... to, to pańskie dojsście do zamku! — powiedział Katombo z najwyższym podziwem — Naprawdę, baronie, wyrażam me najwyższe uznanie dla bystrości pana umysłu.

— O, panie hrabio, to naprawdę nie było trudno odgadnąć tę tajemnicę, jeśli się wzięło pod uwagę różne fakty. Najpierw byty to ślady, które z łatwością zaprowadziły nas do wąwozu. Potem pana zapewnienie, że boczne ściany są nie do zdobycia, o czym sam się przekonałem. Również nie mogli stąd wyfrunąć, a więc pozostała tylko jedna możliwość: wodospad.

— Teraz, jak pan to przedstawia, wszystko wydaje się bardzo proste. Ale powiadam panu, mógłbym cały rok stać w tym miejscu i nie wpadłoby mi do głowy, że za wodospadem kryje się jakaś tajemnica. Jak pan myśli, w jaki sposób wodospad przestał funkcjonować?

— O tym najlepszych informacji udzieli kapitan, jeżeli... *behold!* O, widać go już! I proszę, dokładnie tak, jak myślałem, na łódce!

Ze szczeliny wyskoczyła rzeczywiście łódka, w której siedział Schubert. Szybko zbliżała się do miejsca, gdzie stali mężczyźni. Już wkrótce zacumowała i kapitan wyskoczył.

— No i jestem z powrotem! — zaśmiał się wesoło. — Pewnie już od dawna na mnie czekacie, ale szybciej nie mogłem rozwinąć liny, mimo najlepszych chęci. A więc sprawa ma się tak, jak pan przypuszczał, panie baronie. Jak tylko...

— Stop, mój drogi! — przerwał mu Fred. — Oczywiście wszyscy jesteśmy bardzo ciekawi tej historii, ale równie dobrze może nam pan ją opowiedzieć po drodze. Myślę, że nie powinniśmy dłużej czekać, skoro poznaliśmy tajemnicę. Popłyniemy na tamtą stronę!

— Całą piątką? — spytał Gerd, spoglądając z powątpiewaniem na tę małą łódkę.

— A dlaczego by nie? Jeśli zmieszczą się trzy osoby, to w razie konieczności wejdzie i pięć, jeśli się trochę ścieśnimy — odezwał się jego ojciec, będący dobrej myśli.

Wsiedli więc. Sanford wziął wiosło, Schubert usiadł przy sterze, a trzej pozostali przysunęli się do siebie i ścieśnili. Podczas tej krótkiej jazdy „marynarz rozwijał swą linię”. Dzięki zręcznemu nurkowaniu wypłynął szczęśliwie po drugiej stronie wodospadu, nie zrobiwszy sobie „dziury w głowie”, jak się wyraził. W półmroku, jaki tu panował, zauważył natychmiast lukę w skale i skierował się na nią. Chwilę później otoczyła go głęboka ciemność. Płynąc dalej ostrożnie już niebawem dotknął ręką jakiś przedmiot, wystający z wody. Była to, jak się z radością przekonał, łódka. Wskoczył do niej, zapalił łój i rozpoznał przy słabym świetle, że się znajdował w kanale, który tutaj się kończył i wychodził na schody, prowadzące stromo w górę. Właściwie mógł potraktować swe zadanie za załatwione i wrócić. Ale przypomniał sobie, co Fred mówił o wyłączeniu wodospadu i korciło go, aby zbadać sprawę dokładnie. Nie zastanawiając się długo, zaczął się wspinać po „wantach”, coraz wyżej i wyżej. Kawaleczek łoju dogasał, kiedy skończyły się schody. Połączyły się z bocznym i całkowicie płaskim korytarzem. I właśnie w tym miejscu odkrył to, czego szukał, coś w rodzaju wielokrążka, którego liny biegły w górę poprzez otwór w suficie. Kapitan wiedział oczywiście od razu, co to było. Chwycił koło i tak długo wprawiał je w ruch, aż poczuł opór. Na ziemi stała latarnia, pozostawiona tutaj z jakiegoś powodu, a która teraz bardzo mu się przydała. Zapalił ją od swego łoju i jak najszybciej zbiegł z nią po schodach. Jakaż to była radość, kiedy przybywszy na dół, zobaczył, że wodospad zniknął, a dzieńne światło wpadało do kanału.

Baldwin Schubert skończył właśnie swą zwięzłą relację, gdy wpłynęli do kanału. Kilka uderzeń wiosłem podprowadziło łódkę do schodów. Znowu zapalili lampę, przywiązali łódkę, a potem poszli schodami w górę. Fred pierwszy, niosąc światło.

Przy zakładaniu schodów, które wykuto w skałach, wykorzystano naturalny rozłam skalny, jaki utworzył prawie pionową dziurę w górze tak, że wspinać się postępowo dosyć wolno. Kiedy Fred stanął na ostatnim schodzie, tam gdzie był zainstalowany mechanizm napędowy, poczekał na pozostałych i nakazał im zachowanie ciszy.

Korytarz, którym teraz szli, miał metr szerokości i dwa metry wysokości. Po pewnym czasie znaleźli się w miejscu, gdzie na ziemi stało drewniane naczynie, napełnione do połowy wodą. Było w tym coś niezwykłego, a ponieważ nie było czasu, nie zwrócili na to uwagi i poszli dalej.

Dobrze się stało, że Fred doradził swym towarzyszom ostrożność, bo ledwie minęli naczynie z wodą, usłyszał z daleka cichy odgłos. — Pst! Ktoś idzie! Kładźcie się na ziemi i ani mru-mru! Zrobili, jak zarządził, a Fred zgasił lampę. Gdzieś z odległości około dwudziestu kroków zauważył blade światło. Samego źródła światła nie mógł zobaczyć, gdyż korytarz tutaj zakręcał. Fred, niczym kot, zakradł się do narożnika. Tu światło było jaśniejsze, zobaczył mężczyznę, niosącego ślepą latarnię.

Był to kamerdyner hrabiego.

Ten, niczego nie przeczuwając, przeszedł obok mocno wciśniętego w ścianę Freda. Szybkie spojrzenie do przodu przekonała go, że ten człowiek był sam.

— Stój!

Usłyszawszy nieoczekiwanie dźwięk ludzkiego głosu, kamerdyner wzdrygnął się, odwrócił, a ujrzawszy Freda, przestraszył się, jakby zobaczył ducha, jednak szybko odzyskał spokój.

— Kim pan jest? I czego pan tu szuka? — zapytał groźnie.

— Hm, nie gniewaj się, stary! Chcę złożyć wizytę twemu panu, największemu łotrowi na świecie!

— Człowieku, kim jesteś?

— To cię nie obchodzi. Jeszcze mnie zdążysz poznać. Dawaj latarnię! Jeszcze nie przebrzmiały te słowa, jak mu ją wyrwał.

— Człowieku! — zagroził kamerdyner — Oddaj tę latarnię albo... Przestał mówić i cofnął się o kilka kroków, gdyż zobaczył skierowany na siebie rewolwer.

— Billi! — odezwał się Fred.

— Jestem? — odpowiedział Sanford, stojący pierwszy w szeregu. — Czy mam temu łobuzowi dać klapsa?

Kamerdyner odwrócił się.

— Kim jest ten mężczyzna? — dociekał przerażony.

— Jestem wielonym diabłem i przyszedłem po ciebie — zaśmiał się Bill. — Nie rób głupstw, musisz iść z nami?

Mówiąc to, opasał go mocarnymi ramionami i tak silnie ścisnął, że ten nie był w stanie się ruszyć.

— No, załatwiony! A teraz Fred, możesz się dowiedzieć od niego wszystkiego, czego chcesz. Daję ci moje słowo, że będzie mówić. Postaram się oto.

Chwilę wcześniej, z przerażenia, wypadł kamerdynerowi spod pachy jakiś przedmiot i potoczył się na ziemię. Fred podniósł go i zaczął oglądać.

— Ach? Bochenek chleba! A dokąd to chciałeś go zanieść, łotrze?

— Byłem w drodze do... chciałem nakarmić ryby na dole koło wodospadu.

Ta wymówka tak ich rozweseliła, że wszyscy musieli się hamować, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

— No, no! Zdaje się, że bierzesz nas za durniów i spodziewasz się, że w to uwierzmy. Ale jest nam to obojętne, dokąd chciałeś iść. Powiedz lepiej, dokąd prowadzi ten korytarz!

— To was nie interesuje?

— Chłopie, mów grzeczniej, inaczej zgmiotę ci klatkę piersiową! — zagroził Bill, nasilając ucisk.

Kamerdyner jęknął.

— Proszę mnie puścić, na Boga, proszę mnie puścić! Ja przecież chcę mówić!

— A więc opisz mi tę drogę! Dokąd się dojdzie, idąc tym korytarzem? — wypytywał Fred.

— Najpierw idzie się przez długi czas prosto. Potem dochodzi się do drzwi, za którymi znajduje się studnia zamkowa.

— Na co te drzwi są zamknięte? Na zasuwę?

— Nie, mają tajemne urządzenie.

— A ty je oczywiście znasz?

— Tak — odpowiedział zwlekając.

— To dobrze. W takim razie nie stracimy zbyt dużo cennego czasu. Kto je jeszcze zna?

— Hrabia i moja żona.

— I nikt poza tym?

— Nie.

— Dalej!

— Po tamtej stronie są drzwi z podobnym urządzeniem, a za nimi ciągnący się poziomo korytarz, który kończy się przy krętych schodach.

— A dokąd prowadzą?

— Na wieżę, w której znajduje się tylko tajemna klatka schodowa i dwa leżące nad nią pokoiki.

— Kto zamieszkuje te pomieszczenia?

Kamerdyner nie chciał mówić, ale Sanford, w którego ramionach był niczym wosk, przywołał go szybko do rozsądku.

— Córka majora Helbiga — wystękał.

— No widzisz, jak dobrze rozumiesz po niemiecku? — zaśmiał się Fred. — Przypuszczam, że dojście do tych schodów jest w jakiś sposób obudowane, inaczej dziewczyna mogłaby przecież uciec.

— Tak, w miejscu drzwi znajduje się obraz, a tam, gdzie po drugiej stronie jest przycisk, z tej strony jest umocowane podwyższenie przy haku ramy.

— Dobrze! Mniej więcej się orientuję. Ale musi być jeszcze jakieś inne połączenie z zamkiem.

— Jest na drugim półpiętrze, skąd prowadzą schody do nieużywanego korytarza zamku.

— Mam nadzieję, że powiedziałaś prawdę. Jeżeli się okaże, że okłamałaś nas choćby tylko w jednym punkcie, to jesteś zgubiony! Teraz będziesz oczywiście naszym więźniem. Od twego zachowania będzie zależeć, jaka będzie twoja kara. Bill, weź drugą latarnię i uważaj na tego faceta! W razie najmniejszego podejrzanego ruchu, zastrzelisz go!

Zrewidowano jeszcze jeńca, czy nie ma broni. Znaleźli nóż, który zabrał Bili. Uszli spory kawałek, aż zatrzymali się przed jakimiś drzwiami, Fred oświetlił je latarnią, a gdy nie zauważył ani rygla ani zamka, zwrócił się do pojmanego:

— Jak się otwiera te drzwi? Mów szybko, ale prawdę! Kamerdyner zrozumiał, że opór może tylko pogorszyć jego sytuację.

Wskazał palcem na pewne miejsce w futrynie i objaśnił:

— Drzwi się otworzą, jeśli włoży się tutaj, do tej szpary nóż i mocno popchnie drzwi.

Fred bez wahania skorzystał z tej wskazówki. Dał się słyszeć lekki trzask i drzwi odskoczyły. Uderzyła w nich wilgotna, zimna para. Fred poświecił latarnią do środka. Przed nimi znajdowało się okrągłe, wyłobione kamiennymi flizami pomieszczenie, na którego środku zionął głęboki otwór. W nim znikająca lina studzienna, zwisająca z góry.

— Obejrzyjmy sobie dokładnie to pomieszczenie, zanim do niego wejdziemy! Musimy osłonić latarnię, gdyż jej światło mogłoby nas zdradzić, gdyby przypadkowo ktoś na górze przyszedł do studni. Obejdziemy otwór od prawej strony. Bill, bądź tak dobry i zostań tutaj z naszym więźniem. Nie wiem, jak się mają sprawy tam z przodu, a jego głośne wołanie mogłoby nas zdradzić. Masz jego latarnię, nam jedna wystarczy.

Fred osłonił swoją i weszli w to niebezpieczne zaokrąglenie. Szczęśliwi obeszlili studnię i przeszli przez drzwi, które otwarły się tak samo, jak te pierwsze.

Teraz zdjęli osłonę z latarni. Ujrzeni przed sobą korytarz, który poprowadził ich przez pewien czas prosto, aż skończył się przy krętych schodach, wijących się w górę wewnątrz starych murów.

— Nasz więzień nie okłamał nas, jak na razie. Jego informacje sprawdzają się dokładnie. Ale teraz cicho!

Bezszelestnie skradali się we czterech schodami na górę. Na drugim półpiętrze Fred przystanął. Latarnia rzuciła światło na ścianę, na której zauważył drzwi, będące ku jego zdumieniu, otwarte.

— To dziwne! — wyszeptał — Czyżby nasz więzień zostawił otwarte drzwi? Czy po nim otwarł ktoś inny? To mógł być tylko „szalony hrabia”. Zaczekajcie tu panowie, a ja sam wejdę na górę, aby podsłuchać!

Chwilę później zniknął już za zakrętem schodów. Przystanął na górze, nadsluchując przez chwilę, po czym powrócił.

— Moi panowie, przychodzimy w samą porę. Panienska Magda jest na górze, a on znajduje się z nią. Słyszałem ich dokładnie.

— Łotr! — wykrztusił Gerd, bład ze wzburzenia. — Naprzód, na górę, do niego!

— Stać! — rozkazał Fred i chwycił Gerda za ramię. — Oczekuję, że panowie będą się ściśle stosować do moich poleceń. Pan, panie hrabio, i kapitan pójda tutaj, tym koniarzem prowadzącym na zamek i złapią hrabiego, jeśli mu się udało nam wymknąć. Pan porucznik pójdzie ze mną.

Obaj wymieniem pozostali w ciemności, a Fred wszedł z Gerdem na górę. Po czwartym półpiętrze schody kończyły się i stanęli przed niewielkim drzwiami, za którymi słycać było głosy.

— Tu jest przycisk. Wchodzimy. Ale cicho! — ostrzegł Fred. Pod lekkim naciskiem drzwi otwarty się. Wszedł Fred, a za nim Gerd. Znaleźli się w małym pokoiku, gdzie znajdowało się jedno łóżko, stolik nocny i dwa krzesła. Okna nie było, ale przez uchylone drzwi wpadał lekki promyk światła. Gerd podbiegł i spojrział do sąsiedniego pokoju. Na małej sofie siedział hrabia, a w najdalszym kącie stała Magda, z przerażoną twarzą i podniesionymi błagalnie rękoma.

— Proszę się nie łudzić, moja gołabeczko! — odezwał się właśnie hrabia. — Nikt nie wie, gdzie się pani znajduje, nikt nie przyjdzie pani na ratunek. Tylko jeśli wysłucha panienska słów mojej miłości, może być skłonny do tego, aby oddać panią rodzinie.

— Nienawidzę pana i gardzę nim! — odpowiedziała drżącym głosem.

— Och, już nie jednego ptaszka oswoilem. Także panienska wkrótce będzie potulna, kiedy pani wejdzie do jednego z tych lochów, w których umiem przekornych obłaskawić.

— Ja umrę.

— Nie umiera się tak łatwo.

— Bóg mnie ochroni i uratuje.

— Tak pani myśli? Chciałbym wiedzieć, od czego zacznie. Pani jest słaba, a ja jestem silny. Podniósł się, podszedł do niej i chciał ją objąć. Jednakże cofnął się bład ze strachu, gdyż drzwi otworzyły się i zobaczył Gerda.

— Nędzniku?

To słowo spowodowało, że hrabia doszedł do siebie. Kto potrafi mówić, nie jest duchem.

— Gerdzie, o mój Boże! — krzycała Magda, rzucając się w ramiona ukochanego.

— Czego pan tu chce! — syczał hrabia, podchodząc do Gerda.

Wtem zobaczył Gollwita, który wszedł za Gerdem.

— Kto... kto to jest? Gdzie ja... pana... już kiedyś widziałem?

— Kim jestem? Jestem pana złym duchem i przychodzę rozliczyć pana za mego brata Teodora.

— Gollwitz! — zawołał zaskoczony hrabia.

— Tak, to ja, Gollwitz. Mściciel! Twój czas się skończył, potworze!

— Jeszcze nie! — zaskrzeczał Hohenegg.

Szybkim ruchem porwał swą latarnię i wyskoczył przez drzwi do sypialni. Za moment zniknął za drzwiami z obrazem, które zatrzasnął z hukiem.

— Uciekł! — zawołał Fred. — Ale tylko na chwilę! Nie może nam umknąć. Proszę tu zostać z panią, poruczniku, dopóki nie wrócę!

Pospieszył do sypialni i chwycił latarnię, którą pozostawił na krześle. Już po kilku sekundach znalazł podwyższenie przy haku, spełniające tę samą rolę, co przycisk z drugiej strony, i otworzył drzwi. Natychmiast znalazł się na zewnątrz i jak najszybciej zbiegł schodami w dół. Tymczasem Hohenegg przebiegł szybko dwa półpiętra, a potem przez drzwi, prowadzące na zamek. Wtedy światło latarni padło na Katombo i kapitana, stojących w tym miejscu na warcie. Szybko zerwali się, by go złapać, ale ten zręcznie wyrwał się z ich pięści. Zaklął, odwrócił się i zanim się obejrzel, zniknął na schodach.

— Do stu piorunów! — złościł się Balduin Schubert — To on żegluj, a my stoimy, jak te dwa zapomniane wraki. Co teraz? Czy możemy opuścić nasze stanowisko i biec za nim? Gdyby pan Gollwitz...

— Kapitanie! — zabrzmiał obok głos Freda.

— To pan, panie baronie?

— Tak, to ja — padła odpowiedź i jego sylwetka równocześnie wynurzyła się w świetle latarni. — Widzieli panowie „szalonego hrabiego”?

— Tak, przebiegł tędy!

— Dokąd?

— Schodami w dół!

— Będzie się pewnie chciał dostać przez korytarz do pomieszczenia ze studnią, ale to mu się nie uda, jeśli Bill czeka na niego po drugiej stronie. On go nam przypędzi. Za mną!

Szybko popędzili schodami w dół, gdzie ujrzeli przed sobą, w pewnej odległości zbiegającego, którego sylwetka była wyraźnie widoczna w świetle jego latarni. Biegli teraz ze zdwojoną szybkością, co oczywiście nie odbywało się cicho. Ścigany słyszał za sobą kroki i też przyspieszał tak, że odstęp między nim, a pościgiem wcale się nie zmniejszał. Po dwóch

minutach dotarł do pomieszczenia ze studnią i znalazł się na kamiennych flizach. Już obszedł w połowie otwór studni, gdy kilka kroków przed nim rozległ się donośny głos Billa.

— Stój! Natychmiast! Albo strzelam!

Hohenegg był tak przerażony tym, że i tutaj odcięto mu wyjście, że zatoczył się kilka kroków do tyłu. Przy rym na swoje nieszczęście stanął na trochę obłuzowanej płycie, która odskoczyła w dół pod jego ciężarem, i to akurat z tej strony, gdzie tuż obok ział otwór studni. Przez to stracił grunt pod nogami. Wymachiwał rękami w powietrzu i podniósł jedną nogę, by poszukać oparcia, przez co utracił całkowicie równowagę... Rozdzierający, potworny krzyk i runął tyłem w otchłań. Głuchy, chlupoczący odgłos i ciało hrabiego uderzyło o wodę.

Chwilę później pojawił się w rym pomieszczeniu Fred ze swymi towarzyszami.

— Bill!

— Fred?

— Gdzie jest „szalony hrabia”?

— Wpadł do studni.

— Do stud... To słowo utknęło mu w ustach ze zdziwienia i przerażenia.

Także i pozostali nie byli w stanie wydobyć z siebie ani słowa. To był moment grozy. Ta straszna głębokość... ciało musiało się bezwarunkowo roztrzaskać.

— Bóg go osądził! — powiedział po chwili Fred, którego twarz zrobiła się śmiertelnie blada — Uprzedził wyrok ludzki. Ciarki mi przeszły! Opuśćmy jak najszybciej to miejsce grozy.

Katombo podszedł ostrożnie do studni i nadśluchiwał co się dzieje na dole. Nie słysząc było nawet najmniejszego odgłosu. Nie było wątpliwości, ten który wpadł, nie żył. Potem zwrócił się do swych towarzyszy z poważną miną, a jego głos drżał, gdy mówił:

— Jestem jego krewnym i byłoby to z mojej strony nieszlachetne, gdybym odczuwał satysfakcję z jego śmierci. Ale byłoby też dla mnie trudną sprawą, ujrzeć go w sądzie. W ten sposób sprawa znalazła swe rozwiązanie. Chodźmy!

— Tak, chodźmy? — zgodził się Fred — Ale najpierw musimy poczekać na Gerda i Magdę, którzy martwią się o nas. Kapitanie, proszę wziąć tę latarnię i przyprowadzić ich!

Schubert chwycił światło i ponownie pospieszył korytarzem i krętymi schodami na górę, do więzienia Magdy. Dziewczyna już trochę doszła do siebie.

— Jak się mają sprawy? — spytał Gerd.

— Dobrze. Bardzo dobrze... dla nas!

— Gdzie jest hrabia? — wypytywała zalekniona Magda, skrywając głowę na piersi Gerda.

— Nie żyje! Chciał uciec przez pomieszczenie ze studnią i runął w dół!

— Wielkie nieba! — zawołał przerażony, młody człowiek.

— Chodźcie szybko! Tamci na nas czekają. Nie mamy tu czego szukać.

Gerd wziął Magdę na rękę i poszedł przodem. Ojciec szedł za nimi i zamknął za sobą drzwi z obrazem. Niebawem byli przy czekających.

Nagłą śmiercią hrabiego najbardziej był wstrząśnięty Geissler. Był złym człowiekiem i pomocnikiem we wszystkich haniebnych czynach hrabiego, ale w gruncie rzeczy nie był zatwardziały. Gdy widział swego pana wpadającego do studni, poczuł jakby mu ktoś przejechał lodowatą ręką po plecach. Zupełnie załamał się jego opór, tym bardziej, że nie musiał obawiać się już więcej swego pana, że zdradza jego tajemnice.

Gdy opuścili to pomieszczenie i zamknęli drzwi, Fred zwrócił się do Geisslera.

— Chłopie, z twoim panem sprawa skończona, otrzymał swoją zapłatę. Teraz kolej na ciebie!

— Litości! Litości! — jęczał pojmany — Wyznam wszystko!

— Znasz mojego brata Teodora von Gollwitz?

— Tak, panie, znam go.

— Nie wiesz, czy jeszcze żyje?

— Żyje.

Ta odpowiedź spadła na Freda, który wprawdzie oczekiwał jakiejś wiadomości o swoim bracie, ale nie spodziewał się, że zobaczy go żywego, tak niespodziewanie, że stracił panowanie nad sobą. Poczul się słabo i odwrócił się w bok by ukryć swe poruszenie. Katombo spostrzegł to i odezwał się ze współczuciem:

— Panie baronie, proszę się uspokoić i pozwolić mi skierować w pana imieniu stosowne pytania do tego człowieka! Jest pan zbyt zdenerwowany, by to uczynić. No, chłopie, — zwrócił się do schwytanego — twierdzisz, że pan baron von Gollwitz jeszcze żyje. Gdzie się znajduje?

— Bardzo blisko stąd, w lochu.

— Czy zaprowadzisz nas tam?

— Tak.

— Kto żywił więźnia?

— Ja sam.

— A pod twoją nieobecność na zamku?

— Moja żona.

— Co dostawał?

— Wodę i chleb — odpowiedział po chwili.

— I nic poza tym?

— Nie.

— No to byliście naprawdę bardzo hojni! Diabeł wam kiedyś wynagrodzi to wasze miłosierdzie! Dziwi mnie tylko, że Hohenegg nie pozbył się swojego rywala!

— Panie, nie dopuściłbym do tego, nie jestem mordercą.

— Mówisz to oczywiście tylko dlatego, żeby się wybielić. Ale muszę ci wyznać, że dotychczas jestem z ciebie zadowolony, no jeśli nas nie okłamałeś. Teraz prowadź nas do lochu!

Mały pochód wyruszył. Jeniec z Billem szli na przedzie, ten ostatni nie spuszczał go ani na chwilę z oczu. Fred szedł za nimi z nieopisanym uczuciem w sercu, za nim szli pozostali.

Kamerdyner zatrzymał się przy wiadrze z wodą.

— Jesteśmy na miejscu i znajdujemy się teraz przed tajemnym więzieniem.

— Przecież nie widać żadnych drzwi! — zdziwił się Katombo.

— One łudząco przypominają skałę. Proszę uważać!

Pochylił się i podniósł z podłogi mały kamyk. Ukazał się koniec żelaznej sztangi. Nacisnął ją z boku i natychmiast otworzyły się przed nimi wąskie drzwi z bali. Uderzył w nich odrażający smród z lochu, znajdującego za nimi. Gdy Bill poświecił do wnętrza, ujrzeni odzianą w łachmany ludzką postać, łańcuchem przykutą do ziemi. Ubity dzbanek z wodą stał koło wiązki zgniłej słomy, służącej za legowisko.

— O mój Boże! — zawołał Katombo. — Czy to ma być człowiek? Czy to pan, baronie Gollwitz?

Postać podniosła się z ziemi. Ciemne niesamowite oczy, osadzone niczym w trupiej czaszce, wpatrywały się w mężczyznę.

— Zabrać to światło! — rozległ się głuchy i ochrypły głos. — Wypali mi oczy i mózg. Wynoście się!

— Gollwitz, czy chce pan być wolny?

— Wolny! Wolny, to znaczy według was nieżywy. Tak, zabijcie mnie, chociaż właściwie ja już umarłem!

— Panie von Gollwitz, przynosimy panu wolność i pozdrowienia od pańskiego brata, Freda.

W tej chwili Fred już nie mógł się dłużej powstrzymać. Odsunął Katombo na bok i rzucił się do celi.

— Teodorze?

Rozległ się okropny wrzask, a potem w jaskini zapadła cisza. Słysząc było tylko odgłos pocałunków, jakimi ten młody człowiek okrywał swego omdlałego brata.

Katombo, albo jak go teraz będziemy nazywać, hrabia Wilhelm von Hohenegg, zrobił następującą propozycję:

— Pójdę teraz przez główne wejście na zamek i chciałbym prosić pana Sanforda, by mi towarzyszył. Musimy oddać kamerdynera w pewne ręce. Jeśli tak się stanie, to przyślę po niego i całe towarzystwo, myślę, że dwa powozy wystarczą. Tymczasem wydam na zamku odpowiednie zarządzenia odnośnie moich podopiecznych. A teraz czas, aby opuścić to smutne miejsce, jeśli nie chcemy dać się zaskoczyć ciemności.

Już po krótkiej chwili wyruszyli. Przodem szli Bill i kamerdyner, potem niosący Magdę Gerd, za nim Fred ze swoim bratem Teodorem i w końcu kapitan z hrabią.

Gdy dotarli do stromych schodów, prowadzących w dół do kanału, Magda jeszcze bardziej przytuliła się do piersi swego opiekuna i szepnęła:

— Gerdzie, kochany Gerdzie, wyniosłeś mnie stamtąd na rękach, nieś mnie tak przez całe życie! Czy chcesz?

— O jak bardzo, jak bardzo! — zapewnił Gerd i wycisnął czuły pocałunek na nie stawiających oporu wargach.

Rok później został oddany do użytku nowo wzniesiony zamek Helbigsdorf. Pieniądze majora nie wystarczyłyby na ten cel, ale książę Maks, w uznaniu zasług starego rębajły, przekazał na to odpowiednią sumę.

Oczywiście, jego księżęca mość wraz z małżonką zostali zaproszeni na tę uroczystość. Oprócz nich Helbig chciał widzieć koło siebie tylko bliskie sobie osoby.

Na górę zamkową wyjechał właśnie długi sznur powozów. Na przedzie widać było ten księżęcy.

— Przyjechali! — zawołała Niebieska.

— Wszyscy! — dodała Zielona.

— Wszyscy razem! — uzupełniła Purpurowa.

Powozy zajechały na dziedziniec, a ich pasażerowie zostali należycie powitani. Za parą księżęcą wysiadł Gerd. Następnie Schubert z Karaveyem, olbrzymi Bill Sanford, obaj Gollwitzowie, kowal Schubert ze swą żoną i w końcu hrabia Wilhelm von Hohenegg.

Były ukłony i uściski rąk, pytania i odpowiedzi nie mające końca i trwało to długo, zanim zwiedzili zamek ze wszystkimi pomieszczeniami i można było usiąść do stołu. Książę przewodniczył. Promieniał z zadowolenia, a odbłask tego szczęścia padał na piękną twarz jego sąsiadki, Magdy. Miał swoisty sposób prowadzenia rozmowy i widać było po nim, że przygotował różne niespodzianki. Właśnie zwrócił się do Karaveya:

— Wie pan zapewne, że byłem przyjacielem pewnej Lilgi?

— Oczywiście, że wiem, wasza wysokość! — odpowiedział sternik.

— Słyszałem, że pan i pana kolega Schubert chcecie odejść ze służby?

— Tak, to prawda. Starzejemy się i...

— Tak, tak — przerwał mu książę. — Ale jako sternik nie odchodzi się na emeryturę. Powiedzmy jako podporucznik?

— Och, wasza wysokość! — wyjąkał szczęśliwiec.

— No już dobrze! A ponieważ pan, — zwrócił się do Schuberta — sprawdził się jako kapitan w wyprawie na wyspę skarbów, otrzyma pan to samo stanowisko w mojej flocie.

— Do stu piorunów, och przepraszam, wasza wysokość, ja kapitanem? — zawołał dzielny Balduin.

— Zasłużył pan na to, mój drogi i cieszę się, że mogę powitać przy tym stole pańskiego syna, też kapitana.

Gerd wstał promieniejąc ze szczęścia.

— Wasza wysokość jak dojdę do tego zaszczytu?

— Bardzo proszę o pozostawienie decyzji w tej sprawie mojej osobie!

— Wasza książęca mość obdarza mój dom w taki sposób, że nie znajduję słów podziękowania — zawołał major. — Czyż ten dom nie jest darem księcia...

— Stop! — przerwał mu książę. — W końcu nadszedł czas, by wyjaśnić tę pomyłkę. Nie ja wybudowałem dom, lecz czcigodny kapitan Balduin Schubert.

Dało się słyszeć ogólne „ach” ze zdumienia.

— Tak! — kontynuował książę. — Kapitan, w dalekich Indiach, wydobył z baronem Gollwitzem skarb, z czego jemu i biorącemu w tym również udział Karaveyowi, przypadła spora część. Czy nic panu o tym nie powiedział?

— Ani słowa! — zawołał zdziwiony major.

— W takim razie niech nam baron Fryderyk opowie potem, przy winie historię wyspy skarbów; najciekawszą, jaką kiedykolwiek słyszałem!

Helbig zerwał się i uściśnął starego wilka morskiego.

— Schubert, przyjacielu, weź swój kielich i mów do mnie „ty”. Jesteśmy ojcami jednego syna, a więc bądźmy braćmi.

Kielichy zadźwięczały, a książę zapytał:

— Dlaczego tylko ojcami syna? A dlaczego również nie ojcami córki? Majorze, niniejszym proszę pana w imieniu mojego młodego kapitana marynarki, syna Balduina Schuberta, o rękę pańskiej córki, Magdy. Czy dostanę kosza?

Powstała ogólna radość i wrzawa, a młodzi ludzie padli sobie w objęcia.

— Widzisz, Parparo, — zauważył Tomasz — dokładnie tak samo pyło z nami, kiedy dostałem od ciebie pierwszego puziaka!

Wszyscy się śmiali, a książe mówił dalej:

— Myślę, że oprócz tych dwojga zaręczonych jest tu jeszcze ktoś, kto się lubi. Pani Hartmann, wiem, że pani kocha tę wierną duszę, którą teraz dla pani przeznaczyłem. Ostatnia przeszkoda, jaka dotąd stała na drodze, już nie istnieje i dlatego jestem przekonany, że pani go nie odrzuci.

Wówczas pani Hartmann zwróciła się z radosnym uśmiechem do Schuberta:

— Balduinie, czy naprawdę chcesz mnie jeszcze?

— Niech mnie piekło pochłonie, jeżeli przyszyłoby mi na myśl powiedzieć nie. Zabiegałam o ciebie, jak proajciec Ruben o swoją Jezabel i jestem szczęśliwy, że mogę cię w końcu poślubić!

Po tym pięknym nawiązaniu do Biblii kieliszki zadźwięczały po raz drugi, a wtedy Fred mógł rozpocząć opowiadanie o wyspie skarbów.

Kiedy trzy siostry wieczorem tego samego dnia udawały się już do swoich sypialni, długo spoglądały na siebie w milczeniu. W końcu odezwała się Freja:

— Podwójne zaręczyny w jednym dniu, hm.

— Tak podwójne! Hm! — zauważyła też Wanka. — Ach, podwójne! Hm! — potwierdziła Zilla. — A my? — spytała gniewnie Długa.

— Tak, a my? — wtrąciła Mała.

— Ach a my! — powiedziała z wściekłością Gruba.

— W ogóle nie wyjdę za mąż! — zapewniała Niebieska.

— Nigdy nie będę miała męża! — zdecydowała Zielona.

— Ja nie zaręczę się nigdy, nigdy! — przysięgała Gruba, tuląc czule do siebie swoją Mimi.